

Josephine Tey

**BARTELOMIEJ  
FARRAR**



**Josephine Tey**

**Bartłomiej Farrar**

Przełożyła Jadwiga Olędzka



**ISKRY · WARSZAWA · 1978**

## Rozdział I

— Ciociu Bee - spytała Jane dmuchając mocno w talerz z zupą - kto był bardziej pomysłowy, Noe czy Ulisses?

- Nie jedz czubkiem łyżki, Jane.

- Nie mogę sobie poradzić z makaronem, jak trzymam łyżkę bokiem.

- Ruth sobie jakoś radzi.

Jane popatrzyła przez stół na swoją siostrę bliźniaczkę, która zręcznie i z zadowoleniem zjadała makaron.

- Ona potrafi wsysać mocniej ode mnie.

- Ciozia Bee ma minę luksusowego kota - stwierdziła Ruth, patrząc z boku na ciotkę.

Bee uznała to określenie za nader trafne, nie lubiła jednak, gdy Ruth siliła się na oryginalność.

- Ale który z nich był pomysłowszy? - powtórzyła pytanie Jane, nie schodząca nigdy ze ścieżki, na którą wstąpiła.

- Bardziej pomysłowy - poprawiła Ruth.

- Noe czy Ulisses? Simon, jak myślisz, który?

- Ulisses - odparł brat, nie podnosząc głowy znad gazety.

To takie podobne do Simona, pomyślała Bee, studiować listę koni, które będą biegać w Newmarket, dosypywać pieprzu do zupy i równocześnie słuchać prowadzonej rozmowy,

- Dlaczego, Simon? Dlaczego Ulisses?

- Nie miał w sumie tak dobrych meteorologicznych warunków jak Noe. Na którym miejscu był Płomień w otwartym handicapie, nie pamiętasz?

- O, daleko - odpowiedziała Bee.

- Pełnocie to trochę jak ślub, co, Simon? - spytała Ruth.

- Na ogół coś lepszego.

- Tak?

- Na uroczystości swojego pełnoletnia możesz zostać z gośćmi i tańczyć ze wszystkimi, czego nie możesz robić na ślubie.

- Ja zostanę i będę tańczyła na moim ślubie.

- Nie zdziwiłoby mnie to wcale.

O Boże, pomyślała Bee, są pewne rodziny, które w czasie posiłków prowadzą konwersację, ale nie wiem, jak im się to udaje. Może byłam za mało wymagająca.

Popatrzyła na trzy pochylone nad stołem głowy i na puste jeszcze miejsce Eleanor i zadała sobie pytanie, czy właściwie z nimi postępowała. Czy Bill i Nora byliby zadowoleni z tego, co zrobiła z ich dzieci? Gdyby jakimś cudem mogli tu wejść teraz, młodzi, piękni i radosni, tacy jak poszli ku śmierci, czy powiedzieliby: „Tak właśnie ich sobie wyobrażaliśmy, nawet Jane, małego oberwańca”?

Oczy Bee rozjaśniły się uśmiechem, kiedy spoczęły na Jane. Bliźniaczki miały dziesiąty rok i były identyczne. To znaczy identyczne w sensie zewnętrznym. Mimo fizycznego podobieństwa nie było nigdy najmniejszej wątpliwości co do tego, która jest Jane, a która Ruth. Miały takie same proste, jasne włosy, takie same drobne buzie i bladą cerę, takie samo szczere, śmiałe spojrzenie; ale na tym kończyło się podobieństwo. Jane nosiła brudnawe bryczesy i wełniany rozciągnięty sweter z festonami zwisających nitek. Włosy miała zaczesane do tyłu bez patrzenia w lustro i spięte mocno klamrą tak już wytartą, że powróciła do swego pierwotnego stalowego koloru, jak to się dzieje ze spinkami do włosów. Jane miała astygmatyzm i w obecności osób oficjalnych nosiła okulary w rogowej oprawie. Zwykle spoczywały w tylnej kieszeni jej spodni, lecz tak często kładła się na nich, opierała i siadała, że żyła w stanie ciągłego bankructwa; za uszkodzenia, których naprawa przekraczała jej roczne kieszonkowe, musiała płacić pieniędzmi z własnej skarbonki. Jeździła na lekcje na probostwo na starym siwym kucu Baldachimie; jej krótkie nogi sterczały po obu stronach konia jak wiązki słomy. Baldachim od dawna był raczej

środkiem transportu niż wierzchowcem, nie miało więc znaczenia, że jego duży grzbiet był miękki jak pierzyna i prawie równie szeroki.

Natomiast Ruth miała na sobie różową kretonową sukienkę, tak samo świeżą jak rano, kiedy siadła na rower, żeby pojechać na probostwo. Jej ręce były czyste, a paznokcie nie połamane; znalazła gdzieś różową wstążkę i związała opadające z dwóch stron włosy kokardą na czubku głowy.

Osiem lat, myślała Bee. Osiem lat obmyślania, planowania, opieki. Za sześć tygodni jej rządy dobiegną końca. Za niecały miesiąc Simon ukończy dwadzieścia jeden lat i odziedziczy majątek matki, skończą się chude lata. Rodzina Ashbych nigdy nie była bogata, ale za życia jej brata wystarczyło funduszy, by utrzymać na odpowiednim poziomie Latchetts, to znaczy ten dom i trzy folwarki wchodzące w skład rodzinnych dóbr. Jego nagła śmierć spowodowała, że te osiem minionych lat upłynęło prawie w biedzie. I tylko stanowczość Bee sprawiła, że nie tknięte pieniądze bratowej miał otrzymać jej syn. Nie pożyczano się licząc na ten spadek w przyszłości - nawet za zgodą pana Sandała z biura prawnego „Cosset, Thring i Noble”. Latchetts musi samo na siebie zarobić, powiedziała Bee. I po ośmiu latach Latchetts było wciąż samowystarczalne i wypłacalne.

Za jasną głową bratanka widziała przez okno białe ogrodzenie południowego padoku i ogon starej Reginy, którym klacz wymachiwała w słońcu. Konie -hobby jej brata - okazały się ratunkiem dla jego domu. Rok po roku, mimo chorób, wypadków i czystej końskiej przewrotności, dawały dochód. Zyski były zawsze trochę większe niż straty. Kiedy niewielka pierwotnie stadnina, która sprawiała Billowi tyle radości, okazała się wątpliwym interesem, Bee powiększyła ją o nie wymagające kucyki, które pasły się na gorszych pastwiskach. Eleanor ujeżdżała niepewne wierzchowce, zamieniając je w „bezpieczne baranki”, i sprzedawała z zyskiem. A teraz, gdy dwór w Clare stał się internatem, dawała lekcje jazdy konnej po całkiem nie najgorszej cenie.

- Eleanor bardzo się spóźnia.

- Czy pojechała z La Parslow? - spytał Simon.

- Tak, z tą dziewczyną.

- Niestety koń prawdopodobnie padł już nieżywy.

Simon wstał, żeby zebrać talerze po zupie i podać danie mięsne stojące na kredensie, a Bee przyglądała mu się z krytyczną aprobatą. Udało jej się przynajmniej nie zepsuć Simona, a to, biorąc pod uwagę jego wdzięk i samolubstwo, było niemałym osiągnięciem. Simon robił z gruntu złudne wrażenie sympatycznego i uległego i wszyscy bez wyjątku nabierali się na to od jego najmłodszych lat. Bee przyglądała się temu ubawiona, z mieszanym uczuciem rezerwy i podziwu; czuła, że gdyby ona została obdarzona tym szczególnym rodzajem uroku, jaki posiadał Simon, najprawdopodobniej wykorzystywałaby to dla siebie, tak właśnie jak robił on. Ale starała się mu nie ulegać.

- Przyjemnie byłoby, gdyby w czasie takiej uroczystości z okazji pełnoletnia występowały na przykład druhnny - zauważyła Ruth, grzebiąc grymaśnie widelcem w talerzu.

Uwaga ta pozostała bez echa.

- Pastor mówił, że Ulisses był prawdopodobnie w domu okropnie nieznośny - powiedziała z wrodzoną szczerością Jane.

- O, dlaczego? - spytała Bee, zainteresowana takim naświetleniem spraw antycznych.

- Powiedział, że był on niewątpliwie „domowym wynalazcą” i że Penelopa na pewno z radością pozbyła go się na trochę. Czemu ta wątróbka jest taka śliska?

Weszła Eleanor i jak zwykle bez słowa wzięła sobie jedzenie z kredensu.

- Ale zaśmierdziało! - zauważyła Ruth.

- Spóźniłaś się, Neli - rzuciła Bee pytającym tonem.

- Ona nigdy nie nauczy się jeździć - powiedziała Eleanor. - Nie potrafi jeszcze nawet unosić się w siodle.

- Może wariaci nie umieją jeździć konno - zasugerowała Ruth.

- Ruth - zaprotestowała żywo Bee. - Uczniowie z dworu nie są wariatami. Nie są nawet umyślowo niedorozwinięci. Są po

prostu „trudni”.

- Według fachowego określenia „źle przystosowani” - dorzucił Simon.

- Zachowują się jak wariaci. Jeśli ktoś zachowuje się jak wariat, to dlaczego mówić, że nim nie jest?

Ponieważ nikt nie umiał odpowiedzieć na to pytanie, milczenie zaległo nad stołem, przy którym rodzina Ashbych spożywała lunch. Eleanor jadła szybko i w skupieniu, jak głodny uczeń, nie podnosząc oczu znad talerza. Simon wyjął ołówek i na marginesie gazety obliczał szanse wygranych Ruth, która na probostwie skradła trzy herbatniki ze słoika na kredensie i zjadła je w łazience, zrobiła z jedzenia na talerzu zamek i oblała go fosą z sosu. Jane zajadała pilnie i z zadowoleniem. A Bee siedziała wpatrzona w widok za oknem.

Za dalekim pasmem wzgórz teren pocięty szachownicą pól opadał ku morzu i skupionym ciasno dachom miasteczka Westover. Ale tu w rozległej dolinie, osłoniętej od sztormów Kanału i otwartej na słońce, drzewa w jego jasnym blasku stały nieruchomo jak w głębi łądy; wyglądało to prawie bajkowo. Krajobraz w owej cudownej promienności i spokoju wydawał się zjawiskowy.

Piękne dziedzictwo. Piękne, bogate dziedzictwo. Miała nadzieję, że Simonowi będzie się tu dobrze wiodło. Bywały chwile, kiedy... nie, nie bała się kiedy się zastanawiała. Simon był człowiekiem zbyt złożonym; porywczy charakter nie pasował do dziedzica włości. Ze wszystkich okolicznych majątków jedynie Latchetts było wciąż domem rodzinnym jego właścicieli i Bee miała nadzieję, że i przez następne stulecia mieszkać tu będzie ród Ashbych. Jasnowłosych, drobnych, długogłowych Ashbych, jak ci tutaj zgromadzeni wokół stołu.

- Jane, czy musisz rozchlapywać w ten sposób kompot? - Nie znoszę rabarbaru w kawałkach, Bee, lubię przetarty.

Kiedy była w wieku Jane, też rozcierała rabarbar przy tym samym stole. Jadali przy nim Ashby'owie, którzy zmarli na febrę w Indiach, z ran na Krymie, z głodu w koloniach, na tyfus w Afryce i na skutek marskości wątroby na Malajach.

Ale zawsze jakiś Ashby był w Latchetts; i dobrze im się wiodło na roli. Od czasu do czasu rodził się nicpoń - jak kuzyn Walter - lecz Opatrzność czuwała nad tym, żeby cechy nicponiów posiadali młodszy synowie, którzy swoją nieobliczalnością nękali ludzi nie związanych z Latchetts.

Żadne królowe nie przybywały do Latchetts na obiad; nie kryli się tu żadni rojaliści. Przez trzy stulecia dom ten stał pośród łąk, tak samo jak stoi teraz. Pańska siedziba. I prawie przez dwa z tych trzech stuleci mieszkał tu ród Ashbych.

- Simon, mój drogi, zajmij się deserem.

Może ocalała ten majątek jego prostota. Nie rościł sobie żadnych pretensji, nie miał żadnych aspiracji. Jego dobro zostało zakopane w ziemi, jego siły żywotne powróciły do korzeni. Po drugiej stronie doliny, w Clare, stał w parku długi biały dom pełen królewskiego wdzięku, ale nie mieszkali już tam Ledinghamowie. Roztrwonili swoje talenty i bogactwa, wykorzystując Clare jako tło, źródło dochodu, dekorację, schronienie, ale nie dom. Przez stulecia paradowali po świecie jako prokonsulowie, odkrywcy, błaznowie, hulacy, wywrotowcy, a Clare umożliwiło im te ekstrawagancje. Teraz pozostały tylko ich portrety. A duży dom w parku stał się internatem dla niesfornych dzieci ludzi o postępowych poglądach i dużych kontaktach bankowych.

Ale rodzina Ashbych została w Latchetts.

## Rozdział II

Bee nalewała kawę, bliźniaczki znikły, zajęte własnymi sprawami, gdyż był to dla nich dzień półświęteczny. Eleanor wypła spiesznie kawę i wróciła do stajni.

- Czy dziś po południu potrzebny ci będzie samochód? - spytał Simon. - Obiecałem starymu Gatesowi, że przywiozę mu cielę z Westover jedną z naszych przyczep. Jego ciężarówka się zepsuła.

- Nie, nie będę potrzebowała samochodu - odpowiedziała Bee, dziwiąc się, co jest powodem, że Simon daje się



namówić na takie nudne zajęcia. Miała nadzieję, że nie córka Gatesa, bardzo ładna, bardzo głupia i bardzo pospolita. Gates był dzierżawcą Wigsell, najmniejszego z trzech folwarków. Simon zazwyczaj nie okazywał wyrozumiałości dla jego oportunistycznych poczynań.

- Jeśli chcesz znać prawdę - powiedział wstając - mam ochotę obejrzeć w „Empire” nowy obraz June Kaye.

Rozbrajająca szczerłość tych słów ucieszyłaby każdego z wyjątkiem Beatrice Ashby, która bardzo dobrze знаła metody bratanka: rzucił dwie piłki, aby odwrócić uwagę od trzeciej.

- Czy przywieźć ci coś?

- Jeśli będziesz miał czas, to kup, proszę, nowy rozkład autobusów. Eleanor mówi, że jest teraz autobus do Clare przez Guessgate.

- Bee - odezwał się jakiś głos w hallu. - Czy jesteś tam, Bee?

- Pani Peck - powiedział Simon wychodząc jej naprzeciw.

- Chodź, Nancy!,- zawołała Bee. - Chodź i napij się ze mną kawy. Inni już wypili.

Zona pastora weszła do pokoju, postawiła pusty koszyk na kredensie i usiadła z westchnieniem zadowolenia.

- Napiję się chętnie - powiedziała.

Ludzie wymieniając nazwisko pani Peck dodawali zaraz: „Wiesz, to dawna Nancy Ledingham”, choć minęło już dziesięć lat, odkąd ku zdumieniu wyższych sfer towarzyskich poślubiła George'a Pecka i zakopała się na wiejskim probostwie. Nancy Ledingham była wtedy czymś więcej niż „wchodzącą w świat panną”, stanowiła własność publiczną. Brukowa prasa zrobiła dla niej to samo, co jednopensowe pocztówki dla Lily Langtry: piękność jej stała się własnością ogółu. Jeśli ludzie nie stawali na krzesłach, aby przyglądać się, gdy przechodziła, to na pewno tamowali ruch uliczny. Perspektywa jej wystąpienia jako drużyny na czymś ślubie sprawiała, że władzom już na tydzień naprzód serca były żywiej na samą myśl, co się będzie działo. Cechowała ją ta bezsporna, pogodna uroda, wobec której kapitulują nawet złośliwi plotkarze. Pozostawało tylko jedno pytanie, a mianowicie, czy wianek na jej włosach będzie przybrany

listkami truskawek, czy nie. Niejednokrotnie prasa codzienna wieńczyła głowę Nancy koroną, lecz było to na ogół pobożne życzenie; publiczność, która chciała ją oglądać, opowiadała się za listkami truskawkowymi.

A potem, zupełnie nagle, między jedną plotką a drugą, jeśli można się tak wyrazić, poślubiła George a Pecka. Wstrząśnięta prasa, robiąc co się dało dla wstrząśniętych czytelników, rozpoczęła trele o romantycznej miłości, George jednak zawiódł te nadzieje. Był to wysoki, szczupły mężczyzna z twarzą bardzo inteligentnej i dość miłej małpy.- Poza tym, jak wyraził się redaktor rubryki towarzyskiej w „Clarion”: „Pastor! Coś podobnego! wydobyłbym więcej romantyczności z mieszadła do cementu!”.

Więc publiczność pozwoliła jej odejść w wybrane przez nią zapomnienie. Ciotka Nancy, odpowiedzialna za jej występy na arenie towarzyskiej, wydziedziczyła ją. Ojciec umarł w długach i smutku. A jej stary dom, duży biały dom w parku, zamieniono na szkołę.

Lecz po trzynastu latach życia na probostwie Nancy Peck była wciąż pogodna i niezaprzeczalnie piękna. A ludzie nadal mówili: „Wiesz, to dawna Nancy Ledingham”.

- Przyszłam po jajka - powiedziała - ale nie ma pośpiechu. Co za rozkosz usiąść i nic nie robić.

Bee popatrzyła na nią z uśmiechem.

- Taką masz ładną twarz, Bee.

- Dziękuję ci. Ruth mówi, że mam twarz luksusowego kota.

- Nonsens! A w każdym razie żadnego futerkowego zwierzęcia. Wiem, co ona ma na myśli! Te koty o długiej szyi, krótkiej sierści i małych podbródkach. Koty heraldyczne. Tak, Bee kochana, masz twarz heraldycznego kota. Zwłaszcza kiedy nie poruszasz głową i zerkasz z boku na ludzi. - Odstawiła filiżankę i westchnęła znowu z zadowoleniem. - Trudno sobie wyobrazić, że purytanie nie odkryli kawy.

- Nie odkryli?

- Tak, jako narkotyku. Działa mocniej niż alkohol. A jednak nikt nie mówi na ten temat kazań ani nie odżegnuje się od niej. Pięć łyków i świat wydaje się różowy.

- A przedtem był bardzo szary?

- W kolorze błota. Byłam taka szczęśliwa w tym tygodniu. Pierwszy tydzień w tym roku, kiedy nie trzeba było palić w salonie. Nie musiałam rozpalać ognia i czyścić kominków. Ale nic, powtarzam ci, nie powstrzyma George'a od wyrzucania do kominka wypalonych zapalek. A ponieważ potrzebuje piętnastu, żeby zapalić fajkę... W pokoju jest pełno koszy na śmieci i popielniczek, ale George musi rzucać zapalki do kominka. Nawet nie celuje, niech go... Wytworny, niedbały ruch ręki i zapalka ląduje gdziekolwiek, od kraty zaczynając, a na najdalej leżącym kawałku węgla kończąc. I wszystko to trzeba wybierać.

- A on mówi: „Dlaczego ich tam nie zostawisz?”

- Tak. Jednakże napiwszy się kawy w Latchetts, postanowiłam, że mimo wszystko nie zagrozę mu tasakiem.

- Biedna Nan. Ach, ci chrześcijanie!

- Jak postępują przygotowania do waszej uroczystości?

- Tekst zaproszeń zostanie lada dzień wysłany do drukarni, ważny etap mamy za sobą. Obiad dla najbliższych będzie tutaj. A tańce dla wszystkich - w stodole. A propos, jaki jest adres Aleka?

- Nie mogę sobie tak na poczekaniu przypomnieć jego ostatniego adresu. Muszę poszukać. Prawie na każdym jego liście jest inny adres. Przypuszczam, że wyrzucają go, kiedy przestaje płacić komorne. Oczywiście nieczęsto mam od niego wiadomości. Nigdy nie wybaczył mi, że nie wysłałam dobrze za męża, żeby móc utrzymywać jedyne go brata na poziomie, do jakiego przywykł.

- Czy on teraz gra?

- Nie wiem. Miał jakąś rolę w tej głupiej komedii w „Sawoyu”, ale szła parę tygodni. Ma tak określony typ, że jego role są z konieczności ograniczone.

- Tak przypuszczam.

- Nikt nie potrafiłby stworzyć z Aleka tak kompletnego zera, jak robi to on sam. Nie wiesz, jakie masz szczęście, Bee, że przestajesz z rodziną Ashbych. Hulacy w tej rodzinie zdarzają się stosunkowo rzadko.

- Mieliśmy Waltera.

- Pojedynczy okaz. Co się stało z kuzynem Walterem?

- Umarł.

- *In odoie sanctitatis?*

- Nie, w woni karbolu. O ile wiem, w przytułku.

- Wiesz, Walter nie był zły. Tylko lubił wypić, a miał słabą głowę. Ale kiedy któryś z Ledinghamów okazuje się hultajem, to jest po prostu zły.

Siedziały razem i milczały bez skrepowania, rozmyślając o swoich rodzinach. Bee była starsza od swojej przyjaciółki, dzieliło ją prawie pokolenie. Ale żadna z nich nie pamiętała już czasu, kiedy drugiej tu nie było.

Dzieci Ledinghamów odwiedzały Latchetts jak własny dom, równie dobrze im znany, jak Clare znane było Ashbym.

- Tak często myślałam o Billu i Norze - powiedziała Nancy.

- Jakby się teraz cieszyli!

- Tak - potwierdziła w zadumie Bee z oczyma utkwionymi w okno.

Miała przed sobą ten sam widok, kiedy się to stało. W dzień bardzo podobny do dzisiejszego i o tej samej porze roku. Stojąc w oknie salonu myślała wtedy, że to, na co patrzy, jest piękne, i zastanawiała się, czy oni nie uznają, że wszystko, co widzieli w Europie, ani w połowie nie było takie. Zastanawiała się, czy Nora wygląda lepiej - była bardzo mizerna po urodzeniu bliźniaczek. Bee miała nadzieję, że dobrze zastępowała im matkę, lecz z przyjemnością myślała o tym, że od jutra wraca do własnego życia w Londynie.

Bliźniaczki spały już, a starsze dzieci przygotowywały się na piętrze do powitania rodziców i do kolacji, którą pozwolono im zjeść razem ze starszymi. Za niecałe pół godziny samochód wynurzy się z alei lipowej i stanie przed drzwiami. Wsiądą z niego Nora i Bill, będzie dużo podniecenia, śmiechu, uścisków, radości, rozdawanie prezentów.

Otworzyła radio tak machinalnie, że nie zdała sobie nawet z tego sprawy. „Samolot, który' wystartował o drugiej z Paryża do Londynu z dziewięcioma pasażerami i trzema osobami załogi na pokładzie - mówił chłodny głos - rozbił się

dzisiaj po południu minąwszy wybrzeże Kentu. Nikt nie ocalał."

Tak, nikt nie ocalał.

- Byli tacy oddani dzieciom - powiedziała Nancy. - Tak dużo o nich myślę teraz, gdy Simon zbliża się do pełnoletności.

- A ja o Patryku.

- O Patryku? - powtórzyła niepewnie Nancy. - Tak, oczywiście. Biedny Pat.

Bee popatrzyła na nią z zaciekawieniem.

- Ty już prawie zapomniałeś o nim, co?

- To było tak dawno, Bee. Sądzę, że świadomość ludzka pozbywa się spraw, których nie ma siły pamiętać. Bill i Nora - to było straszne, lecz takie rzeczy się ludziom zdarzają. Mimo wszystko normalne życiowe ryzyko. Ale Pat - to co innego. - Siedziała przez chwilę w milczeniu. - Pogrzebałam go tak głęboko w pamięci, że już nawet nie wiem, jak wyglądał. Czy był taki podobny do Simona jak Ruth do Jane?

- O nie! To nie były identyczne bliźniaki. Nie bardziej podobni do siebie, niż zwykli bracia. Ale dziwna rzecz, o wiele więcej byli żywi niż Ruth i Jane.

- Simon już to chyba przebolewał. Myślisz, że wspomina go czasem?

- Ostatnio chyba bardzo często.

- Tak. Ale od roku trzynastego do dwudziestego pierwszego to długa droga. Z takiej odległości chyba nawet obraz brata bliźniaka się zaciera.

Bee zastanowiła się. W jakim stopniu zatarł się dla niej obraz poważnego, dobrego chłopca, który w przyszłym miesiącu odziedziczyłby majątek? Próbowwała wywołać przed oczami jego twarz, lecz widziała tylko zamazaną plamę. Był drobny i mało rozwinięty na swój wiek, ale poza tym - po prostu Ashby. W pamięci utkwiło raczej rodzinne podobieństwo niż jakieś indywidualne cechy. Naprawdę pamiętała tylko - jak sobie teraz uświadomiła - że był poważny i dobry.

Dobroć to nie jest częsta cecha u małych chłopców.

Simon potrafił być wspaniałomyślnie hojny, kiedy go to nic nie kosztowało. Lecz Patryka cechowała ta wewnętrzna dobroć,

która nie tylko daje, ale umie rezygnować.

- Wciąż jeszcze się zastanawiam - powiedziała ze smutkiem Bee - czy powinniśmy się byli zgodzić na to, żeby ciało znalezione na wybrzeżu koło Castleton zostało tam pogrzebane. To był pogrzeb nędzarza.

- Ależ, Bee! Leżało przez wiele miesięcy w wodzie, prawda? Nie dało się nawet ustalić płci. Castleton jest tak daleko. Chowają tam zresztą wszystkich topielców wyłowionych z Atlantyku. To znaczy tych z okolicy. Nie ma sensu dręczyć się... utożsamiać tego z... - Jej pełen przerażenia głos zamarł w ciszy.

- Nie! Oczywiście, że nie! - odparła żywo Bee. - Po prostu mi smutno. Napijesz się jeszcze kawy?

Nalewając kawę postanowiła, że jak Nancy wyjdzie, otworzy szufladę w swoim biurku i spali tę żalostną kartkę Patryka. To nienormalne przechowywać coś takiego; nie spojrzała na nią przecież od lat. Nigdy nie miała odwagi jej podrzeć, wydawała się częścią Patryka. To naturalnie absurd. Nie była bardziej jego częścią niż rozpacz, która go przepełniała, gdy napisał: „Przepraszam, ale nie mogę znieść tego dłużej. Nie gniewajcie się na mnie. Patryk”. Wyjmie kartkę z szuflady i spali. Nie wymaże to oczywiście z pamięci jej treści, ale nic innego nie może zrobić. Okrągłe, uczniowskie pismo wyryte tam było na wieki. Zgrabne litery, wypisane starannie wiecznym piórem, które tak lubił. To takie podobne do Patryka - przepraszać za to, że odbiera sobie życie.

Nancy obserwując twarz przyjaciółki odezwała się tonem pociechy:

- Wiesz, mówią, że gdy ktoś skacze z wysoka, prawie od razu traci przytomność.

- Nie sędzę, żeby tak było w jego przypadku, Nan.

- Nie! - Nancy była wstrząśnięta. - Znalezione tam przecież tę kartkę. To znaczy wiatrówkę z kartką w kieszeni. Na skale.

- Tak, ale przy ścieżce. Przy ścieżce biegnącej wzdłuż rozpadliny do wybrzeża.

- No więc co ty...?

- Myślę, że wypłynął na morze.

- I nie mógł wrócić?

- Tak. Kiedy zastępowałam Billa i Norę w czasie ich urlopu, chodziliśmy kilka razy z dziećmi do tej rozpadliny - pływaliśmy, urządzaliśmy pikniki. I raz, kiedyśmy tam byli, Patryk powiedział, że najlepsza śmierć - zdaje mi się, że użył słowa „rozkoszna” - to wypłynąć tak daleko, żeby ze zmęczenia nie móc płynąć dalej. Powiedział to oczywiście zupełnie obojętnie. Taka teoretyczna dyskusja. Kiedy zwróciłam mu uwagę, że utonięcie to jednak utonięcie, odpowiedział: „Ale człowiek byłby już taki zmęczony, że wszystko byłoby mu obojętne. Woda by go zabrała.” On kochał wodę.

Milczała chwilę, a potem zdradziła myśl, która od lat nękała ją po nocach.

- Zawsze bałam się, że mógł żałować, kiedy już było za późno, żeby wrócić.

- O Bee, nie!

Ukradkowe spojrzenie Bee spoczęło na pięknej, wzburzonej twarzy Nancy.

- To chorobliwe. Wiem. Zapomnij o tym, co powiedziałam.

- Nie rozumiem, jak mogłam zapomnieć - odparła w zamyśleniu Nancy. - Spychanie w podświadomość rzeczy przykrych ma jedną wadę: kiedy się przypominają, są tak świeże, jakby spoczywały w lodówce. A ty nie pozwalasz, żeby czas je trochę złagodził.

- Myślę, że bardzo wiele osób prawie zapomniało, że Simon miał brata bliźniaka - tonem usprawiedliwienia rzekła Bee. - I że nie zawsze był spadkobiercą. Oczywiście nikt nie wspomniał przy mnie Patryka, odkąd zaczęło się mówić o przygotowaniach do uroczystości pełnoletnia.

- Dlaczego Patryk czuł się tak niepokieszony po śmierci rodziców?

- Nie wiedziałam, że się tak czuł. Nikt z nas nie wiedział. Wszystkie dzieci były zgnębione, przybite, prawie chore. Ale mniej więcej jednakowo. Patryk wydawał się oszołomiony raczej niż niepokieszony. „To znaczy, że Latchetts należy teraz do mnie?” Pamiętam, że mówił te słowa takim tonem,

jakby to było coś dziwnego, trudnego do pojęcia. Pamiętam, że drażnił Simona. Simon był zawsze ten genialny. Sądzę, że to wszystko było za ciężkie dla Patryka, zbyt niepojęte. Nieokreślone uczucie nagłego osierocenia i ciężar Latchetts na barkach. To było dla niego za wiele, czuł się taki nieszczęśliwy, że... się usunął.

- Biedny Pat. Biedaczek. Nieładnie, że o nim zapomniałam.

- Chodź, wybierzemy te jajka. Nie zapomnisz przysłać mi adresu Aleka? Członek rodziny Ledinghamów musi otrzymać zaproszenie.

- Nie zapomnę. Poszukam adresu, jak wrócę do domu; podam ci go przez telefon. Czy twoja ostatnia kretyńka umie odebrać telefon?

- Mniej więcej.

- Ograniczę się do rzeczy zasadniczych. Nie zapomnisz, że jego sceniczne nazwisko brzmi Alec Loding? - Wzięła swój koszyk z kredensu. - Ciekawa jestem, czy przyjedzie. Dawno już nie był w Clare. Życie na wsi nie bawi Aleka. Ale pełnolecie jednego z Ashbych to coś, co go na pewno zainteresuje.

### **Rozdział III**

Alec Loding zainteresował się rzeczywiście dojściem do pełnoletności jednego z Ashbych, ale głównie dlatego, że chciał rozdmuchać tę uroczystość do największych rozmiarów. W tej chwili właśnie pochłonięty był manewrami przypominającymi pociąganie kukiełek za sznurki. Lub raczej usiłowaniami w tym kierunku. Sznurki bowiem stawiały opór.

Jadł lunch w barze „Pod Siłaczem”, przed nim stały resztki potrawy, a obok siedział młody człowiek. Można by powiedzieć chłopiec, gdyby nie jego opanowanie i spokój, nie pasujące do wieku chłopięcego. Loding nalał sobie kawy i mocno ją osłodził. Od czasu do czasu zerkał na swego towarzysza, który obracał prawie pustą szklankę na stole. Ruch ten był tak niespieszny, że z trudem można by go nazwać nerwowym.



- No i jak? - spytał w końcu Loding.

- Nie.

Loding upił łyk kawy.

- Skrupuły?

- Nie jestem aktorem.

Coś w tym obojętnie wypowiedzianym zdaniu ukłuło Lodinga, który się lekko zaczerwienił.

- Nikt nie wymaga okazywania uczuć, jeśli o to panu chodzi. Nie musi pan udawać synowskiej miłości. Tylko pełne szacunku przywiązanie do ciotki, której nie widział pan blisko dziesięć lat...

- Nie.

- Idioto! Ofiarowuję panu majątek.

- Pół majątku. I nic mi pan nie ofiarowuje.

- Jeśli nie ofiarowuję, to co robię?

- Proponuje pan - odparł młodzieniec. Nie podniósł wzroku znad obracanej powoli szklanki z piwem.

- Doskonale, proponuję. I co pan widzi złego w tej propozycji?

- Jest wariacka.

- Co w niej wariackiego, jeśli zmieni korzystnie pańskie życie?

- Nikomu by się to nie udało.

- Niedawno pewien aktor w biały dzień i wobec tłumu widzów z powodzeniem udawał słynnego generała, którego twarz była ogólnie znana.

- To zupełnie co innego.

- Zgadzam się. Nikt nie wymaga, żeby pan kogoś udawał. Ma pan być sobą. To o wiele łatwiejsze.

- Nie - powiedział młody człowiek.

Loding z widocznym wysiłkiem opanowywał irytację. Miał różową, zniszczoną twarz, przypominającą spód świeżego muchomora. Na szlachetnym Ledinghamowskim kościec ciał zwiślało wyraźnie zwiotczałe, a zaczątki worków pod oczami stępiały ich niewątpliwie inteligentny wyraz. Reżyserzy, którzy kiedyś dawali mu role wesołych młodych hulaków, teraz pozwalali grać jedynie skompromitowanych

rozpuśników.

- Boże! - powiedział nagle. - A pana zęby?

Nawet te słowa nie wywołały żadnej zmiany w wyrazie twarzy młodzieńca. Po raz pierwszy podniósł wzrok i popatrzył z zaciękwawieniem na Lodinga.

- Co z moimi zębami? - spytał.

- W dzisiejszych czasach to metoda identyfikowania ludzi. Každy dentysta prowadzi zapiski. Ciekawe, do którego chodząy te dzieci. Trzeba będzie coś z tym zrobić. Czy przednie zęby ma pan własne?

- Dwa środkowe są sztuczne. Moje mi wybito.

- Jeździli do kogoś tu w mieście, to pamiętam. Dwa razy do roku urządzano wyprawy do londyńskiego dentysty, jedną przed Bożym Narodzeniem, a drugą w lecie. Rano szli do dentysty, a po południu na jakieś widowisko; pantomimę w zimie, a na zawody w „Olimpii” w lecie. A propos, takie rzeczy będzie pan musiał wiedzieć.

- Tak?

To spokojnie wypowiedziane słówko wprawiło Lodinga we wściekłość.

- Niech pan posłucha, Farrar, czego się pan boi? Jakiegoś znaku szczególnego? Kapałem się nieraz z tym chłopcem na golasa, nie miał nawet pieprzyka. Był zupełnie zwyczajny, tuziny takich jak on można by znaleźć w każdej podstawowej szkole w Anglii. W tej chwili przypomina pan jego brata bardziej, niż tamten kiedykolwiek przypominał, choć byli bliźniakami. Mówię panu, myślałem przez chwilę, że pan to młody Ashby. Czy to panu nie wystarczy? Zamieszka pan na dwa tygodnie u mnie, a potem będzie pan wiedział wszystko o wsi Clare i jej mieszkańcach. I o Latchetts. Znam tam každy kąt. I dowie się pan też wszystkiego o rodzinie Ashbych. Umie pan pływać?

Młody człowiek skinął głową. Kręcił znów w kółko swoją szklanę z piwem.

- Dobrze?

- Tak.

- Czy pan nigdy nie rozwija swoich odpowiedzi?

- Nie, jeśli to nie jest potrzebne

- Tamten chłopak pływał jak ryba. Jest jeszcze sprawa uszu. Ma pan dość zwyczajne uszy i on też musiał mieć takie, bo inaczej bym je zapamiętał. Każdy, kto odebrał szkołę życia, zauważa kształt uszu. Muszę przejrzeć jego fotografie. En face nie mają znaczenia, ale zbliżenie ucha może być bardzo ważne! Muszę pojechać do Clare i poszukać.

- Niech się pan nie trudzi z mego powodu.

Loding milczał przez chwilę. A potem zapytał spokojnie:

- Niech mi pan powie, czy pan w ogóle wierzy w to, co powiedziałem?

- W to, co pan powiedział?

- Tak. Czy wierzy pan, że jestem tym, za kogo się podaję, że pochodzę ze wsi Clare, gdzie mieszka ktoś, kto właściwie jest pańskim sobowtórem? Czy pan w to wierzy? Czy też myśli, że próbuję ściągnąć pana do siebie?

- Nie, tak nie myślałem. Wierzę w to, co pan mówi.

- No, dzięki niebu przynajmniej za to - powiedział Loding, unosząc w górę brwi. - Wiem, że nie wyglądam już tak jak kiedyś, ale byłbym zdruzgotany, dowiadując się, że nasuwam myśl o grabieży. No, dobrze. Tę rzecz ustaliliśmy. Czy wierzy pan, że jest pan podobny do młodego Ashby'ego, jak mówię?

Przez cały pełny obrót szklanki panowało milczenie.

- Wątpię w to.

- Dlaczego?

- Sam pan twierdzi, że nie widział go pan już dość dawno.

- Ale pan nie ma być młodym Ashbym. Tylko być do niego podobnym. I proszę mi wierzyć, że jest pan podobny! I to jak! Sam nie uwierzyłbym w coś podobnego, gdybym nie widział tego na własne oczy. Wydawało mi się, że takie rzeczy zdarzają się tylko w powieściach. A dla pana oznacza to fortunę. Trzeba tylko wyciągnąć po nią rękę.

- O, nie!

- Mówię w przenośni. Czy zdaje pan sobie sprawę, że z wyjątkiem pierwszego roku, czy coś koło tego, pańska opowieść będzie prawdziwa? Będzie to pana własna historia, która wytrzyma wszelkie weryfikacje. - W jego głosie

zabrzmiała nuta komediowa. - Czy nie tak?

- Owszem, można by to sprawdzić.

- No więc. Musi pan tylko wsiąść na statek „Ira Jones” w Westover, zamiast jechać na jednodniową wycieczkę do Dieppe, *et voil*.

- Skąd pan wie, że był w tym czasie w Westover statek „Ira Jones”?

- „W tym czasie”! Słabe ma pan o mnie wyobrażenie, *amigo*. Statek o tej nieładnej nazwie stał w porcie Westover w dniu, w którym chłopiec zniknął. Wiem o tym, bo prawie cały dzień go malowałem. Na płótnie, oczywiście, nie dosłownie. I ta stara krypa odpłynęła, zanim skończyłem ją malować. Popłynęła na Wyspy Normandzkie. Wszystkie statki, które malowałem, odpływały, zanim zdążyłem je skończyć.

Przez chwilę panowało milczenie.

- Ma pan to w rękach, Farrar.

- W rękach mam szklanę.

- Majątek. Śliczny niewielki majątek. Spokój...

- Spokój, powiedział pan?

- Po początkowym ryzyku, oczywiście - odrzekł gładko Loding.

Jasne oczy wpatrzone przez moment w niego miały wyraz lekko ubawiony.

- Czy nie przyszło panu do głowy, że to pan ryzykuje?

- Ja?

- Proponuje mi pan najbardziej atrakcyjną możliwość oszustwa, o jakiej w życiu słyszałem. Biorę u pana korepetycje, zdaję egzamin i zapominam o panu. I nic mi pan nie robi. Jak pan sobie wyobrażał egzekwowanie rozliczeń między nami?

- Nie wyobrażałem sobie tego wcale. Nikt, kto wygląda na Ashby'ego, nie może być oszustem. Ci ludzie to symbole uczciwości.

Chłopak odsunął szklanę.

- Dlatego pewnie nie podoba mi się pomysł zostania oszustem. Dziękuję za lunch, panie Loding. Gdybym wiedział, jakie ma pan wobec mnie zamiary, nie byłbym...

- Dobrze, dobrze. Niech się pan nie tłumaczy. I niech pan nie ucieka, wyjdziemy razem. Nie podoba się panu moja propozycja? Dobrze. Niech i tak będzie. Ale pan mnie fascynuje. Nie mogę oderwać od pana oczu, nie mogę uwierzyć, że istnieje coś tak niezwykłego. A skoro jest pan pewny, że moja niestosowna propozycja nie ma charakteru osobistego, nie widzę przeszkód, żebyśmy nie mogli pójść razem do metra.

Loding zapłacił za lunch i gdy wychodzili z baru, powiedział:

- Nie pytam, gdzie pan mieszka, żeby pan nie pomyślał, że chcę go tropić. Ale dam panu mój adres w nadziei, że mnie pan odwiedzi. Nie w sprawie tej propozycji! Jeśli ona panu nie odpowiada, to nie, z takim nastawieniem nic by z tego nie wyszło. Nie chodzi o moją propozycję. Mam coś w domu', co, jak mi się zdaje, zainteresowałoby pana.

Zrobił teatralną pauzę, przechodzili właśnie przez skrzyżowanie ulic.

- Kiedy po śmierci ojca sprzedano nasz stary dom w Clare, Nancy spakowała wszystkie moje rzeczy i odesłała mi je. Pełen kufer śmieci. Nie zdobyłem się nigdy na to, żeby je wyrzucić, a większość z tego stanowią zdjęcia towarzyszy mojej młodości. Myślę, że mogłyby pana zainteresować.

Zerknął z boku na nie zachęcający profil Farrara.

- Czy pan gra w karty? - spytał, kiedy stanęli u wejścia do metra.

- Nie z obcymi - odrzekł uprzejmie młody człowiek.

- Po prostu się nad tym zastanawiałem. Nie widziałem nigdy dotąd idealnej twarzy pokerzysty i żałowałbym, gdyby się marnowała jako twarz purytańskiego abstynenta. Proszę, tu jest mój adres. Gdybym przypadkiem zniknął stamtąd, odnajdzie mnie pan w „Reflektorze”. Naprawdę żałuję, że nie zdołałem panu sprzedać pomysłu zostania jednym z Ashbych. Czuję, że byłby pan wspaniałym właścicielem Latchetts. Ktoś, kto lubi konie i jest przyzwyczajony do życia na świeżym powietrzu...

Młody człowiek, który wykonał już gest pożegnalny i odwracał się, by odejść, przystanął.

- Konie? - spytał.

- Tak - odrzekł Loding, trochę zdziwiony. - Jest tam stadnina. Bardzo ładnie prowadzona, jak mi się zdaje.

- O! - zatrzymał się jeszcze na chwilę i odszedł.

Loding patrzył za nim.

Coś przegapiłem, myślał. Była przynęta, na którą by się złapał, a ja ją przegapiłem. Dlaczego zareagował na słowo „konie”? Chyba ma ich już dość. No, może przyjdzie obejrzyć, jak wyglądał jego sobowtór.

## Rozdział IV

Chłopak leżał na łóżku w ciemności, całkowicie ubrany, wpatrując się w sufit.

Na ulicy nie było latami, które by oświetlały pokój położony od podwórza, na poddaszu. Tylko lekka poświata nad Londynem z miliona łukowych, gazowych i parafinowych lamp rzuciła widmowy odblask na sufit, na którym pęknięcia i plamy wyglądały jak mapa świata.

Chłopiec wpatrywał się w mapę świata, ale nie na suficie. Wspominał swoją odyseję, sporządzał prywatny inwentarz. Dzisiejsze spotkanie poruszyło go. A więc był gdzieś drugi chłopak tak do niego podobny, że przez moment można ich było pomylić. Dla kogoś bardzo samotnego przez całe życie była to myśl niezwykła.

To naprawdę najbardziej zadziwiająca rzecz, jaka mu się przytrafiła w ciągu jego dwudziestu jeden lat. Jakby te wszystkie lata, które w swoim czasie wydawały się wypełnione i ciekawe, prowadziły jedynie do chwili, kiedy ten aktor zatrzymał go na ulicy słowami:

„Cześć, Simon!”

- O, przepraszam - powiedział zaraz. - Myślałem, że to mój przyjaciel... - A potem przystanął i wpatrywał się w niego.

- Czy mogę czymś panu służyć? - spytał w końcu młody człowiek, kiedy mężczyzna nie ruszał się z miejsca.

- Owszem. Mógłby pan zjeść ze mną lunch.

- Dlaczego?

- Jest pora lunchu, a za pana plecami znajduje się mój ulubiony bar.

- Ale dlaczego mnie pan zaprasza?

- Bo mnie pan interesuje. Jest pan uderzająco podobny do mego przyjaciela. Nazywam się Loding. Alec Loding. Gram złą rolę w złej farsie w bardzo złym starym teatrze, o tam! - Ruchem głowy wskazał budynek po drugiej stronie ulicy. - Związek Artystów Scenicznych, niech im Bóg wybaczy, wyznaczył najniższe wynagrodzenie za moje trudy, jest ono jednak i tak lepsze niż rola, co stwierdzam z radością. Czy zechciałby pan powiedzieć mi swoje nazwisko?

- Farrar.

- Farrell?

- Nie, Farrar.

- O! - Wzrok jego był nadal badawczy i rozbawiony. - Dawno pan przyjechał do Anglii?

- Skąd pan wie, że stąd wyjeżdżałem?

- Mówi mi o tym pański strój, chłopcze. Stroje to moja specjalność. Przebierałem się do tylu ról, że rozpoznaję amerykańskie krawiectwo. Nawet ten cudownie staroświecki fason, w którym tak panu do twarzy.

- A dlaczego sądzi pan, że nie jestem Amerykaninem?

Na te słowa Loding uśmiechnął się szeroko.

- O, to odwieczna tajemnica Anglika. Przyglądasz się procesji mnichów we Włoszech: nagle twoje oko zatrzymuje się na jednym z nich i mówisz sobie: „To Anglik”. Natykasz się w Wisconsin na pięciu włóczęgów przykrytych workami dla ochrony przed deszczem, zwracasz uwagę na tego piątego i myślisz: „O Boże! To Anglik!” Widzisz dziesięciu nagich mężczyzn, których lekarz bada przed zaciągiem do Legii Cudzoziemskiej i mówisz... Ale chodźmy na lunch, to sobie pogadamy spokojnie.

Poszli więc na lunch, mężczyzna gadatliwy i czarujący. Lecz stale w jego żywych, podpuchniętych oczach błyskała iskierka kpiny i jakby niedowierzania. To spojrzenie było bardziej wymowne niż wszystkie słowa Lodinga. Naprawdę,

on, Brat Farrar, musi być zupełnie podobny do tamtego, jeśli wywołuje w czyichś oczach ten wyraz na pół niedowierzającego ubawienia.

Leżał na łóżku i rozmyślał. Takie nagłe odnalezienie tożsamości w życiu, w którym nie czuł się nigdzie przynależny. Miał wielką ochotę zobaczyć swojego bliźniaka - tego młodego Ashby'ego. Ashby. Ładne nazwisko, dobre angielskie nazwisko. Chciałby także zobaczyć tę posiadłość: Latchetts, gdzie jego bliźniak wyrósł w rodzinie i spokoju, gdy on ujeżdżał konie po świecie, wciąż, od wyjścia z sierocińca do tej chwili, nie przynależąc nigdzie.

Sierociniec. To nie wina sierocińca, że czuł się wszędzie obcy. Było tam dobrze, o wiele milej niż w niejednym domu, który potem widział. Wychowankowie lubili sierociniec. Płakali, kiedy go opuszczali. Przyjeżdżali z wizytami i przysyłali datki na powiększenie funduszów zakładu; zapraszali personel na śluby i przywozili potem swoje dzieci, by pokazać je przełożonej. Nie było dnia, żeby jakiś dawny wychowanek czy wychowanka nie zastukali do frontowych drzwi. Więc dlaczego on się tam dobrze nie czuł? Czy dlatego, że był podrzutkiem? Czy dlatego? Dlatego, że nikt go nigdy nie odwiedzał, że nie dostawał żadnych listów, paczek i zaproszeń? Lecz postępowano z nim bardzo mądrze, starano się zakorzenić w nim poczucie własnej godności. To, że był podrzutkiem, dawało mu nawet pewne przywileje w stosunku do innych dzieci. Prezent, jaki dostał od przełożonej na Gwiazdkę, koledzy oglądali z zazdrością, bo oni dostawali coś od wuja czy ciotki, tylko od krewnego. To przełożona znalazła go na progu i zabrała, to ona postarała się o to, żeby się dowiedział, jak był ładnie ubrany i zadbany. (Słyszał o tym co jakiś czas w ciągu tych piętnastu lat, ale nie dawało mu to żadnej satysfakcji). To przełożona wybrała mu nazwisko za pomocą szpilki i książki telefonicznej. Szpilka zsunęła się na nazwisko Farrell, które bardzo się przełożonej podobało. Przedtem trafiła na słowo Trumna, musiała więc oszukać i powtórzyć wszystko raz jeszcze.

Nigdy nie było wątpliwości co do jego imienia, bo znalazł



się na progu sierocińca w dniu świętego Bartłomieja. Od początku nazywano go Bart. Lecz starsze dzieci zmieniły to imię na Brat<sup>1</sup> i potem nawet personel używał tego bardziej swojskiego miana. (Czy to był następny pomysł przełożonej, żeby nie czuł się „inny”?) Przewisko towarzyszyło mu aż do szkoły średniej.

Szkoła średnia. Dlaczego i tam nie czuł się dobrze?

Czy dlatego, że był trochę inaczej ubrany? Z pewnością nie. Jako dziecko nie był wrażliwy, tylko obojętny. Czy dlatego było mu tam niedobrze, że miał stypendium? Na pewno nie, połowa klasy miała stypendium. Dlaczego więc zdecydował, że szkoła jest nie dla niego? Zdecydował tak stanowczo i po dorosłemu, że wszelkie argumenty przełożonej rozbiły się o mur jego milczenia i pozwolono mu w końcu iść do pracy.

Wiadomo było, oczywiście, że on nie lubi pracy. Miał pięćdziesiąt mil do biura, a ponieważ nie mógł opłacić normalnego mieszkania ze swojej pensji, musiał mieszkać w miejscowym schronisku dla chłopców. Nie doceniał sierocińca, póki nie zakosztował tego schroniska. Potrafiłby znieść pracę albo schronisko, ale nie jedno i drugie. A z dwójga złego biuro było o wiele gorsze. Praca co prawda nietrudna, spokojna i stwarzająca pewne, choć odległe, perspektywy. Lecz on czuł się jak w więzieniu. Nieustannie zdawał sobie sprawę z przemijania czasu; czasu, który marnował. Nie tego pragnął.

Pożegnał się z biurowym życiem prawie przypadkiem; z pewnością bez premedytacji. „Jednodniowa wycieczka do Dieppe” - przeczytał w ogłoszeniu przyklejonym na szybie kiosku z gazetami. Cena, wypisana dużymi czerwonymi cyframi, wynosiła prawie dokładnie sumę jego oszczędności. Nie zareagowałby na to ogłoszenie, gdyby nie pogrzeb starego pana Hendrena. Był to kolega emeryt i w dniu jego pogrzebu zamknięto „przez szacunek” biuro. Tak więc z tygodniową zapłatą w kieszeni mając wolny cały dzień powszedni, zabrał swoje oszczędności i popłynął zwiedzić „zagranicę”. Bawił się dobrze w Dieppe, nie spieszony swoją

---

1 Brat - (ang.) berbec, brzdąc (wszystkie przepisy tłumaczki).

znajomością francuskiego ograniczającą się do jednego roku nauki, ale myśl, żeby tam zostać, przyszła mu do głowy dopiero, kiedy zamierzał już wracać do domu. Dopłynął do portu, zanim ta nieprawdopodobna idea całkowicie go opanowała.

Czy wrodzona uczciwość, rozmyślał, wpatrując się w sufit w Pimlico, czy nauki wyniesione z sierocińca sprawiły, że nie zapłacony rachunek w pralni tak bardzo zaważył w walce wewnętrznej, jaką stoczył? Człowiek, który nie ma pieniędzy i dachu nad głową, nie powinien się zanadto przejmować etycznym problemem nie zapłaconych dwóch funtów i trzech pensów w pralni.

Ciężarówka jadąca z portu okazała się jego wybawieniem. Podniósł palec, a spocony, opalony kierowca o zbójckim wyglądzie przyjął z uśmiechem ten międzynarodowy gest i zwolnił. Brat podbiegł, uczepił się ciężarówki i został przetransportowany na statek. Zostawił za sobą całe dawne życie.

Zamierzał zostać i pracować we Francji. Zastanawiał się podczas długiej podróży do Hawru, kiedy gestykulacja nie wystarczała, a żargon kierowcy okazał się niezrozumiały, w jaki sposób mógłby zarobić tyle, aby się utrzymać. Oświecił go przygodny znajomy w bistro w Hawrze.

- Młody przyjacielu - powiedział wpatrując się w niego smutnymi oczami spaniela - aby pracować we Francji, nie wystarczy być mężczyzną. Trzeba mieć też dokumenty.

- A gdzie one są niepotrzebne? - spytał. - To znaczy w jakim kraju? Mogę pojechać wszędzie. - Nagle uświadomił sobie, że jest obywatelem całego świata.

- Bóg raczy wiedzieć - odpowiedział mężczyzna. - Ludzie z każdym dniem upodabniają się coraz bardziej do baranów. Idź do portu i wsiądź na statek.

- Na jaki statek?

- To nieważne. Macie w Anglii taką zabawę, no... - wykonał parę objaśniających gestów.

- Wyliczankę? Tak. Ene, mene, due, rabe...

- Dobrze. Idź do portu i policz: „Ene, mene, due, rabe”. A

kiedy będziesz wsiadał na statek „rabe”, uważaj, żeby cię nikt nie widział. Na statkach mają manię sprawdzania dokumentów.

„Rabe” to był statek „Barfleur” i obyło się bez dokumentów. Brat okazał się darem z nieba, na który od lat czekał kucharz okrętowy.

Pocziwy, stary „Barfleur”. Brudna kuchnia, pomalowana na kolor jasnozielonego groszku, cuchnąca zjełczałą oliwą; ogromne szare fale bijące o burty statku i jakimś cudem nigdy nie wyrządzające żadnej szkody; pijany co tydzień kucharz, którego musiał zastępować gotując za darmo; i nauka gry na organkach, i niezwykle książki czytane na pokładzie dziobowym. Pocziwy stary „Barfleur”.

Wyniósł ze statku wiele, gdy go opuszczał, ale przede wszystkim nowe nazwisko. Kiedy się przedstawiał kapitanowi, stary Bourdet wziął podwójne „l” za „r” i napisał Farrar, i tak już zostało. Farrell powstał z książki telefonicznej, Farrar z pomyłki kapitana frachtowca. Ostatecznie wszystko jedno.

A potem co?

Tampico i zapach tłuszczu. I akwizytor, który zapytał:

- Jesteś Anglikiem? Chcesz pracować na lądzie?

Poszedł sprawdzić, jaka to „praca”, spodziewając się zmywania talerzy.

Dziwne pomyśleć, że mógłby nadal mieszkać w tym dużym, spokojnym domu z patio wyłożonym kafelkami, pełnym kolorowych bezwonnych kwiatów i mrocznych pokojów o nagich ścianach, wypełnionych pięknymi meblami. Mógłby żyć w luksusie, zamiast leżeć na rozklekotanym łóżku w Pimlico. Stary go polubił, chciał adoptować; lecz i tam Brat czuł się nie na swoim miejscu. Z przyjemnością czytał staremu dwa razy dziennie angielskie gazety, a tamten śledził tekst przesuwając cienkim żółtym palcem po swoim egzemplarzu. Ale nie takiego życia szukał.

- Jeśli nie rozumie po angielsku, co za sens ma to czytanie?

- spytał, gdy na początku wyjaśniono mu, co ma robić. Wytłumaczono, że starzec umie czytać, bo nauczył się sam angielskiego ze słownika, ale nie wie, jak wymawiać. Chce

więc słyszeć ten język z ust Anglika.

Nie, to nie było zajęcie dla niego. To życie wydawało się życiem z filmu.

Więc zaangażował się jako kucharz w wyprawie botaników. Kiedy pakował się przed odejściem, lokaj powiedział pocieszającym tonem:

- W końcu lepiej, że pan odchodzi. Gdyby pan został, jego kochanka otrułaby pana.

Po raz pierwszy usłyszał wtedy o jakiejś kochance.

Kucharzując dotarł spokojnie do granicy Nowego Meksyku. Stąd łatwo było się przedostać do Stanów: żadna rzeka nie stała na drodze. Podobał mu się ten paradoksalny, wspaniały, dziwny kraj, ale tak samo jak arystokratyczny dom niedaleko Tampico, okazał się nie tym, czego Brat szukał.

Stopniowo był coraz mniej zadowolony.

Pomocnik kucharza tej wyprawy do Las Cruces. Nie tolerowali żadnej potrawy, której nie znali, i te ciągle zachwyty nad jego akcentem. („Powtórz to jeszcze raz, Angliku”. A potem śmiech i pełne uciechy: „Coś takiego!”)

Kucharzowanie w czasie spędu bydła nad Snake River. I odkrycie koni. I uczucie, że wreszcie znalazł dom.

Pędzenie stada do Santa Clara. I odkrycie, że narowiste konie stawały się mniej narowiste, kiedy ujeżdżał je angielski chłopak.

Okres spędzony w kuźni na rancho Wilsona. Tam miał pierwszą dziewczynę, ale nie było to nawet w połowie tak podniecające, jak zastanawianie się, co można by zrobić z „beznadziejnych sztuk” w korralu. „Trzeba je powystrzelać, nic z nich nie będzie”, powiedział szef. A gdy Brat zaproponował, że spróbuje coś z nich zrobić, odrzekł bez entuzjazmu: „Próbuj! Ale nie licz na to, że będę płacił rachunki szpitalne. Zostałeś zatrudniony jako pomocnik kowala”.

Z tej grupy koni pochodził Deresz. Jego piękny Deresz. Szef podarował mu go w nagrodę za to, co zrobił z tych narowistych koni. Na ujeżdżanie koni pojechał z Dereszem.

Ujeżdżanie koni. To było szczęście. Pełne szczęście, więcej niż pełne. Prawie dwa lata takiego szczęścia.

A potem... nagły brak refleksu; był senny z powodu upału albo oślepiiony słońcem. Zobaczył walący się gniady grzbiet, który go przygniótł. Usłyszał trzask łamanej kości udowej.

Szpital w Edgemont. Nie przypominał wcale szpitali z filmów. Nie było tam ładnych pielęgniarek ani przystojnych stażystek. Sala miała szarozielone ściany, urządzenia sanitarne były przestarzałe i brudne, a pielęgniarki przemęczone. Na zmianę dogadzały mu lub ignorowały go.

Nagła przerwa w korespondencji od chłopców.

Krwawym potem oblewana nauka chodzenia i powolne uświadamianie sobie, że noga jest wyleczona, ale krótsza. Że będzie już zawsze kulą.

List od szefa, który zakończył dotychczasową pracę.

Bo trafili na naftę. Pierwszy szyb już działa - niecałe dwieście jardów od szafasu. Załączony czek przyda się Bratowi, dopóki nie wyzdrowieje. A tymczasem co zrobić z Dereszem?

Co miał zrobić kulawy człowiek z koniem na polu naftowym?

Płakał z tęsknoty za Dereszem leżąc w ciemnej sali. Po raz pierwszy w życiu płakał za kimś.

Może nie będzie już mógł ujeżdżać koni, ale nie pójdzie na służbę nafty. Są inne sposoby, żeby żyć wśród koni.

Pokazowe rancho dla turystów. Tam też nie było jak w filmach.

Niezdarne kobiety w niestosownych strojach dające tak szkołę udręczonym koniom, że zastanawiał się, czy te siodła w ogóle wytrzymają.

Kobieta, która chciała wydać się za niego.

Nie była z rodzaju tych, które pragną mieć „swojego mężczyznę”. Nie była tłusta ani głupia, ani zakochana, tylko szczupła, dość miła, wyglądała na zmęczoną. I była właścicielką posiadłości na wzgórzu nad rancho. Mówiła, że zajmie się jego nogą. Tym go nęciła.

Jedyna dobra strona tego rancho dla turystów to był niezły zarobek. Nigdy w życiu nie miał tyle pieniędzy co wtedy, kiedy stamtąd wyjechał. Zamierzał wyruszyć na wschód i wydać te pieniądze. A potem coś się z nim nagle stało. Nie tak rozległa, zieleńsza okolica na wschodzie, zapach ogrodów na wiosnę

obudził w nim tęsknotę za Anglią. Przeraziło go to. Nie miał wcale zamiaru wracać na razie do Anglii.

Przez kilka pełnych niepokoju tygodni zwalczał w sobie tęsknotę - to przecież dziecinada pragnąć tam wrócić - a potem nagle uległ swemu pragnieniu. Ostatecznie nigdy nie widział Londynu. Pojechać zobaczyć Londyn to całkiem uzasadniony powód powrotu do Anglii.

I stał pokój od podwórza w Pimlico i to spotkanie na ulicy.

## Rozdział V

Wstał i wyjął papierosy z kieszeni płaszcza, który wisiał na drzwiach.

Dlaczego rozmowa z Lodingiem nie oburzyła go bardziej?

Czy dlatego, że domyślał się jakiejś propozycji? Czy dlatego, że twarz tego mężczyzny była dostatecznym ostrzeżeniem przed jego podejrzanymi interesami? Czy dlatego, że po prostu to wszystko nie miało z nim nic wspólnego, że nie chciał się w to mieszać?

Nie obruszył się na propozycję tego mężczyzny. Nie powiedział: „Ty Świnio, chcesz oszukać przyjaciela i pozbawić go majątku!”, nic w tym sensie. Nigdy nie interesował się sprawami innych ludzi: ich smutkami, radościami czy grzechami. A poza tym trudno być nieuprzejmym wobec kogoś, kto nam funduje.

Podszedł do okna i stał wpatrując się w ciemny fryz, jaki tworzyły kominy na tle mglistej poświaty. Nie był jeszcze całkowicie bez grosza, ale wyczerpał już możliwości szukania pracy, a możliwości te nie były bynajmniej zachęcające. Wyglądało na to, że dużo więcej ludzi interesuje się pracą w stajni, niż jest w Anglii stajen mogących ich zatrudnić. Świat koni kurczył się, a ich miłośnicy rośli w liczbę. Ci wszyscy mężczyźni, którzy stracili główny cel w życiu, z chwilą gdy skończyła się kawaleria, byli jeszcze żywotni i krzepcy i oblegali drzwi stajen na każdą wiadomość o wolnej posadzie. Poza tym on nie chciał jedynie zarabiać. Jeśli człowieka zajmuje budowa

dróg, to nie znaczy, że ma całe życie pokrywać ich powierzchnię smołą.

Próbował nawiązać kilka kontaktów, ale w żadnym z dobrych miejsc nie interesowano się kulawym nieznanym mężczyzną bez referencji.

Dlaczego miano by się interesować? Mieli swoją najlepszą angielską „śmietankę”. A kiedy wspomniał, że ujeżdżał konie w Stanach, to chyba załatwiło sprawę. „A, konie pastuchów!”-usłyszał. Zostało to powiedziane grzecznie i uprzejmie - zapomniał, jak uprzejmi są jego ziomkowie - ale dali mu tak czy inaczej do zrozumienia, że nie uznają hodowlanych metod Zachodu. Ponieważ nigdy nie wyrazili tego słowami, nie mógł wyjaśnić, że on też tych metod nie uznaje. Zresztą na nic by się to nie zdało. W tym kraju ludzie chcą coś wiedzieć o tobie, zanim zaangażują cię do pracy. W Ameryce, gdzie człowiek często przenosi się z miejsca na miejsce, to co innego. Ale tu bierze się pracę na całe życie i to, kim człowiek jest, znaczy prawie tyle samo jak to, co umie robić.

Najlepszym rozwiązaniem oczywiście byłby wyjazd. Lecz prawdziwy kłopot, nie do pokonania, polegał na tym, że on nie chciał wyjeżdżać. Teraz, gdy wrócił, zdał sobie sprawę, że to, co uważał za swobodną, bezcelową włóczęgę po świecie, było po prostu długą, okrężną drogą powrotną do Anglii. Powrócił nie via Dieppe, ale via Las Cruces i miasta na wschodzie. I tyle. Znalazł to, czego pragnął, kiedy znalazł konie, lecz nie czuł się bardziej swojsko w Nowym Meksyku niż przedtem w szkole. Po prostu Nowy Meksyk bardziej mu się podobał.

Lecz teraz stwierdził, że jeszcze bardziej podoba mu się Anglia, chciał pracować przy angielskich koniach na angielskich zielonych łąkach.

W każdym razie dużo trudniej było wydostać się z tego kraju, niż do niego wrócić bez forsy. Siedział któregoś dnia u Lyonsa przy Coventry Street z człowiekiem, który przez półtora roku próbował gdzieś wyjechać.

- Licencje - warknął mężczyzna. - Tylko to stale słyszę.

Gdzie są pana licencje? Jeśli nie należy się do Związku Pakowaczy Papierowych Serwetek, można co najwyżej być pomocnikiem stewarda i nakrywać do stołu. Dojdzie kiedyś do tego, że im statek zatonie, bo nikt na pokładzie nie będzie miał licencji, żeby obsługiwać pompę.

Patrząc w niebieskie, pełne furii oczy Anglika przypomniał sobie mężczyznę z bistro w Hawrze. Trzeba mieć dokumenty. Tak, świat jest zaśmiecony papierami.

Szkoda, że propozycja Lodinga jest taka występna.

Czy słuchałby jej z większym zainteresowaniem, gdyby Loding wcześniej wspomniał o koniach?

Nie, oczywiście, że nie, to absurd. Sprawa kryminalna i on się jej nie dotknie.

„To byłoby całkiem bezpieczne - odezwał się w nim jakiś głos. - Nie ścigaliby cię sądownie z obawy przed skandalem, nawet gdyby prawda wyszła na jaw. Tak mówił Loding”.

„Milcz, to przestępstwo” - odpowiedział.

Mogłoby być zabawne wybrać się któregoś wieczoru i zobaczyć Lodinga na scenie. Nigdy dotąd nie znał żadnego aktora. Byłoby to coś nowego siedzieć i przyglądać się grze kogoś, kogo się zna spoza teatru. Jaki byłby Loding jako współnik?

„Bardzo sprytny współnik, wierz mi” - odezwał się głos.

„Zwyczajny łobuz - odpowiedział. - Nie chcę mieć z nim nic do czynienia”.

„Nie potrzebujesz mieć z niczym do czynienia - tłumaczył głos. - Musisz tylko pojechać do Latchetts i powiedzieć:

«Przyjrzyjcie mi się. Czy wam ktoś nie przypominam? Podrzuciono mnie na progu sierocińca dnia tego i tego, a dziś potrzebuję pracy»”.

„Szantaż? Myślisz, że podobałaby mi się praca wymuszona szantażem? Nie bądź głupi.”

„Przecież mają wobec ciebie zobowiązania”.

„Nie mają wobec mnie żadnych zobowiązań. Absolutnie żadnych.”

„Przezań! Jesteś Ashbym i wiesz o tym.”

„Nie wiem. Zdarzały się już na świecie sobowtóry. Hitler miał



ich kilka. Bardzo wielu sławnych ludzi ma sobowtóry. W gazetach są zawsze ich fotografie. Wszyscy wyglądają tak jak ci wielcy ludzie, tylko bez ich cech charakterystycznych."

„Bzdury! Jesteś Ashbym. Skąd byś tak umiał obchodzić się z końmi?”

„Mnóstwo ludzi umie obchodzić się z końmi.”

„W sierocińcu było sześćdziesiąt dwoje dzieci, a czy któreś z nich zrezygnowało z dobrej posady i adopcji przez bogatych rodziców, żeby tylko być przy koniach?”

„Nie zdawałem sobie sprawy, że szukam koni.”

„Pewnie, żeś sobie nie zdawał sprawy. To krew Ashbych się w tobie odezwała.”

„Milcz.”

Jutro pojedzie do Lewes i spróbuje szczęścia w tej stajni, gdzie trenują konie do skoków. Kuleje, ale potrafi jeszcze dosiąść każdego czworonoga. Może zainteresuje ich ktoś, kto może jechać pod wagą stu czterdziestu funtów, nie zwracając uwagi na to, że ryzykuje złamaniem karku.

„Ryzykować złamanie karku, kiedy mógłbyś opływać we wszystko?”

„Gdybym chciał opływać we wszystko, mogłem to mieć już dawno.”

„Ale nie z końmi na dodatek.”

„Milcz! Tracisz tylko czas.”

Zaczął się rozbierać, jakby w ten sposób mógł zagłuszyć głos. Tak, pojedzie do Lewes. Trochę to za blisko stron, gdzie spędził młodość, ale po tych sześciu latach nikt go nie pozna.

Nawet gdyby go poznali, nie miałyby to znaczenia, nie chciał jednak wracać do przeszłości.

„Mógłbyś zawsze powiedzieć: «Przepraszam, nazywam się Ashby»” - szydził głos.

„Będziesz cicho?”

Wieszając marynarkę na oparciu krzesła, myślał o tym młodym Ashbym, który pożegnał się ze światem. Mając wszystko, o czym można zamarzyć, poszedł i rzucił się ze skały. Nie miało to sensu. Czy rodzice aż tak wiele znaczą?

„Nie. To był jakiś biedny chłopiec, a ty zrobisz dużo więcej

dla Latchetts niż on."

Nalał do miednicy zimnej wody i energicznie się umył; nawyk wyniesiony z sierocińca okazał się prawie równie trwałe, jak nawyki zdobyte w wojsku. Wycierając się cienkim ręcznikiem frotowym, tak starym, że zrobił się mokry, zanim on był suchy, myślał: Tak czy owak, nie podobałoby mi się to wszystko. Lokaje i tak dalej. Swoje wyobrażenia o życiu angielskiej klasy średniej opierał na filmach amerykańskich.

Nie ma o czym mówić.

Powinien przestać o tym myśleć.

Ktoś powiedział, że jeśli myśli się dostatecznie długo o czymś bezsensownym, rzecz nabiera sensu.

Pójdzie kiedyś do Lodinga i obejrzy te zdjęcia. Nie ma w tym nic złego.

Musi zobaczyć, jak wyglądał jego „bliźniak”.

Loding niezbyt mu się podobał, ale przecież nic się nie stanie, jeśli go odwiedzi, a on chce zobaczyć fotografie Latchetts.

Tak, pójdzie do Lodinga.

Może pojutrze. Po powrocie z Lewes.

Albo nawet jutro.

## **Rozdział VI**

Pan Sandał z biura prawnego „Cosset, Thringi Noble” kończył swoją popołudniową pracę i zaczynał, jak co dzień, zastanawiać się, czy jechać do domu pociągiem o 16<sup>55</sup>, czy o 17<sup>15</sup>. Było to niemal jedyne zagadnienie, jakie zaprzętało jego myśli. Klientami spółki „Cosset, Thring i Noble” byli albo ludzie, którzy sami powzięli już decyzję i oświadczyli stanowczo swoim doradcom prawnym, co trzeba zrobić, albo tacy, którzy nie mieli żadnych problemów. Miarowy rytm biura, mieszczącego się w domu ocienionym platanami, nie był nigdy przyspieszony przez nieprzewidziane wiadomości czy niefortunne wydarzenia. Nawet śmierć klienta nie stanowiła żadnego zaskoczenia: śmierci klientów można się było spodziewać; właściwy testament znajdzie się

we właściwej kasecie i sprawy potoczą się dalej swoim trybem.

Doradcy prawni rodzin - oto czym byli „Cosset, Thring i Noble”. Strażnicy testamentów i powiernicy sekretów; ale nie ludzie walczący z problemami. Dlatego pan Sandała nie był wcale najważniejszą osobą do załatwienia sprawy, która go czekała.

- Czy to już wszystko, Mercer? - spytał woźnego, gdy ten odprowadził gościa do drzwi.

- W poczekalni czeka jeszcze klient, proszę pana. Młody pan Ashby.

- Ashby? z Latchetts?

- Tak, proszę pana.

- No dobrze, dobrze. Przynieś dzbanek herbaty.

- Tak jest. Proszę wejść - zwrócił się Mercer do klienta.

Do pokoju wszedł młody człowiek.

- A, Simon! Witaj, drogi chłopcze - powiedział pan Sandała ściskając mu rękę. - Cieszę się, że cię widzę. Czy masz jakiś interes, czy wpadłeś po prostu...

Pan Sandała umilkł niepewny, wpatrując się w gościa, a jego ręka, którą wskazywał krzesło, zatrzymała się w pół gestu.

- Coś podobnego! Pan nie jest Simonem?

- Nie, nie jestem Simonem.

- Ale... ale jest pan Ashbym.

- Jeśli pan tak uważa, sprawa staje się dla mnie o wiele łatwiejsza.

- Tak? Proszę wybaczyć, że jestem trochę speszony. Nie wiedziałem, że są jacyś kuzyni o tym nazwisku.

- O ile wiem, to ich nie ma.

- Nie? W takim razie, przepraszam... którym Ashbym pan jest?

- Mam na imię Patryk.

Pan Sandała otwierał i zamykał kształtne usta, jak złota rybka pyszczek. Był w najwyższym stopniu zaniepokojony i wstrząśnięty.

Przez długą chwilę wpatrywał się w jasne oczy Ashbych, które miał tuż przed sobą, nie znajdując słów odpowiednich w takiej

sytuacji.

- Może usiądziemy - zaproponował w końcu. Wskazał krzesło gościowi i sam opadł na swoje z zadowoloną miną, jakby znalazł miejsce zakotwiczenia w świecie zalanym nagle przez morze.

- Wyjaśnijmy sytuację - powiedział. - Patryk Ashby zmarł mając lat trzynaście jakieś... zaraz... jakieś osiem lat temu chyba.

- Dlaczego uważa pan, że zmarł?

- Popenił samobójstwo. Zostawił pożegnalny list.

- Czy w liście była mowa o samobójstwie?

- Niestety, nie pamiętam jego treści.

- Ja też nie pamiętam dokładnie. Ale podam panu ogólny sens. List brzmiał: „Nie mogę dłużej tego znieść. Nie gniewajcie się na mnie.”

- Tak. Tak to mniej więcej brzmiało.

- I gdzie tu mowa o samobójstwie?

- To przypuszczenie oczywiście... można było wysnuć taki wniosek... list został znaleziony na skale, razem z wiatrówką chłopca...

- Górską ścieżka jest skróconą drogą do portu.

- Do portu? To znaczy...

- To był list zbiega, nie samobójcy.

- A... a wiatrówka?

- Trudno zostawić list na ziemi. Jedyne sposoby to włożyć go w jakąś kieszeń.

- Czy pan twierdzi poważnie, że jest... że jest pan Patrykiem Ashby i że nie popełnił pan samobójstwa?

Młody człowiek wpatrywał się w niego nieprzenikniętym wzrokiem.

- Kiedy tu wszedłem - powiedział - wziął mnie pan za mego brata.

- Tak. Byli bliźniakami. Nie identycznymi może, ale oczywiście bardzo... - Pojął nagle pełne znaczenie własnych słów. - Istotnie... istotnie myślałem, że to Simon.

Siedział chwilę patrząc przed siebie bezradnie. Wszedł Mercer z herbatą.

- Napije się pan herbaty? - spytał pan Sandal. Pytanie to było odruchem automatycznym na widok tacy z herbatą.

- Owszem, proszę - odrzekł młody człowiek. - Bez cukru.

- Zdaje pan sobie chyba sprawę - powiedział Sandal na pół błagalnym tonem - że tak poważne i zaskakujące roszczenie musi zostać sprawdzone. Nie można przyjąć tak po prostu pańskiego oświadczenia.

- Tego nie oczekuję.

- To dobrze. Bardzo rozsądnie z pana strony. Kiedyś później... będzie można ewentualnie... uczcić ten powrót, ale na razie musimy postępować z rozwagą. Pan to rozumie. Może mleka?

- Dziękuję.

- A więc uciekł pan, jak pan mówi. Uciekł pan na morze, o ile dobrze zrozumiałem.

- Tak.

- Na jaki statek?

- „Ira Jones”. Stał w porcie Westover.

- Schował się pan tam oczywiście.

- Tak.

- I dokąd zawiózł pana ten statek? - spytał pan Sandal, robiąc notatki i zaczynając czuć, że w końcu jakoś sobie radzi. Była to z pewnością najgorsza sytuacja, w jakiej się w życiu znalazł, a z pociągami o 17<sup>15</sup> mógł się już pożegnać.

- Na Wyspy Normandzkie. Do St.Helier.

- Czy znaleziono pana na statku?

- Nie.

- Wsiadł pan w St.Helier, nie zauważony?

- Tak.

- I co dalej?

- Wsiadłem na statek płynący do St.Malo.

- Znowu się pan ukrył?

- Nie, zapłaciłem za przejazd.

- Czy pamięta pan nazwę tego statku?

- Nie. To był regularny prom.

- Rozumiem. I co dalej?

- Podróżowałem autobusem. Autobusy wydawały mi się

zawsze ciekawsze od starej furgonetki w Latchetts, a nigdy nie miałem okazji nimi jeździć.

- Furgonetka. Aha - pan Sandał zapisał: „Pamięta samochód”. - A potem?

- Potem... zaraz... byłem przez krótki czas pomocnikiem w hotelowym garażu w miejscowości Villedieu.

- Pamięta pan może, jak się ten hotel nazywał?

- Chyba „Delfin”. Stamtąd przez całą Francję pojechałem do Hawru. Tam dostałem na frachtowcu pracę jako kuchcik.

- Pamięta pan nazwę tego frachtowca?

- Nigdy jej nie zapomnę. Nazywał się „Barfleur”. Zaangażowałem się tam pod nazwiskiem Farrar. F-a-r- r-a-r. I pozostałem na tym statku aż do chwili opuszczenia go w Tampico. Stamtąd przedostałem się na północ do Stanów. Czy chciałby pan, żebym napisał panu miejsca, gdzie tam pracowałem?

- Byłoby to bardzo uprzejme z pana strony. Proszę... a, ma pan pióro... Może pan wypisze nazwy miejscowości o, tutaj. I wrócił pan do Anglii...?

- Drugiego ubiegłego miesiąca. Statkiem „Filadelfia”. Jako pasażer. Wynająłem pokój w Londynie i tam odtąd mieszkam. Zapiszę panu mój adres. I to zapewne zechce pan sprawdzić.

- Tak. Dziękuję. Tak. - Pan Sandał doznawał dziwnego uczucia, że to ten młody człowiek będący niejako na cenzurowanym panuje nad sytuacją, a nie, jak powinno być, on. Zebrał się w sobie.

- Czy próbował pan skomunikować się z pańską... z panną Ashby?

- Nie. Czy to takie trudne? - spytał łagodnie młodzieniec.

- Chodzi mi o to, że...

- Nie poczyniłem żadnych kroków w celu skomunikowania się z moją rodziną, jeśli o to panu chodzi. Uważałem, że tak będzie najlepiej.

- Bardzo mądrze. Bardzo mądrze. - I znowu został zmuszony do roli chóru towarzyszącego akcji. - Skontaktuję się zaraz z panną Ashby i poinformuję ją o pańskiej wizycie.

- Niech jej pan powie, że ja żyję.

- Tak, oczywiście. - Czy ten młodzieniec żartuje sobie z niego? Na pewno nie.

- A na razie będzie pan mieszkał pod adresem, który mi pan zapisał?

- Tak. - Młody człowiek wstał, odbierając mu znowu inicjatywę.

- Jeśli wszystko, co pan mówi, okaże się prawdą - powiedział pan Sandał, starając się, by słowa te zabrzmiały surowo - ja pierwszy powitam pana serdecznie w Anglii i w domu. Mimo że swoją ucieczką sprawił pan wiele kłopotu wszystkim swoim bliskim. Jest dla mnie zupełnie niezrozumiałe, dlaczego nie odzywał się pan do rodziny.

- Może bawiła mnie myśl, że jestem nieboszczykiem.

- Nieboszczykiem?

- Nigdy zresztą nie rozumiał pan mego postępowania.

- Jak to?

- Sądził pan, że wtedy w „Olimpii” płakałem ze strachu, prawda?

- W „Olimpii”?

- Nie, nie ze strachu. Płakałem, bo konie były takie piękne.

- „Olimpia”! Ma pan na myśli... Ależ to było... Więc pan pamięta?

- Spodziewam się, że da mi pan znać, gdy fakty, które podałem, zostaną sprawdzone.

- Co? Ach, tak, tak, oczywiście. - Boże drogi! Nawet on sam zapomniał o tym przyjęciu dla dzieci podczas zawodów. Może był jednak zbyt ostrożny... Jeśli ten chłopak... właściciel Latchetts... O Boże! Może nie powinien był tak... - Mam nadzieję, że nie uważa pan... - zaczął.

Ale młodzieniec już wyszedł spokojnym, pewnym krokiem, skinąwszy lekko głową Mercerowi.

Pan Sandał siedział w kancelarii i ocierał czoło.

A Brat idąc ulicą stwierdził ze zdumieniem, że jest zadowolony. Spodziewał się, że będzie zdenerwowany i trochę zawstydzony. A tymczasem nic podobnego. Był to jeden z jego najbardziej pasjonujących wyczynów. Jakby

wspaniały spacer po linie. Siedział tam i kłamał, nie zdając sobie nawet w pełni sprawy, że kłamię, takie to było emocjonujące. Jak ujeżdżanie narowistego konia. Ta sama koncentracja i napięcie. To samo zadowolenie, gdy uniknął niebezpiecznego ruchu. Ale żadne ujeżdżanie nie wprawiło go nigdy w takie wewnętrzne podniecenie, nie dało takiej radości z sukcesu jak ta rozmowa. Był nią pijany. I w najwyższym stopniu zaskoczony.

A więc to, myślał, jest powodem, że zbrodniarze wracają do dawnego trybu życia bez istotnej konieczności. To zapierające dech, oszołamiające podniecenie; to upojenie sukcesem.

Zgodnie z instrukcjami Lodginga poszedł na podwieczorek, ale nie mógł nic jeść. Czuł się tak, jakby się już najadł i napił. Żadne z dotychczasowych przeżyć nie dało mu tak osobliwego uczucia zadowolenia. Zazwyczaj po momentach podniecających, jak jazda konna, ocalenie z niebezpieczeństwa, decydujące spotkanie, był żarłocznie wygłodniały. Lecz teraz siedział po prostu wpatrując się w stojące przed nim dania oszołomiony własnym szczęściem. Rozpierzająca go radość nie pozostawiła miejsca na jedzenie.

Nikt nie szedł za nim do restauracji i jak się zdawało, nikt się nim nie interesował.

Zapłacił rachunek i wyszedł. Nikt podejrzany nie kręcił się w pobliżu. Chodnikiem płynął długi strumień spieszących się ludzi. Poszedł do telefonu na dworcu Victoria.

- No, jak poszło? - spytał Lodging.

- Wspaniale.

- Piłeś coś?

- Nie. Dlaczego?

- Pierwszy raz słyszę, że używasz jakiegoś superlatywu.

- Jestem po prostu zadowolony.

- No, myślę. Czy to widać?

- Co widać?

- Czy twoje nieprzeniknione oblicze choć trochę się zmieniło?

- Skąd mam to wiedzieć? Nie chcesz usłyszeć nic o dzisiejszym popołudniu?



- Najważniejsze już wiem.  
- To znaczy?  
- Nie oskarżono cię o nic.  
- Spodziewałeś się tego?  
- Istniała zawsze taka możliwość. Ale naprawdę to się tego nie spodziewałem. Działały przecież nasze połączone inteligencje.  
- Dziękuję.  
- Czy stary rzucił ci się na szyję?  
- Nie. O mało się nie przewrócił. Jest bardzo na miejscu.  
- Wszystko trzeba sprawdzić.  
- Tak.  
- Jak cię przyjął?  
- Wziął mnie za Simona.  
Usłyszał śmiech ubawionego tym Lodginga.  
- Czy udało ci się wykorzystać to przyjęcie w czasie zawodów?  
- Tak.  
- Och, nie odpowiadaj mi monosylabami. Nie musiałeś odgrzebywać szczegółów?  
- Nie. Pasowało mi doskonale.  
- Czy zrobiło to na nim wrażenie?  
- Bardzo duże.  
- Ale go nie przekonało?  
- Nie czekałem, by to zobaczyć. Wyszedłem.  
- I w ten sposób zakończyłeś swoją wizytę? Chylę czoło przed tobą, mój chłopcze. Jesteś fenomenalny. Przez ostatnie dwa tygodnie myślałem, że zaczynam cię poznawać. A ty wciąż zadziwiasz mnie w najwyższym stopniu.  
- Sam siebie zadziwiam, jeśli cię to pocieszy.  
- Mam nadzieję, że nie mówisz tego z ironią?  
- Nie. Wyrażam zdziwienie. Nic więcej.  
- No, dobra. Przez pewien czas nie będziemy się spotykali. Poznanie ciebie było dla mnie prawdziwą satysfakcją. Gdy kto wspomni Kew Gardens, pomyślę zawsze czule o tobie. I cieszę się oczywiście z dalszych korzyści, jakie da mi w przyszłości znajomość z tobą. A na razie nie dzwoń do mnie,

chyba w ostateczności. Wyuczyłem cię, jak mogłem najlepiej. Od dziś jesteś samodzielny.

Loding miał rację; został wyuczony wspaniale. Przez pełne dwa tygodnie od wczesnego ranka do siódmej wieczorem, w pogodę czy niepogodę, siedzieli w Kew Gardens i powtarzali: rozkład domu w Latchetts i w Clare, dzieje rodzin Ashbych i Ledinghamów, cechy terenu, którego nigdy nie widział. To było też podniecające; zawsze „umiał”, jak to się mówi, zdawać egzaminy i zasiadał przed arkuszem egzaminacyjnym z taką samą przyjemnością, z jaką fanatycy zasiadają do kwizów. Te czternaście dni w Kew Gardens to był jeden wspaniały kwiz. A w ciągu paru ostatnich dni czuł takie samo pełne napięcia podniecenie jak dziś po południu. „Którą ręką serwujesz w krykiecie?” „Wejź do stajni bocznymi drzwiami”. „Czy śpiewałeś?” „Umiesz grać na fortepianie?” „Kto mieszkał w stróżówce?” „Jakiego koloru włosy miała twoja matka?” „W jaki sposób zdobywał pieniądze twój ojciec, poza dochodami z majątku?” „Jak się nazywało jego przedsiębiorstwo?” „Jaka była twoja ulubiona potrawa?” „Jak się nazywał właściciel sklepu ze słodyczami w miasteczku?” „Gdzie w kościele znajduje się ławka Ashbych?” „Przejdź z dużego salonu do kredensu stołowego w Clare.” „Jak się nazywała wasza gospodyni?” „Czy umiesz jeździć na rowerze?” „Co widzisz z południowego okna na strychu?” Loding zasypywał go takimi pytaniami przez długie dni. Z początku bawiło go, a potem podniecało unikanie pomyłek.

Kew to był pomysł Lodinga.

- Twoje życie od chwili przyjazdu do Londynu będzie przedmiotem najdokładniejszych badań, wybaczone frazes. Nie możesz więc mieszkać u mnie, jak poprzednio proponowałem. Nawet nikt znajomy nie może nas widzieć razem. Ja też nie mogę odwiedzać ciebie w Pimlico. Nadal nie powinieneś przyjmować tam żadnych gości.

Tak narodził się projekt Kew. Kew Gardens, mówił Loding, to doskonały parawan i znakomite pole ostrzału. Nie ma w Londynie drugiego takiego miejsca, skąd można widzieć z daleka nadchodzących, nie będąc przez nich widzianym.

Nigdzie w tym mieście, gdzie miejsc spotkań jest mnóstwo, nie znajdziesz takiego spokoju jak w Kew. Co rano więc przychodzili tam oddzielnie, różnymi bramami, spotykali się zawsze w innym miejscu i szli za każdym razem w inną stronę ogrodu. I przez dwa tygodnie Loding uczył go za pomocą fotografii, map, planów, rysunków i wykresów. Zaczął od mapy wojskowej w skali jednego cala, ukazującej Clare i okolice, potem przeszedł do mniejszej skali, a następnie do planów domu; przypominało to trochę opuszczanie się samolotem z góry. Najpierw ukształtowanie terenu, potem detale dotyczące pól i ogrodów i w końcu zbliżenie domu, tak że całość miał w głowie od początku, a szczegóły trzeba było tylko domalować na naszkicowanym już obrazie. Była to staranna, systematyczna nauka, którą Brat umiał docenić.

Największą atrakcją stanowiły oczywiście zdjęcia. Dziwna rzecz, ale nie zainteresował się bliżej fotografia „brata bliźniaka”, kiedy obejrzał już wszystko. Simon był rzeczywiście uderzająco do niego podobny; Brat czuł się dziwnie, był prawie zakłopotany wpatrując się w twarz tak przypominającą jego własną. Lecz nie Simon budził jego ciekawość, tylko dziecko, któremu nie dane było dorosnąć, chłopiec, którego miejsce miał zająć. W dziwny sposób utozsamiał się z Patrykiem.

Sam to spostrzegł i uznał na rzecz zadziwiająca. Powinien mieć wyrzuty sumienia na myśl o Patryku, a czuł się z nim związany, prawie sprzymierzony.

Przemierzając plac przed dworcem po telefonie do Lodinga zastanawiał się, co go skłoniło do tego, żeby mówić o tym płaczu Patryka. Loding powiedział mu tylko, że Patryk płakał z niewiadomego powodu, miał wtedy siedem lat, i że zrażony tym stary Sandał nigdy już nie zabrał dzieci do miasta. Loding pozostawił mu decyzję w sprawie wykorzystania tego epizodu. Co go skłoniło do powiedzenia, że Patryk płakał z zachwyty nad pięknymi końmi? A może rzeczywiście był to powód jego płaczu?

Teraz nie miał już drogi odwrotu. Uparty głos, który przemawiał do niego w ciemnym pokoju, zwyciężył. Mógł jedynie trzymać się mocno w siodle i być dobrej myśli. Ale

będzie to przynajmniej niezrównana zapierająca dech w piersi jazda. Przywykł do zagrożenia życia, niebezpieczeństwa połamania kończyn; o wiele bardziej emocjonujące było to nowe duchowe niebezpieczeństwo; zmierzenie się umysłów.

To niebezpieczeństwo dla jego nieśmiertelnej duszy, jak powiedziano by w sierocińcu. Lecz on nigdy nie wierzył w swoją nieśmiertelną duszę.

Nie mógł zjawić się w Latchetts jako szantażysta, nie zjawi się jako petent, zjawi się jako najeźdźca.

## **Rozdział VII**

Druty telegraficzne opadały gwałtownie w dół, ziemia wirowała przed oknem samochodu, a wraz z nimi wirowały i kłębiły się gwałtownie myśli Bee.

- Powiniennem oczywiście przyjechać do pani - powiedział przez telefon pan Sandal. - Załatwianie tak poważnych spraw przez telefon jest sprzeczne z moimi zasadami. Obawiałem się jednak, że mój przyjazd mógłby nasunąć dzieciom myśl, że dzieje się coś niezwykłego. A szkoda byłoby je niepokoić, jeśli istnieje możliwość, że... to tylko... chwilowy kłopot.

Biedny zacny stary Sandal. Był bardzo miły; poprosił, żeby usiadła, zanim oznajmił jej tę nowinę. I spytał: „Nie czuje się pani słabo?”, kiedy wymierzył cios.

Nie zemdląca. Siedziała dłuższą chwilę, czekając, aż uginające się kolana odzyskają siłę, a potem poszła do swego pokoju poszukać fotografii Patryka. Nie znalazła nic, z wyjątkiem grupowego zdjęcia, zrobionego, kiedy Simon i Patryk mieli po dziesięć lat, a Eleanor dziewięć. Nie przechowywała żadnych zdjęć.

Nora gromadziła namiętnie dziecinne fotografie, ale ona traktowała z pogardą te albumy, uważając je za „wielkie marnowanie czasu i miejsca”. (Nora nigdy niczego nie marnowała, jakby podświadomie czuła, że wyznaczony jej czas jest krótki.) Przechowywała wszystkie zdjęcia w wypchanej podartej kopercie, którą wszędzie ze sobą wozila. Zabrała ją też

na kontynent tamtego lata i koperta spłonęła ze wszystkim innym na wybrzeżu Kentu.

Nie znalazłszy fotografii Bee poszła do dawnego pokoju dzieciennego, jakby to ją mogło przybliżyć do małego Patryka, chociaż doskonale wiedziała, że nie pozostał w tym pokoju po nim żaden ślad. Simon spalił wszystko. W ten jedynie sposób dał wyraz temu, że śmierć brata była dla niego nie do zniesienia. Po pogrzebie Patryka wyjechał do szkoły, a kiedy wrócił w lecie na wakacje, zachowywał się normalnie, jeśli przyjąć, że niewspominanie Patryka było w tych okolicznościach normalne. A potem Bee zobaczyła, jak pewnego dnia rozpala ognisko za krzakami, w miejscu, gdzie dzieci bawiły się w Indian, i pali zabawki Patryka i inne drobne przedmioty, które do niego należały. Zauważyła, że zostały rzucone na pożarcie płomieniom nawet zeszyty. Książki i dzieciinne rysunki, i śmieszny konik, który wisiał w nogach jego łóżka. Simon spalił wszystko.

Kiedy ją zobaczył, był wściekły. Stał zagrządzając sobą ogień, jakby stawiał czoło napastnikowi, i wpatrywał się w nią z furją.

- Nie chcę na to patrzeć - krzyknął prawie.

- Rozumiem cię, Simon - odpowiedziała i odeszła.

Nie było więc żadnego śladu po Patryku w dawnym pokoju dzieciennym na poddaszu; i niewiele śladów po innych. Kiedy Bee mieszkała tu w dzieciństwie, był to brzydki, oddalony od innych pomieszczeń pokój, umeblowany w większości tym, co wyrzucono z innych pokoi. Było tu deseniowe linoleum i zniszczony dywan, i zegar z kukułką, i rozklekotane wiklinowe fotele, i stojak do wietrzenia ubrań, i stolik karciany przykryty czerwoną serwetą z frędzlami, poplamioną atramentem; a zielono-różową tapetę zdobiły kolorowe ryciny z pism i tym podobne arcydzieła. Lecz Nora odmieniła ten pokój, tak że wyglądał jak ilustracja z magazynu „Dom”: wykleiła go białą-błękitną tapetą, na której widnieli bohaterowie dzieciennych wierszyków. Z dawnych rzeczy pozostał tylko zegar z kukułką.

Dzieci czuły się tu szczęśliwe, ale nie pozostawiły żadnych

po sobie śladów. Teraz ten pokój, pusty i schludny, przypominał wystawę sklepu meblowego.

Bee wróciła do siebie zawiedziona, zniechęcona i zapakowała niewielką torbę na rano. Jutro musi pojechać do miasta i stawić czoło tej nowej krytycznej sytuacji w historii rodziny" Ashbych.

- Czy pan osobiście wierzy, że to jest Patryk? - spytała.

Pan Sandała nie potrafił jednak upewnić jej co do tego.

- Nie wygląda na oszusta - stwierdził. - A jeśli nie jest Patrykiem, to kim jest? Podobieństwo rodzinne Ashbych było zawsze niezwykle silne. I w tym pokoleniu nie ma innego męskiego potomka.

- Ale Patryk byłby napisał - powiedziała.

Do tej myśli wciąż powracała. Patryk nie pozostawiłby jej w smutku i niepewności przez tyle lat. Patryk by napisał. To nie może być Patryk.

Ale jeśli nie Patryk, to kto to jest? Myśli kłębiły jej się w mózgu, wirowały, mąciły.

- Pani osądzi najlepiej - powiedział pan Sandała. - Z tych, co jeszcze żyją, pani znała najlepiej tego chłopca.

- Jest jeszcze Simon.

- Simon był wtedy dzieckiem, a dzieci przecież zapominają. Pani była dorosła.

Cały ciężar spoczął więc na niej. Lecz skąd ona ma wiedzieć? Kochała Patryka, ale ledwie już pamięta, jak wyglądał jako trzynastolatek. Co ma być sprawdzianem?

Czy od razu, kiedy go zobaczy, będzie wiedziała, że to Patryk? Czy... że to nie on?

A jeżeli to nie Patryk, a będzie obstawał, że nim jest, to co? Czy zacznie rościć sobie jakieś prawa? Dochodzić sądownie swoich żądań? Wywlecze ich wszystkich na łamy codziennej prasy?

A jeśli to Patryk, to jak zareaguje Simon? Jak przyjmie zmartwychwstanie brata, którego osiem lat nie widział? Dla niego oznacza to utratę majątku. Czy będzie się cieszył mimo to, czy też znienawidzi brata?

Termin uroczystości z okazji pełnoletnia trzeba przesunąć, to

jasne. Jest na razie zbyt bliski, żeby można cokolwiek do tego czasu zdecydować. Jaki podać powód?

Gdyby jednak jakimś cudem to mógł być Patryk, wyzwoliłaby się od tej okropnej prześladowającej ją myśli o chłopcu, który zbyt późno pożałował, że się w porę nie cofnął.

To wszystko kłębiło jej się w głowie, kiedy wchodziła po schodach do kancelarii adwokackiej panów Cosseta, Thringa i Noble'a.

- A, panna Ashby - powitał ją pan Sandal. - To straszny problem. Bez precedensu, Proszę, niech pani usiądzie. Jest pani chyba wyczerpana. To okropne przeżycie. Niechżeż pani siada. Mercer, proszę przynieść herbatę.

- Czy on powiedział, dlaczego nie pisał przez te wszystkie lata? - spytała. Ta myśl głównie ją zaprzętała.

- Mówił coś o tym, że wołał być nieboszczykiem.

- O!

- Jest w tym niewątpliwie jakieś podłoże psychologiczne - powiedział pocieszającym tonem pan Sandal.

- A więc pan wierzy, że to Patryk.

- Uważam, że jeśli okaże się Patrykiem, to jego stwierdzenie, że wołał być nieboszczykiem, ma to samo psychologiczne podłoże co jego ucieczka.

- Tak. Rozumiem. I ja tak sędzę. Tylko... to takie niepodobne do Patryka. Chodzi mi o to, że nie napisał.

- Tak samo dziwna była ta ucieczka.

- Właśnie. To niezgodne z jego naturą. Był dzieckiem wrażliwym, ale odważnym. Musiało się stać coś bardzo niedobrego. - Siedziała chwilę w milczeniu. - A teraz wrócił.

- Mam nadzieję, że to on.

- Czy wydał się panu zupełnie normalny?

- Aż nadto - odrzekł z lekka krytycznym tonem pan Sandal.

- Szukałam zdjęć Patryka, ale nie ma żadnego późniejszego niż to. - Pokazała zdjęcie grupowe robione u fotografa. - Dzieci od niemowlęstwa były fotografowane co trzy lata. To jest ich ostatnie zdjęcie. Następne miało być zrobione tego lata, gdy zginęli Bill i Nora. W tym roku właśnie zniknął Patryk. Na tym zdjęciu ma dziesięć lat.

Patrzyła, jak pan Sandał przygląda się małej dziecinnej buzi.

- Nie - powiedział w końcu. - Nie można orzec nic na podstawie tak dawnej fotografii. Jak już mówiłem, podobieństwo rodzinne jest bardzo duże. W tym wieku to są po prostu młodzi Ashby'owie. Bez specjalnych cech charakterystycznych. - Podniósł wzrok znad fotografii i mówił dalej: - Mam nadzieję, że gdy pani sama zobaczy tego chłopca... tego młodzieńca... nie będzie pani miała żadnych wątpliwości, tak czy siak. W końcu zidentyfikowanie człowieka to nie tylko sprawa podobieństwa. Istnieją jeszcze cechy osobowości...

- Ale... ale jeśli nie będę pewna? Co wtedy?

- Sądzę, że znalazłem wyjście w takim wypadku. Jadłem wczoraj obiad z moim młodym przyjacielem Kevinem Macdermottem.

- Tym, co ma tytuł doradcy królewskiego?

- Tak. Byłem oczywiście ogromnie strapiiony, więc opowiedziałem mu o moim kłopotcie. A on bardzo mnie pocieszył zapewniając, że zidentyfikowanie będzie sprawą zupełnie łatwą. Decydują po prostu zęby.

- Zęby? Ależ Patryk miał zupełnie zwyczajne zęby.

- Tak, tak. Lecz niewątpliwie odwiedzał dentystę, a dentyści mają swoje rejestry. Większość ma też pamięć wzrokową, to znaczy pamiętają usta swoich pacjentów i - przykro pomyśleć - rozpoznają je prawie od pierwszego wejrzenia. Ale rejestr z pewnością pokaże... - Spostrzegł wyraz twarzy Bee i urwał. - Co się stało?

- Dzieci jeździły do Hammonda.

- Do Hammonda? No to co? Sprawa chyba prosta. Jeśli nie uzna pani zdecydowanie, że ten młody człowiek to Patryk, musimy... - Urwał. - Hammond! - Wyrzekł cicho. - Och!...

- Tak - powiedziała Bee tym samym tonem.

- Boże, cóż to za pech! Co za okropny pech!

Zaległo milczenie, które przerwał pan Sandał, przygnębiony.

- Sądzę, że powinienem powiedzieć pani, że zdaniem Kevina Macdermotta ten chłopak kłamie.

- A co pan Macdermott może wiedzieć na ten temat? -



spytała gniewnym tonem Bee. - Nawet go nie widział! - A kiedy pan Sandał milczał dalej przybity, powtórzyła: - Przecież go nawet nie widział.

- To było tylko zdanie Kevina.

- Wiem. Ale dlaczego on tak myśli?

- Powiedział, że przyjdzie wprost do adwokata wygląda na... na oszukaństwo.

- Co za bzdura! To było bardzo rozsądne posunięcie.

- Tak. On też tak uważa. Zbyt rozsądne. Zbyt przemyślane. Kevin powiedział, że na jego oko wszystko jest zbyt przemyślane. Chłopak wracający po tylu latach pojechałby jego zdaniem wprost do domu.

- To nie zna Patryka. On by tak właśnie postąpił: zawiadomiłby o swoim powrocie w sposób subtelny, udając się najpierw do radcy prawnego rodziny. Był zawsze nad wyraz delikatny i niesamolubny. Nie mam wysokiego mniemania o mądrych wywodach pana Macdermotta.

- Uważałem po prostu, że powinienem wszystko pani powiedzieć - odrzekł pan Sandał, wciąż bardzo przygnębiony.

- Tak, oczywiście - zgodziła się uprzejmie Bee, odzyskując spokój. - Czy mówił pan panu Macdermottowi, że Patryk... że ten chłopak pamięta, jak płakał w „Olimpii”? Mam na myśli, że sam z własnej inicjatywy udzielił tej informacji.

- Mówiłem.

- A on nadal uważa, że kłamie?

- Oświadczył, że to jedna z tych informacji „jak z rękawa”, które mu się nie podobają.

Bee zachnęła się.

- Co za sposób myślenia! To sprawa wieloletniej praktyki sądowniczej.

- Po prostu obiektywny umysł. Nie zaangażowany emocjonalnie w tę sprawę tak jak my. Powinniśmy też starać się być obiektywni.

- Oczywiście - przyznała Bee, już opanowana. - Biedny stary Hammond nic nam nie pomoże... nigdy go nie odnaleziono, wie pan? Wszystko zostało dosłownie zdmuchnięte z powierzchni ziemi.

- Tak, słyszałem. Biedny człowiek.

- Nie mając dowodu rzeczowego, musimy, jak sądzę, oprzeć się na tym, co mówi chłopak. To znaczy sprawdzając, co się da. Przypuszczam, że można to zrobić!

- Całkiem łatwo. Wszystko jest zupełnie proste, on podaje miejsca i daty. I właśnie to Kevin uważa za tak... No oczywiście, że można to sprawdzić. I jestem pewien, że się wszystko potwierdzi. On by nam nie podawał informacji, które mogłyby się okazać fałszywe.

- Więc właściwie nie ma na co czekać.

- Nie, ja... nie.

Bee zebrała siły.

- Jak prędko może pan zaaranżować moje spotkanie z nim?

- Myślałem o tym i nie sądzę, żeby trzeba było to aranżować.

- Jak to?

- Chciałbym, jeśli pani się zgodzi i pomoże mi, zaskoczyć go. Pójść do niego bez uprzedzenia. Żeby pani zobaczyła go takim, jaki jest, a nie takim, jakim chce się pani pokazać. Gdybyśmy umówili się z nim tu w kancelarii, mógłby...

- Tak, rozumiem. I zgadzam się. Czy możemy pojechać do niego teraz?

- Czemu nie. Naprawdę nie widzę przeszkód - odrzekł pan Sandał tonem pełnym ubolewania, który przybierają adwokaci, kiedy nie znajdują żadnego powodu, by nie widzieć przeszkód. - Istnieje oczywiście możliwość, że nie zastaniemy go w domu. Ale możemy przynajmniej pojechać i zobaczyć. O, jest dla pani herbata. Może zechce pani wypić, a Mercer tymczasem poprosi Simpsona, żeby polecił Wilettowi sprowadzić dla nas taksówkę.

- Nie ma pan czegoś mocniejszego? - spytała Bee.

- Niestety, Niestety, nie mam. Nigdy nie uległem zamorskiemu zwyczajowi trzymania w biurze alkoholu. Ale Willet dostarczy wszystko, co pani...

- Och, nie, dziękuję. Nie trzeba. Wypiję herbatę. Jej działanie jest zresztą podobno o wiele trwalsze.

Pan Sandał wyglądał tak, jakby miał ochotę poklepać ją po

ramieniu dla dodania odwagi, lecz nie mógł się na to zdecydować. To naprawdę bardzo miły człowiek, pomyślała, ale... ale niewielka z niego podpora.

- Czy wyjaśnił, dlaczego przybrał nazwisko Farrar? - spytała, kiedy wsiedli do taksówki.

- Nie wyjaśnił niczego - odrzekł pan Sandał przyjmując znowu oschły ton.

- Czy wywnioskował pan, że on jest w kłopotach finansowych?

- Nie wspominał o pieniądzach. Jest bardzo dobrze ubrany, choć niezupełnie według angielskiej mody.

- Nie było mowy o pożyczce?

- O, nie. Na pewno nie.

- A więc nie wrócił dlatego, że jest bez grosza - powiedziała Bee i poczuła coś w rodzaju zadowolenia. Usiadła wygodniej i trochę się odprężyła. Może wszystko będzie dobrze.

- Nigdy nie rozumiałem, dlaczego Pimlico tak nagle spadło w ocenie społecznej - powiedział pan Sandał, przerywając milczenie, gdy jechali ulicami o pretensjonalnych gankach. - Ta dzielnica ma piękne, szerokie ulice, mały ruch przelotowy, nie jest bardziej zanieczyszczona niż sąsiednie. Dlaczego ludzie zamożni opuścili ją, a pozostali w Belgravii? To zastanawiające.

- Widocznie pustka przyciąga - odrzekła Bee starając się podtrzymać zainicjowaną przez niego rozmowę na tematy obojętne. - Miejskowa wielka dama opuszczając dzielnicę stwarza próżnię i reszta mieszkańców kolejno, w porządku wyznaczonym hierarchią, idzie w jej ślady. Napływają biedniejsi ludzie wypełniając próżnię. Czy to ten dom?

Ogarnęło ją znowu przerażenie, kiedy spojrzała na ponury front domu: łuszcząca się farba, brudna sztukateria, spłowiałe firanki w oknach, nie zamieciona brama i zatarty numer domu na okropnym filarze.

Drzwi frontowe były otwarte. Weszli.

Wizytówki na poszczególnych drzwiach w korytarzu ujawniały fakt, że w domu tym odnajduje się pojedyncze pokoje.

- Adres brzmi 59 K - odezwał się pan Sandał - sądząc, że „K” to numer pokoju.

- Numeracja zaczyna się od parteru i idzie w górę - odrzekła Bee. - Tu widzę „B”. - Weszli na schody.

- „H” - powiedział pan Sandał zerkając na drzwi na pierwszym piętrze. - To będzie wyżej.

Drugie piętro było zarazem ostatnim w tym domu. Stali na ciemnym podeście, wsłuchani w ciszę. Nie ma go, myślała, nie ma go i będę musiała przeżyć to wszystko jeszcze raz.

- Czy ma pan zapalki? - spytała. - „I” i „J” - przeczytała na dwojgu drzwiach.

A więc to tamte w głębi.

Przez chwilę stali w ciemności wpatrując się w drzwi. Potem pan Sandał zrobił stanowczy krok naprzód i zapukał.

- Proszę - odpowiedział głos z wewnątrz. Był to niski młodzieńczy głos, zupełnie odmienny od niedbałego przemądrzałego tonu Simona.

Bee, o pół głowy wyższa od pana Sandała, mogła patrzeć ponad jego ramieniem. Wstrząśnięta stwierdziła, że chłopak jest o wiele podobniejszy do Simona, niż był kiedykolwiek Patryk. Jej wyobraźnię wypełniały wizerunki Patryka: niejasne, zatarte podobizny, które usilnie starała się rozjaśnić, by móc porównać je z żywym młodym człowiekiem. Przez ubiegłą dobę całą jej istotę obsesyjnie wypełniał Patryk.

A tu był ktoś niesłychanie podobny do Simona.

Siedzący na łóżku chłopiec wstał i bez pośpiechu i zakłopotania ściągnął z lewej ręki skarpetkę, którą cerował. Nie mogła wyobrazić sobie Simona cerującego skarpetkę.

- Dzień dobry - powiedział.

- Dzień dobry - odrzekł pan Sandał. - Mam nadzieję, że pan wybaczy: przyprowadziłem panu gościa. - Usunął się, by przepuścić Bee. - Czy pan wie, kto to jest?

Serce Bee waliło jak młotem, gdy napotkała spokojny, jasny wzrok chłopca. Wpatrując się w niego czekała, czy ją rozpozna.

- Czeszesz się teraz inaczej - powiedział.

Tak, oczywiście. Fryzury zmieniły się zupełnie w ciągu tych ośmiu lat. To jasne, że zauważył różnicę.

- Poznaje pan tę panią? - spytał pan Sandał.

- Tak, naturalnie. To ciocia Bee.

Czekała, że podejdzie przywitać się z nią, ale się nie ruszył. Po chwili odwrócił się po krzesło dla niej.

- Niestety, jest tylko jedno krzesło. Nie można się na nim za mocno opierać - dodał biorąc do ręki twarde krzesło z ciemnym wygiętym oparciem i brązowym skórzanym podziurawionym siedzeniem. Bee usiadła.

- Zechce pan się na łóżku? - spytał pana Sandała.

- Dziękuję, dziękuję - odrzekł spieszenie adwokat.

Szczegóły twarzy zupełnie inne niż u Simona, myślała patrząc, jak chłopak wbija starannie igłę w skarpetkę. Na pierwszy rzut oka odnosiło się wrażenie, że są tacy sami, ale po dokładniejszym przyjrzeniu się uderzające podobieństwo zniknęło, pozostawało tylko podobieństwo rodzinne.

- Panna Ashby nie mogła się doczekać spotkania, więc przywiozłem ją tutaj - powiedział pan Sandał. - Nie wydaje się pan specjalnie... - Pozostawił zdanie wymownie nie dokończone.

Młody człowiek popatrzył na nią przyjaźnie, ale bez uśmiechu, i rzekł:

- Nie jestem pewny, jak zostaną przyjęty.

Dziwnie nieruchoma twarz. Przypominała Bee dziecinnie rysunek. Wszystko na swoim miejscu i w dobrych proporcjach, ale bez życia. Nawet usta miały prostą, pewną linię, tak jak rysują je dzieci.

Chłopak wstał, żeby odłożyć skarpetę na toaletkę, i wtedy zobaczyła, że kuleje.

- Skaleczyłeś się w nogę? - spytała.

- Złamałem ją. Tam, w Stanach.

- Ale czy powinieneś chodzić, jeśli jest jeszcze słaba?

- Nie boli mnie. Jest po prostu krótsza.

- Krótsza? To znaczy, że taka już zostanie?

- Na to wygląda.

Wrażliwe wargi, zauważyła, mimo że takie wąskie; zdradziły go, gdy wyrzekł ostatnie słowa.

- Ale można przecież coś z tym zrobić - powiedziała. - Po

prostu nogę źle złożono. Przypuszczam, że operował cię niezbyt dobry chirurg.

- Nie pamiętam chirurga. Może zemdlałem. Zrobili wszystko, co trzeba; leżałem na wyciągu i tak dalej.

- Ależ, Pat... - zaczęła i nie zdołała dokończyć imienia.

- Nie zwracaj się do mnie po imieniu, dopóki nie będziesz pewna, że to ja - wtrącił.

- Chirurgia czyni dziś cuda - powiedziała, by zatrzeć wrażenie, jakie musiało wywrzeć nie dokończone przez nią słowo. - Jak dawno się to stało?

- Zaraz, niech pomyślę. Już parę lat temu.

Z wyjątkiem amerykańskiego „a” w jego wymowie nie było nic szczególnego.

- Zobaczymy, co się da z tym zrobić. Spadłeś z konia, tak?

- Tak. Brak refleksu. Skąd wiedziałaś, że to koń?

- Mówiłeś panu Sandałowi, że pracowałeś przy koniach. Lubieś tę pracę? - Banalna rozmowa, jak w pociągu, pomyślała.

- Tylko to naprawdę w życiu lubię.

Zapomniała o banałach.

- Doprawdy? - spytała z zadowoleniem. - Czy tam na Zachodzie są dobre konie?

- Większość jest oczywiście zupełnie przeciętna. Bardzo dobre do pracy, co w końcu jest najważniejsze. Ale od czasu do czasu trafia się koń z klasą. Niektóre z nich są piękne. Bardziej... o większej indywidualności niż konie angielskie, na ile je pamiętam.

- Może to my w Anglii pozbawiamy je indywidualności. Nie zastanawiałaś się nigdy nad tym. Miałaś własnego konia?

- Tak. Deresza.

Zauważyła zmianę w tonie jego głosu, kiedy to powiedział. Tak wyczuwalną jak fałszywa nuta w dźwięku pękniętego dzwonu.

- Był siwy?

- Ciemnosiwym w czarne cętki. Nie taki mocny stalowy kolor, wiesz, tylko łagodny, dymny. Kiedy wpadł w szal, wyglądał jak wirująca chmura dymu.

Wirująca chmura dymu. Potrafiła to sobie wyobrazić. On chyba kocha konie, jeśli umie je tak widzieć. Musiał wyjątkowo kochać swojego Deresza.

- Co się stało z Dereszem?

- Sprzedałem go.

Na tereny zakazane wstęp wzbroniony. Dobrze, nie będzie ich przekraczała. Prawdopodobnie był zmuszony sprzedać konia, kiedy złamał nogę.

Zacęła bardzo usilnie wmawiać w siebie, że to jest Patryk.

Przypomniało jej to sytuację, którą trochę już straciła z oczu. Popatrzyła niezdecydowanie na pana Sandała.

Odpowiadając na to spojrzenie, rzekł:

- Panna Ashby jest niewątpliwie gotowa ręczyć za pana, ale rozumie pan, że sprawa wymaga dokładniejszego wyjaśnienia. Gdyby to był zwykły powrót syna marnotrawnego, uznanie pana przez ciotkę wystarczyłoby niewątpliwie, żeby pana przyjąć na łono rodziny. Ale w danym przypadku to także sprawa majątku. Ostatecznego przyznania dziedzictwa. Sąd zażąda bezspornego dowodu pańskiej tożsamości, zanim będzie pan mógł dziedziczyć to wszystko, co należało do Patryka Ashby. Mam nadzieję, że rozumie pan nasze stanowisko.

- Rozumiem doskonale. Oczywiście pozostanę tutaj, dopóki państwo nie przeprowadzą swoich badań w sposób zadowalający.

- Nie możesz przecież tu mieszkać - zaprotestowała Bee obrzucając spojrzeniem pełnym obrzydzenia pokój i gąszcz kominów za oknem.

- Mieszkałem w o wiele gorszych miejscach.

- Możliwe. Ale to żaden powód, żeby mieszkać tutaj. Jeśli potrzebujesz pieniędzy, możemy ci coś dać.

- Dziękuję, zostanę tutaj.

- Chodzi ci o niezależność?

- Nie. Tu jest spokojnie i wygodnie. I naprawdę zacisznie. Po noclegach w różnych ludzkich zbiorowiskach ceni się bardzo odosobnienie.

- Dobrze, zostań tutaj. Czy coś innego możemy... Czy w

czymś możemy ci pomóc?

- Przydałoby mi się drugie ubranie.

- Doskonale. Pan Sandał wypłaci ci zaliczkę w odpowiedniej wysokości. - Uprzymiotniła sobie nagle, że jeśli on pójdzie do krawca Ashbych, wywoła to sensację. - Da ci adres swego krawca.

- A dlaczego nie miałby uszyć mi ubrania Walters? - spytał chłopak.

Na moment zaniemówiła.

- Czy nie ma już tej firmy?

- Owszem, jest, ale gdybyś tam poszedł, trzeba by za wiele wyjaśniać. - Musi się opanować. Każdy mógł się dowiedzieć, kto szyje ubrania Ashbym.

- Tak, rozumiem.

Poszukała znów oparcia w rozmowie na obojętne tematy, a potem zaczęła się żegnać.

- Nie powiedzieliśmy rodzinie o tobie - rzekła szykując się do wyjścia. - Uważaliśmy, że tak będzie lepiej, dopóki sprawy się nie... nie wyklarują, jak to określa pan Sandał.

W jego oczach pojawił się błysk rozbawienia. Przez chwilę poczuli się sprzymierzeni, tając śmiech.

- Rozumiem.

Odwróciła się do drzwi. Chłopak stał na środku pokoju patrząc za nią i pozwalając, by pan Sandał ją wyprowadził. Wydawał się osamotniony i daleki. A jeśli to Patryk? - pomyślała. Patryk, który wrócił do domu... A ja rozstaję się z nim, jakby był przypadkowym znajomym... Myśl o jego samotności była nie do zniesienia.

Podeszła znów do niego, ujęła lekko ręką w rękawiczce jego twarz i pocałowała go w policzek.

- Witaj w domu, mój drogi - powiedziała.

## **Rozdział VIII**

Biuro prawne „Cosset, Thring i Noble” rozpoczęło badania, a Bee wróciła do Latchetts załatwiać sprawy związane z



odłożeniem przygotowywanej uroczystości z racji pełnoletnia Simona.

Czy ma powiedzieć dzieciom teraz, nim rzecz się wyjaśni? A jeśli nie powie, to jaki podać powód, że uroczystość nie odbędzie się we właściwym czasie?

Pan Sandał uważał, że nie powinno się jeszcze nic mówić. Opinia tego Kevina wywarła najwyraźniej na nim wrażenie; był zdecydowanie gotów znaleźć jakiś słaby punkt w tak kompletnym materiale. Uważał, że nie byłoby wskazane informować o tym dzieci, dopóki roszczenie nie zostanie najdokładniej sprawdzone.

Z tym się zgadzała. Gdyby się okazało, że ten chłopak z Pimlico to nie Patryk, po co dzieci miałyby o tym wszystkim wiedzieć? Simona prawdopodobnie trzeba by ostrzec przed ewentualnymi próbami oszustwa, ale wtedy zainteresowanie tą sprawą byłoby jedynie teoretyczne, a sama sprawa zupełnie bezosobowa. Trudność polegała na tym, jak pogodzić odłożenie uroczystości i faktem, że dzieci mają się nie dowiedzieć o przyczynie tej decyzji.

Z kłopotu wybawił Bee dziadek stryjeczny Charles, który zatelegrafował donosząc o swoim, znacznie spóźnionym, przejściu na emeryturę i wyrażając nadzieję, że będzie mógł wziąć udział w przyjęciu z okazji dośnięcia do pełnoletności syna swojego bratanka. Wraca do domu z Dalekiego Wschodu, a ponieważ nie chce podróżować samolotem, jego powrót prawdopodobnie się opóźni, spodziewa się jednak, że Simon nie otworzy szampana przed jego przybyciem.

Stryjeczni i cioteczni dziadkowie nie zajmują zwykle zbyt ważnej pozycji w rodzinach, ale dla Ashbych Charles był kimś więcej niż stryjecznym dziadkiem, jego imię stało się symbolem. Każde urodziny nabierały żywszych barw, a świąt Bożego Narodzenia nie można się było doczekać na myśl o prezencie dziadka Charlesa. Prezenty rodziców mieściły się zawsze w rozsądnych granicach, a Święty Mikołaj spełniał jedynie zamówienia.

Ale z prezentami dziadka Charlesa ani granice, ani rozsądek nie miały żadnego związku. Kiedyś przysłał komplet

chińskich pałeczek do ryżu, co zburzyło na tydzień dyscyplinę w dzieciennym pokoju, Kiedy indziej nadeszła w paczce skóra węża; radość z posiadania tej skóry oszołomiła Simona na wiele dni. Eleanor do dziś biegła do łazienki w pantoflach ze skóry o dziwnym zapachu, które dostała na dwunaste urodziny. Co najmniej cztery razy do roku dziadek Charles stawał się najważniejszą osobą w rodzinie Ashbych; a gdy się jest najważniejszą osobą cztery razy w roku przez dwadzieścia lat, znaczy się niemało. Simon może sarkać, a inni będą trochę protestować, lecz z pewnością zaczekają na dziadka Charlesa.

Ponadto przysła jej do głowy chytra myśl, że Simon nie będzie chciał obrazić ostatniego z Ashbych tej generacji. Charles nie był bogaty - zbyt szczerze rozdawał przez całe życie - ale żył dostatnio i wygodnie. A Simon mimo swojej niedbałej bez troski i wdzięku jest człowiekiem niezwykle praktycznym.

Tak więc rodzina z rezygnacją odłożyła uroczystość, a w Clare przyjęto tę decyzję ze spokojem. Uznano za bardzo właściwe, że rodzina Ashbych chce zaczekać na starszego pana. Bee spędziła wolny czas po obiedzie zmieniając datę na zaproszeniach i dziękując niebu za szczęśliwy zbieg okoliczności.

Przeżywała wewnętrzną rozterkę. Pragnęła, żeby ten chłopiec był Patrykiem, ale czuła, że dla wszystkich zainteresowanych byłoby o wiele lepiej, gdyby się okazało, że nim nie jest. Siedem ósmym jej jestestwa pragnęło powrotu Patryka: żywego, serdecznego, kochanego. Jedna ósma wzdrygała się na myśl o wstrząsie, jakiego dozna szczęśliwy świat Ashbych z powodu jego powrotu. Kiedy się przyłapała na tej myśli, zgromiła się i zawstydzila, ale nie potrafiła jej w sobie zwalczyć. Była tak roztargniona i zniecierpliwiona, że Ruth powiedziała do Jane:

- Czy nie myślisz, że ona się czymś w duchu martwi?
- Pewnie nie zgadzają jej się rachunki. Ona bardzo źle dodaje.

Pan Sandał od czasu do czasu donosił, jak posuwają się

badania; informacje te były jednostajne i monotonne. Wszystko, co mówił chłopak, znajdowało potwierdzenie.

- Rzeczą najbardziej przekonującą-powiedział pan Sandał - jest fakt, że ten młody człowiek od chwili przyjazdu do Anglii nie styka się z nikim. Mieszka w tym samym miejscu od czasu, gdy „Filadelfia” przybiła do portu, nie otrzymuje żadnych listów, nikt go nie odwiedza. Właścicielka domu zajmuje mieszkanie na parterze. To kobieta, która nie ma nic do roboty, siedzi więc w oknie i obserwuje swoich sąsiadów. Życie lokatorów to otwarta księga dla tej zacnej niewiasty. Ma też zwyczaj wyczekiwania na listonosza i zabierania zostawionych przez niego listów. Nic nie ujdzie jej uwagi. Opis mojej osoby podany przez nią nie był zbyt pochlebny, ale wzruszająco wierny. Młody człowiek nie mógłby mieć gości, o których by ona nie wiedziała. Całymi dniami przebywa poza domem, oczywiście, tak jak robiłby każdy młody chłopak w Londynie. Nie ma jednak żadnego śladu jakiegokolwiek zażyłości, która sugerowałaby zmovę. Nie ma przyjaciół.

Młodzieniec przyszedł chętnie do kancelarii i swobodnie odpowiadał na pytania. Za zgodą Bee Kevin Macdermott „asystował” kiedyś przy takiej rozmowie i nawet on był zaskoczony.

- Zdumiewa mnie nie to, że ten facet wie wszystko na swój temat - powiedział - dobrzy oszuści są na ogół wymowni - ale ogólne wrażenie, jakie sprawia. Szczerze mówiąc, jest inny, niż oczekiwałem. Po jakimś czasie w moim zawodzie człowiek ma nosa do oszustów. Ten chłopak zbija mnie z tropu, Nie wygląda na oszusta, a jednak cała sprawa śmierdzi.

Nadszedł więc dzień, kiedy pan Sandał oznajmił Bee, że biuro prawne „Cosset, Thring i Noble” gotowe jest uznać młodego człowieka za Patryka Ashby, najstarszego syna Williama Ashby z Latchetts, ze wszelkimi wynikającymi stąd konsekwencjami prawnymi. Będą oczywiście do załatwienia formalności, ponieważ fakt jego śmierci przed ośmiu laty został uznany; ale załatwi się to automatycznie. Jeśli chodzi o nich, prawników, nie mają nic przeciwko temu, żeby Patryk Ashby pojechał do domu, kiedy zechce.

Nadeszła zatem chwila, kiedy należało oznajmić tę nowinę rodzinie.

Bee intuicyjnie czuła, że najpierw powinna zakomunikować ją w cztery oczy Simonowi, ale równocześnie wiedziała, że należy unikać wszystkiego, co stawiałoby go w tej sprawie w innej sytuacji niż resztę rodzeństwa. Lepiej uznać za rzecz oczywistą, że dla wszystkich powitanie brata będzie bezwzględnie radosnym przeżyciem.

Powiedziała im o tym pewnej niedzieli po lunchu.

- Mam wam do zakomunikowania coś, co będzie może dla was zaskoczeniem. Ale miłym zaskoczeniem - dodała. I wyjaśniała dalej: Patryk nie popełnił samobójstwa, jak myśleli, tylko po prostu uciekł. A teraz wrócił. Mieszkał przez krótki czas w Londynie, bo musiał oczywiście udowodnić adwokatom, że jest Patrykiem. Lecz nie miał z tym żadnych trudności. Więc przyjedzie do domu.

Mówiąc unikała patrzenia im w oczy; łatwiej było mówić w przestrzeń, bezosobowo. Ale w przeraźliwej ciszy, jaka po jej słowach zaległa, popatrzyła na Simona i przez chwilę nie poznała go. Skurczona, blada twarz z płonącymi oczyma nie przypominała znanego jej Simona. Odwróciła szybko wzrok.

- Czy to znaczy, że ten nowy brat dostanie wszystkie pieniądze Simona? - spytała Jane, jak zwykle nie bawiąc się w ceregiele.

- Uważam, że to okropne - orzekła bez ogródek Eleanor.

- Co takiego?

- Uciec i zostawić nas wszystkich w przekonaniu, że nie żyje.

- On tego z pewnością nie wiedział. Nie wiedział, że zrozumiemy jego kartkę jako zawiadomienie o zamiarze samobójstwa.

- Nawet gdyby tak było. Pozostawił nas bez słowa wiadomości przez... przez, jak długo? Siedem lat? Prawie osiem. A potem wraca ni stąd, ni zowąd i oczekuje, że go serdecznie powitamy.

- Czy jest miły? - spytała Ruth.

- Co rozumiesz przez słowo „miły”? - zapytała z kolei Bee,

zadowolona, że przynajmniej Ruth okazuje zainteresowanie jego osobą.

- Czy ma miły wygląd? Czy mówi ładnie, czy z jakimś okropnym akcentem?

- Ma wygląd wyjątkowo miły i żadnego akcentu.

- Gdzie się podziewał przez ten cały czas? - spytała Eleanor.

- Był głównie w Meksyku i w Stanach.

- W Meksyku! - zachwyciła się Ruth. - Jakie to romantyczne! Czy nosi czarny szeroki kapelusz?

- Co? Oczywiście, że nie. Nosi kapelusz taki sam jak wszyscy.

- Ile razy widziałas go, ciociu? - dopytywała się Eleanor.

- Tylko raz. Parę tygodni temu.

- Dlaczego nam wtedy o tym nie powiedziałaś?

- Wydawało mi się, że lepiej poczekać, aż prawnicy skończą badania i on będzie mógł przyjechać do domu. Trudno, żebyście wszyscy jechali do Londynu, żeby go zobaczyć.

- No pewnie. Ale myślę, że Simon miałby na to ochotę, prawda, Simon? A my nie mielibyśmy nic przeciwko temu. Ostatecznie Patryk był jego bliźniakiem.

- Ani przez chwilę nie wierzę, że to jest Patryk - powiedział Simon krótko i dobitnie i było to gorsze od krzyku.

- Ależ, Simon - zaprotestowała Eleanor.

Bee siedziała milcząca i skonsternowana. Jest gorzej, niż przewidywała.

- Ależ, Simon. Ciocia Bee go widziała, to chyba wie.

- Ciocia Bee zdaje się już go uznać.

O wiele-gorzej, niż przewidywała.

- Uznali go przede wszystkim „Cosset, Thring i Noble”. Biuro nie kierujące się sentymentami, przyznasz chyba, Simon. Gdyby istniała najmniejsza wątpliwość, że to nie Patryk, ujawniliby to w ciągu tych kilku tygodni. Żaden fragment jego życia, od kiedy opuścił Anglię, nie pozostał przez nich nie wyjaśniony.

- Oczywiście, kimkolwiek jest, przedstawił życiorys, który można sprawdzić! A czego oni się spodziewali! Ale na podstawie czego uwierzyli, że to jest Patryk?

- Po pierwsze jest identyczny z tobą.

Simon był najwyraźniej zaskoczony.

- Identyczny ze mną? - spytał niepewnie.

- Tak. Jest nawet bardziej podobny do ciebie teraz niż wtedy, kiedy zniknął.

Krew powróciła do twarzy Simona, przywracając życie policzkom; ale minę miał ogłupiałą jak bokser, który dostał za mocny cios.

- Wierz mi, Simon, że to Patryk - powiedziała Bee.

- To nie on. Wiem, że nie on. Wszystkich was oszukał.

- Ależ, Simon - wtrąciła Eleanor. - Czemu tak myślisz? To jasne, że nie będzie ci łatwo pogodzić się z powrotem Patryka - nikomu z nas nie będzie łatwo - ale nie ma sensu awanturować się z tego powodu. Fakt jest faktem i musimy go przyjąć. Pogarszasz tylko sprawę próbując ją od siebie odsunąć.

- W jaki sposób ten... ten typ, który twierdzi, że jest Patrykiem, w jaki sposób dostał się do Meksyku? W jaki sposób wyjechał z Anglii? I dokąd?

- Wyłynął z Westover na statku „Ira Jones”.

- Z Westover? Kto tak twierdzi?

- On. A zgodnie z oświadczeniem kapitanatu portu, statek o tej nazwie wyłynął z Westover tego wieczoru, kiedy zniknął Patryk.

Simon najwyraźniej zaniemówił, więc Bee ciągnęła dalej:

- Wszystko, co robił od tej pory, zostało sprawdzone. Hotelu w Normandii, gdzie pracował, już nie ma, ale znaleziono statek, na którym wyłynął z Hawru - to frachtowiec należący do pewnej firmy w Breście - ludzie rozpoznali go ze zdjęcia. I tak dalej, cała jego droga aż do powrotu do Anglii. Do dnia, kiedy przestąpił próg kancelarii pana Sandała.

- W ten sposób wrócił? - spytała Eleanor. - Poszedł do starego pana Sandała?

- Tak.

- Uważam to za dowód, że to jest Patryk, jeśli ktoś jeszcze wątpi. Choć nie wiem, dlaczego miałyby być jakieś

wątpliwości. Ostatecznie bardzo łatwo byłoby go na czymś przyłapać, gdyby nie był Patrykiem. Nie znałby wszystkich spraw rodzinnych...

- To nie jest Patryk.

- To szok dla ciebie, Simonie kochany - powiedziała Bee - i jak mówi Eleanor, niełatwo ci się z tym pogodzić. Ale będzie ci łatwiej, kiedy go zobaczysz. To znaczy będzie ci łatwiej go przyjąć. Nie można zaprzeczyć, że to jeden z Ashbych, i niezwykle do ciebie podobny.

- Patryk nie był bardzo do mnie podobny.

Eleanor wyręczyła Bee w odpowiedzi.

- Był podobny, Simon. Oczywiście, że był. Byliście przecież bliźniakami.

- Gdybym uciekła na kilka lat, uwierzyłabyś, że to ja, Jane? - spytała Ruth.

- Ty byś nie wytrzymała kilku lat poza domem - odrzekła Jane.

- Skąd wiesz?

- Wróciłabyś od razu.

- Dlaczego?

- Żeby zobaczyć, jak została przyjęta twoja ucieczka.

- Kiedy on przyjedzie, ciociu Bee? - spytała Eleanor.

- We wtorek. Tak się przynajmniej umówiliśmy. Ale gdybyście chcieli opóźnić to trochę, póki nie przyzwyczaiacie się do tej myśli, to sądzę, że... - Zerknęła na Simona, który wydawał się przygnębiony i zbity z tropu.

Nawet w chwilach największych obaw nie wyobrażała sobie tak ostrej reakcji.

- Jeśli przypuszczasz, że ja przyzwyczaję się do tej myśli, to się mylisz - powiedział Simon. - Mnie jest obojętne, kiedy ten facet przyjedzie. Moim zdaniem to nie jest Patryk i nigdy nim nie będzie.

I wyszedł z pokoju. Bee zauważyła, że poruszał się niezbyt pewnie, jakby był pijany.

- Nigdy jeszcze Simona takiego nie widziałam - powiedziała ze zdumieniem Eleanor.

- Powinnam była inaczej mu to zakomunikować. To,

niestety, moja wina. Po prostu nie chciałam robić wyjątków.

- Ale on przecież kochał Patryka, prawda? Dlaczego miałyby się nie cieszyć? Choć trochę.

- Uważam, że to okropne, że ktoś może przyjść i tak bez uprzedzenia zająć miejsce Simona - powiedziała Jane. - Po prostu okropne! Nie dziwi mnie, że Simon jest zły.

- Ciociu Bee - spytała Ruth - czy we wtorek na przyjazd Patryka mogę włożyć niebieską sukienkę?

## **Rozdział IX**

Bee zaczęła do końca wieczornego nabożeństwa, a potem na przełaj przez pole wyruszyła na plebanię. Pozornie szła zakomunikować im nowinę, w istocie po to, żeby podzielić się swym niepokojem z George'em Peckiem. Kiedy George zdołał dostatecznie oderwać myśli od świata starożytnego i skupić je na świecie współczesnym, stawał się dobrym partnerem do rozmowy, powściągliwym i obiektywnym. Bee przypuszczała, że dogłębna znajomość wydarzeń sprzed wieków, dopełniona doświadczeniami duszpasterskimi w wiejskiej parafii, dostatecznie uodporniła go na nieoczekiwane ciosy. Nie dziwiły go ani dawne bezceństwa, ani współczesna obojętność religijna. Więc nie przed Nancy, swoją przyjaciółką, lecz właśnie przed pastorem chciała otworzyć skołatane serce. Nancy otoczyłaby ją czułą serdecznością i okazała współczucie, ale Bee nie tego potrzebowała; potrzebowała oparcia. Ponadto, jeśli miała znaleźć zrozumienie, to nie u Nancy, która zapomniała o istnieniu Patryka, tylko u George'a Pecka, który na pewno będzie pamiętał swego dawnego ucznia.

W słońcu przez pola i cmentarz doszła do żelaznej furtki prowadzącej do ogrodu na plebani, furtki, która była powodem strasznej bójki w roku 1723. Dziś panował tu cudowny spokój i cicho, spokojnie spali w żyznej ziemi Clare w odległości dwunastu stóp od siebie tak niegdyś skłóceni ze sobą kowale. Kiedyś, już niedługo, myślała przystanąwszy z



ręką na kunsztownym żelaznym ślimaku, mój kłopot też będzie tylko przebrzmiałą pieśnią; trzeba wszystko sprowadzić do właściwych proporcji. Tak przemawiał do jej serca rozsądek, lecz serce nie chciało słuchać.

Zastała pastora tam, gdzie spodziewała się go zastać. Po wieczornym nabożeństwie miał zwyczaj wychodzić i przyglądać się czemuś w ogrodzie; zwykle szedł w sam jego koniec, skąd niełatwo można go było odwołać do przyziemnych towarzyskich obowiązków. Tego wieczora wpatrywał się w krzew fioletowego bzu i zanieczyszczał wonne powietrze fajką, wydzielającą zapach zalanego wodą ogniska. „Powinno istnieć prawo zabraniające takich fajek, jakie pali George” - powiedziała kiedyś jego żona. Ta, którą palił w tej chwili, nie różniła się od innych. Bee poczuła się jeszcze bardziej przygnębiona.

Spojrzał na nią, gdy szła ścieżką, i powrócił do kontemplowania bzu.

- Cudowny kolor - powiedział. - Dziwne, że to tylko złudzenie optyczne. Ciekawe, jakiego kolom jest bez, kiedy się na niego nie patrzy?

Bee pamiętała, jak pastor tłumaczył kiedyś bliźniaczkom, że zegar nie tyka, kiedy nie ma nikogo w pokoju. Zastałam potem Ruth skradającą się cichaczem w hallu; mała zapytana, co to ma znaczyć, odrzekła, że próbuje „podpatrzeć zegar w salonie”. Chciała przyłapać go w momencie, gdy nie będzie tykał.

Bee stała chwilę w milczeniu obok pastora, patrząc na piękny krzew i starając się uporządkować myśli. Ale się jej to nie udawało.

- George - powiedziała wreszcie - pamiętasz Patryka, prawda?

- Pata Ashby? Oczywiście. - Odwrócił się, aby na nią popatrzeć.

- On wcale nie umarł. Tylko uciekł. Tak należało zrozumieć tę pozostawioną przez niego kartkę. I teraz wrócił. A Simon nie jest z tego zadowolony.

Duża, okrągła, bezwstydną łza wypłynęła jej z oka i stoczyła

się po policzku. Starła ją z brody i dalej patrzyła na bez.

George wyciągnął kościsty palec i dotknął nim lekko ramienia Bee.

- Usiądź - powiedział.

Usiadła na stojącej za jej plecami ławce pod zielonym sklepieniem, jakie tworzyło młode kapryfolium. Pastor siadł przy niej.

- A teraz opowiedz mi wszystko - rozkazał.

Więc opowiedziała. Całą tę niezwykłą, przygotowującą o zawrót głowy historię, po kolei, i ze wszystkimi szczegółami. Telefon pana Sandała, podróż do miasta, pokój na poddaszu w Pimlico, badania przeprowadzone przez firmę „Cosset, Thring i Noble”, ratunek, jakim okazał się dziadek Charles, ostateczne skonstatowanie faktów i przedstawienie ich rodzinie, oraz reakcje rodziny.

- Eleanor jest powściągliwa, ale jak zwykle rozsądna. Fakt to fakt i postara się przyjąć go jak najlepiej. Jane oczywiście jest po stronie Simona i współczuje mu, ale zapomni o tym, gdy na własne oczy zobaczy brata. To z natury życzliwa dusza.

- A Ruth?

- Ruth obmyśla, w co się ubierze we wtorek - odrzekła cierpko Bee.

Pastor uśmiechnął się.

- Szczęśliwe takie jak Ruth, zajęte tylko przyziemnymi sprawami.

- Ale Simon... Jak wytłumaczyć reakcję Simona?

- To nie takie łatwe. Musiałby być świętym, żeby witał radośnie brata, który zajmie jego miejsce. Ponadto brata, który dla niego umarł w wieku lat trzynastu.

- Ależ, George, to jego bliźniak! Byli nierozłączni.

- Myślę, że okres od trzynastego do dwudziestego pierwszego roku życia jest dłuższy od każdego innego okresu tej samej długości. Człowiek ma właściwie za sobą całe życie. Przyjaźń zakończona w wieku lat trzynastu przedstawia co najwyżej dla dwudziestoletniego młodzieńca wartość sentymentalną. Latchetts należało do Simona przez... ile to?... osiem lat. Wiedział przez cały ten czas, że w dniu osiągnięcia

pełnoletności wejdzie w posiadanie pieniędzy matki. Zupełnie nieoczekiwane pozbawienie tego wszystkiego wyprowadziłoby z równowagi człowieka o silniejszym charakterze niż Simon.

- Sądzę, że ja to źle rozegrałam - powiedziała Bee. - To znaczy źle im tę wiadomość zakomunikowałam. Trzeba było najpierw pomówić z Simonem. Ale tak bardzo chciałam traktować ich wszystkich jednakowo. Stworzyć pozory, że wszyscy jednakowo się ucieszą. Wziąć Simona na bok i powiedzieć mu przed innymi, to byłoby... to byłoby...

- Przewidywaniem kłopotów.

- Tak. Chyba coś takiego. Wiedziałam dobrze, że on zareaguje inaczej niż pozostali. I chciałam po prostu zmniejszyć tę różnicę. Ale naprawdę ani przez chwilę nie wyobrażałam sobie, że jego reakcja będzie tak gwałtowna. Że posunie się nawet do zaprzeczenia temu, że Patryk żyje.

- On tylko w ten sposób odsuwa od siebie niemiły fakt.

- Niemiły - wyszeptala Bee.

- Tak, niemiły. Nic dziwnego, że to dla niego rzecz niemiła. Utrudniasz sama sobie sprawę nie przyjmując do wiadomości zasadniczego faktu. Ty pamiętasz Patryka jako osoba dorosła i cieszysz się, że on żyje. - Obrócił głowę, by spojrzeć na nią. - Bo cieszysz się, prawda?

- Oczywiście - odrzekła z trochę zbyt dużym naciskiem. Lecz pastor nie zwrócił na to uwagi.

- Simon nie pamięta go jako człowiek dojrzały umysłowo i uczuciowo. Dla niego Patryk jest tylko uczuciem dawnym, nie obecnym. Nie ma w nim miłości, która by zwalczyła obecną nienawiść.

- O, George!

- Tak. Najlepiej spojrzeć prawdzie w oczy. Trzeba by niemal boskiej miłości, żeby stłumić urazę, jaką musi odczuwać Simon; a w nim nie było nigdy nic boskiego. Biedny Simon! Przydarzyła mu się rzecz fatalna.

- I to w najgorszym momencie. Kiedy jesteśmy wszyscy przygotowani do uroczystości.

- Ale to jest przynajmniej odpowiedź na to, co intrygowało

mnie przez osiem lat.

- Co?

- Samobójstwo Patryka. Nie umiałem nigdy pogodzić tego faktu z tak dobrze mi znaną jego osobowością. Był wrażliwym dzieckiem, lecz miał mnóstwo zdrowego rozsądku. Był też o wiele bardziej zrównoważony od mniej wrażliwego, lecz zdolniejszego Simona. Midi ponadto duże poczucie obowiązku. Kiedy Latchetts stało się nagle i w sposób niezrozumiały jego własnością, mógł być tym wytracony z równowagi do tego stopnia, żeby Uciec, ale nie aż tak, żeby odbierać sobie życie.

- Dlaczego więc wszyscy przyjęliśmy tak bezkrytycznie teorię samobójstwa?

- Wiatrówka na skale, kartka, której treść brzmiała niewątpliwie jak pożegnanie samobójcy; fakt, że nikt nie widział Patryka od chwili, gdy stary Abel spotkał go pomiędzy Tanbitches a urwiskiem skalnym. Poza tym upodobanie samobójców do tej części wybrzeża. Naturalny wniosek, który sam się nasuwał. Nie pamiętam, byśmy go kiedyś kwestionowali. Lecz zawsze wydawało mi się to dziwne. Nie sam sposób odebrania sobie życia, ale fakt, że Patryk w ogóle się na nie targnął. Nie pasowało to do znanego mi chłopca. A teraz dowiadujemy się, że w końcu tego nie zrobił.

Zamykasz oczy i bez jest bezbarwny; otwieram je i jest fioletowy - mówiła do siebie Bee. W ten sposób powstrzymywała łzy. Tak jak liczyła przedmioty, kiedy zbierało się jej na płacz w teatrze.

- Powiedz, podoba ci się ten dorosły Patryk, który wrócił?

- Tak. Podoba mi się. Jest w jakiś sposób bardzo podobny do tego, który zniknął. Spokojny. Opanowany. Delikatny. Pamiętasz, jak Patryk odwracał się i pytał: „Dobrze się czujesz?“, zanim powziął jakieś własne plany? On nadal myśli o innych. Nie próbował mnie popędzać, ani nie naciskał, żebym od razu uznała jego powrót za rzecz normalną. I wciąż nic nie mówi o złych czasach, jakie przeżył. Simon zawsze przybiegał ze swoimi smutkami i skargami, a Patryk radził

sobie sam. Nadal chyba samodzielnie potrafi rozwiązywać własne kłopoty.

- Sądzisz, że przeżył złe czasy?

- Nie myślę, żeby miał życie usłane różami. Zapomniałam ci powiedzieć, że kuleje.

- Kuleje?

- Tak. Trochę. Miał jakiś wypadek z koniem. Ale nadal szaleje za końmi.

- To cię chyba cieszy - rzekł George trochę kwaśno, bo sam nie był amatorem koni.

- Owszem - odpowiedziała Bee uśmiechając się na widok jego miny. - Dobrze, że Latchetts przejdzie w ręce prawdziwego miłośnika koni.

- Uważasz, że Simon nie bardzo je lubi?

- Nie tyle nie lubi, co ma do nich stosunek obojętny. Konie dostarczają mu rozrywki. Podnoszą jego prestiż. Są przedmiotem handlu, korzystnych transakcji. Ale chyba niczym więcej. Ani do koni, ani do ludzi, jeśli mnie rozumiesz, nie żywi głębszych uczuć. Wszelka choroba go nudzi. Eleanor potrafi przesiadywać całe noce przy chorym koniu i pielęgnować go razem z Greggiem. Simon tylko wtedy rezygnuje ze snu, kiedy koń, na którym chce jechać, skakać czy polować, się ochwaci.

- Biedny Simon - powiedział w zamyśleniu pastor. - On nie potrafi zwalczyć zazdrości. A zazdrość to uczucie bardzo destrukcyjne.

Zanim Bee zdążyła odpowiedzieć, zjawiała się Nancy.

- Bee! Jak miło, że przyszedłeś! - zawołała. - Byłaś na nabożeństwie wieczornym? Widziałas najświeższy żer dla miejscowych plotkarzy? Dwoje młodych przybyłych do naszej szkoły: chłopak i dziewczyna, którzy „badają rozpowszechnione w Anglii przesady”, chodzi o kościół anglikański. Chłopak bardzo kudłaty jak na swoje czternaście lat. I dziewczyna przytrzymująca jedenastoma grzebykami niezbyt bujne kosmyki na głowie. Co oznacza według ciebie upodobanie do grzebyków? Uczucie niepewności?

- Beatrice przyniosła niezwykłą wiadomość - powiedział

pastor.

- Simon się chyba nie zaręczył?

- Nie. Nie chodzi o Simona, tylko o Patryka.

- O Patryka? - powtórzyła niepewnie Nancy.

- On żyje. - I George opowiedział jej, co się stało.

- O, Bee! Kochana moja! - zawołała Nancy obejmując przyjaciółkę. - Jaka to radość dla ciebie. Teraz już przestaniesz się dręczyć.

Reakcja Nancy, która przypomniała jej koszmarnie tajemne rozważania, sprawiła, że Bee załamała się.

- Musisz się czegoś napić - rzekła żywo Nancy. - Chodź do domu, jest jeszcze nie dokończona butelka sherry.

- Żałosny powód do picia sherry - stwierdził pastor.

- Co takiego?

- To, że ktoś potrzebuje drinka!

- A jeszcze żałośniejszy ten, że jeśli my nie wypijemy sherry, zrobi to pani Godkin. Wypiła już większą część tego, co zostało w butelce. Chodźcie!

Bee piła więc sherry na plebanii i słuchała, jak George wtajemnicza Nancy w szczegóły powrotu Patryka Ashby. Gdy dźwigała teraz ciężar tej wiadomości razem z ludźmi ze swego pokolenia, wydawał się lżejszy. Obojętne, jakie są przed nią kłopoty, Nancy i George będą jej podporą i pociechą.

- Kiedy przyjedzie Patryk? - spytała Nancy, a pastor odwrócił się do Bee.

- We wtorek - odrzekła. - Nie mogę się zdecydować, jak najlepiej będzie rozgłosić tę nowinę w okolicy.

- To bardzo łatwe - powiedziała Nancy. - Oznajmij ją po prostu pani Gloom.

Pani Gloom miała we wsi sklep ze słodyczami, gazetami i artykułami tytoniowymi. Naprawdę nazywała się Bloom, ale jej upodobanie do przewidywania klęsk i katastrof sprawiło, że najpierw dzieci Ashbych i Ledinghamów, a potem wszyscy bez wyjątku zaczęli ją nazywać panią Gloom<sup>2</sup>.

- Albo możesz sama powysłać kartki. Poczta to prawie

---

2 Gloom - (ang.) ponury, przygnębiony.

równie dobry sposób. Tak zrobił Jim Bowden, kiedy rzucił córkę Heywoodów. Przesłał matce telegram, zawiadamiając, że się żeni z kim innym. Zanim wrócił do domu, poruszenie minęło.

- Obawiam się, że będziemy w centrum zainteresowania, póki nie wygaśnie ta krótkotrwała sensacja - powiedziała Bee.

- Trzeba to po prostu znieść.

- No, to miła sensacja, moja droga - pocieszyła ją Nancy.

- Tak. Tylko sytuacja jest taka... taka niepewna. To jak... jak...

- Wiem - zgodziła się z nią Nancy - jak stąpanie po galarecie.

- Chciałam powiedzieć, że to coś takiego, jak chodzenie po trzęsawisku, ale uważam, że galareta jest lepszym określeniem.

- Albo jak ruchoma podłoga w wesołym miasteczku - wtrącił niespodziewanie pastor, gdy Bee wstała, żeby się pożegnać.

- Skąd ty wiesz coś o wesołych miasteczkach, George? - spytała żona.

- Rok czy dwa lata temu w czasie karnawału było w Westover wesołe miasteczko. Wyjątkowo interesujące studium masochizmu.

- Widzisz teraz, dlaczego wytrzymuję z George'em tak długo - powiedziała Nancy, kiedy szły z Bee do furtki. - Po trzynastu latach jeszcze się czegoś nowego o nim dowiaduję. Nigdy bym nie przypuszczała, że on w ogóle wie, co to jest wesołe miasteczko. Czy możesz wyobrazić go sobie zapatrzonego w Wielkoluda-Szybkobiegacza?

Nie o George'u, mężu Nancy, myślała jednak Bee idąc przez dziedziniec kościelny, ale o ruchomej podłodze, na którą w najbliższych dniach będzie zmuszona wkroczyć. Weszła do kruchty od strony południowej i zobaczyła, że ciężkie, dębowe drzwi są jeszcze otwarte. Zachodzące słońce zalewało ciepłym blaskiem stare sklepienia, cały kościół wypełniała cisza. Bee usiadła na ławce przy drzwiach wsłuchując się w ciszę, w której trwały wraz z nią wyrzeźbione na grobowcach postacie,

zniszczone chorągwie, wyryte na ścianach nazwiska, jaskrawa flaga Związku Byłych Kombatantów i tykający wolno zegar. We wszystkich grobowcach spoczywali Ledinghamowie; od prostego, lecz pełnego godności krzyżowca do osiemnastowiecznego męża stanu, którego oplakiwała bogata rodzina wykuta w marmurze. W rodzinie Ashbych nie było krzyżowców i bogactwa. Ich pomniki stanowiły epitafia na ścianach. Bee siedziała i odczytywała je po raz tysięczny., „Z Latchetts” - powtarzało się na wszystkich. „Z Latchetts, parafii tutejszej”. Nie było wśród tych zmarłych marszałków polnych, kanclerzy, poetów, reformatorów. Tylko zwykli ziemianie, właściciele Latchetts.

A teraz Latchetts należy do tego nieznanego chłopca, który objechał pół świata. „Duże poczucie obowiązku” - powiedział pastor wspominając Patryka. Takiego i ona go pamiętała. Ale taki Patryk napisałby do nich.

Wciąż do tej myśli wracała. Patryk, którego znali, nie pozostawiłby ich w smutku i niepewności przez osiem lat.

„Jakieś podłoże natury psychologicznej” - tłumaczył pan Sandal. I w końcu jednak uciekł. Rzecz zupełnie niepodobna do Patryka. Może ogarnął go wstyd, gdy się opamiętał?

A jednak... A jednak...

To dobre dziecko, które odruchowo pytało: „Dobrze się czujesz?”

To dziecko z „dużym poczuciem obowiązku”?

## **Rozdział X**

W tym samym czasie, kiedy Bee siedziała w kościele w Clare wpatrując się w tablice pamiątkowe Ashbych, Brat Farrar stał w swoim pokoju w Pimlico w nowym ubraniu i w stanie paniki.

Jak on mógł się w to wpakować? Co sobie myślał? On, Brat Farrar. Jak mógł w ogóle przypuszczać, że mu się uda dobrnąć do końca? A przede wszystkim jak mógł dać się



wykorzystać do takich celów?

To wszystko uprzytomniło mu nagle ubranie. Ubranie uwidoczniło jasno i konkretnie przestępstwo. Wspaniałe ubranie. Takie, o jakim marzył: nie zwracające uwagi, a jedyne w swoim rodzaju, gdy się je dostrzegło; angielskie krawiectwo - dyskretna wytworność. Lecz on stał przerażony patrząc na siebie w lustrze.

Nie może tego zrobić. Po prostu nie może. Ukryje się, póki nie jest jeszcze za późno. Odeśle to przekłete ubranie do krawca, napisze list do kobiety, która była dla niego taka miła, i po prostu zniknie.

„Co? - odezwał się w nim znany głos. - I zrezygnujesz z największej przygody twego życia? Największej przygody, jaka przydarzyła się komukolwiek za ludzkiej pamięci?”

„To są wszystko fałszywe preteksty. Trzeba zwiewać.”

Nie będą sobie zawracali głowy, żeby go szukać. Ulży im, jak się go pozbędą. Mógłby zniknąć nie pozostawiając śladu.

„I zostawisz majątek?” - spytał głos.

„Tak, zostawię. Na co mi majątek?”

Napisze list, który upewni ich, że nie będzie się im więcej naprzykrzał, i dadzą mu spokój. Napisze do tej kobiety, bo była dobra, pocałowała go nie mając jeszcze pewności, że on jest Patrykiem, przyzna się do wszystkiego, przeprosi, i koniec.

„I stracisz okazję posiadania stadniny?”

„Komu potrzebna stadnina? Świat jest pełen koni.”

„A ty może będziesz miał kilka?”

„Może kiedyś będę miał.”

„Cuda zdarzają się na świecie.”

„Milcz!”

Napisze do Lodinga, że nie chce uczestniczyć w jego kryminalnych planach.

„I zmarnujesz wszystko, co wiesz, czego się nauczyłeś?”

„Nie powinienem był nigdy tego zaczynać.”

„Ale zacząłeś. Więc skończ. Jesteś niesamowicie obkuty i to jest warte fortunę. Nie możesz przecież tego zmarnować.”

Niech sobie Loding czeka na te pięćdziesiąt procent. Jak

mogło mu w ogóle przyjść do głowy, żeby stać się narzędziem w rękach takiego oszusta?

„Bardzo zabawny i inteligentny oszust. To oszustwo na najwyższym poziomie. Nie ma się czego wstydzić. Wierz mi.”

Jutro rano pójdzie do biura podróży i zamówi sobie miejsce na statku opuszczającym Anglię. Popłynie dokądkolwiek.

„Zdawało mi się, że chciałeś zostać w Anglii.”

Oddzieli siebie morzem od pokusy.

„Pokusy? Nie mów mi, że jeszcze się wahasz!”

Brak mu pieniędzy na podróż do Ameryki, ale wystarczy na to, żeby wyjechać gdzieś daleko. W biurze podróży dadzą mu do wyboru różne miejscowości. Świat jest ogromny i pozostało jeszcze na nim wiele ciekawych rzeczy. We wtorek rano nie będzie go już w Anglii i tym razem nie wróci tu więcej.

„I nigdy nie zobaczysz Latchetts?”

Znajdzie jakąś...

„Co mówiłeś?”

„Powiedziałem: »I nigdy nie zobaczysz Latchetts?«.

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

„Zabiłem ci klina, co?”

Musi coś odpowiedzieć.

„Pieniądze, konie, zabawa, przygoda to banalne rozrywki. Możesz je mieć wszędzie. Ale jeśli zrezygnujesz z Latchetts, to już na dobre. Nie będzie powrotu.”

„Ale co ja mam wspólnego z Latchetts?”

„Pytasz, co masz wspólnego? Ty, z twoją twarzą Ashbych, budową i cerą Ashbych, upodobaniami Ashbych, krwią Ashbych?...”

„Nie mam żadnych dowodów, że...”

„Masz w sobie krew Ashbych. Ty mały, biedny podrzutku, Latchetts to miejsce, gdzie przynależysz, a ty masz śmiałość udawać, że ci ani trochę na nim nie zależy.”

„Nie mówiłem, że mi nie zależy. Oczywiście, że mi zależy.”

„Ale wyjedziesz z tego kraju zostawiając Latchetts? Na zawsze? Bo do tego się to sprowadza, mój chłopcze. Wybór należy do ciebie. Wybierz drogę wspaniałej przygody, a we wtorek rano zobaczysz Latchetts. Zniknij, a nie zobaczysz go

nigdy."

„Nie jestem oszustem! Nie mogę zrobić czegoś, co jest przestępstwem”.

„Nie możesz? W ciągu paru ostatnich tygodni dość dobrze grałeś oszusta. I podobało ci się to. Pamiętasz, jaką przyjemność sprawiła ci pierwsza ryzykowna wizyta u starego Sandała? Jak cię cieszyły wszystkie następne? Nawet gdy adwokat z tytułem doradcy królewskiego siedział naprzeciwko ciebie i sondował cię. Rozkoszowałeś się tą sytuacją. A teraz strach cię po prostu obleciał. Zawodzą nerwy. Pragniesz zobaczyć Latchetts, jak nie pragnąłeś niczego w życiu. Chcesz mieszkać w Latchetts jako Ashby. Chcesz mieć konie.

Chcesz przeżyć przygodę. Chcesz żyć w Anglii. Jedź we wtorek do Latchetts, a będziesz miał to wszystko.”

„Ale...”

„Przejechałeś pół świata dla tego spotkania z Lodgingiem. Czy to był tylko przypadek? Oczywiście, że nie. Wszystko to było ci przeznaczone. Twój los to Latchetts. Na to się urodziłeś. W Latchetts. Jesteś Ashbym. Przebyłeś pół świata, by dotrzeć do miejsca, o którym nigdy nie słyszałeś. To przeznaczenie. Nie możesz lekceważyć przeznaczenia.”

Brat zdjął z siebie powoli nowe ubranie i powiesił je z nabytą w sierocińcu starannością na pięknym nowym wieszaku. Potem usiadł na łóżku i ukrył twarz w dłoniach.

Siedział tak, aż zapadł zmrok.

## **Rozdział XI**

Dzień, w którym Brat Farrar przyjechał do Latchetts, był słoneczny i piękny, ale lekki wietrzyk poruszał wciąż liśćmi, więc mimo słońca i czystego nieba wyczuwało się w powietrzu jakiś niepokój - zapowiedź burzy.

Za słonecznie, pomyślała Bee, gdy po śniadaniu wyjrzała przez okno swego pokoju. „Przed nocą łyż się poleją”, mawiała niania, gdy dzieci zanadto dokazywały. A jednak... Przynajmniej przywita go w słońcu.

Ten przyjazd zaplanowała cały w myśli dokładnie. Musi się to odbyć jak najmniej ceremonialnie - co do tego zgodzili się wszyscy. Ktoś powita go na stacji i przywiezie do domu, na lunchu będzie tylko rodzina. Pytanie: kto ma wyjechać na stację? Bliźniaczki upierały się, że cała rodzina, ale o tym naturalnie nie mogło być mowy. Syn marnotrawny nie może być witany publicznie na peronie w Guessgate, nie może robić widowiska dla personelu dworcowego i przypadkowych podróżnych z Westover do Bures. Ona sama nie może jechać, bo stworzyłoby to pozory, że powracający Patryk ma jej specjalne względy; tego trzeba za wszelką cenę unikać. Nie zapomniała szyderczej uwagi Simona, że już „uznała” Patryka. Simon, który powinien go oczywiście witać, był nieosiągalny; od niedzieli, kiedy oznajmiła im tę wielką nowinę, sypiał w domu, lecz poza tym nie brał udziału w codziennym życiu Latchetts, a próba rozmowy w jego pokoju późnym wieczorem w poniedziałek zupełnie się nie powiodła. Poczula więc ulgę, gdy Eleanor zaofiarowała się, że pojedzie te cztery mile do Guessgate i przywiezie Patryka.

W tej chwili Bee dręczyła się myślą o rodzinnym spotkaniu przy stole. Jeśli Simon się nie zjawi, jak wyjaśnić jego nieobecność? A jeśli się zjawi, jak upłynie ten lunch?

Zamierzała zejść na dół na jeszcze jedną konferencję z kucharką - już trzecią zaangażowaną w tym roku - ale zatrzymała ją „podręczna”, Lana. Lana pochodziła ze wsi; miała złote włosy, lakierowane paznokcie, a na twarzy miejscową Wersję modnego właśnie makijażu. Zgodziła się do „obowiązku” tylko dlatego, że jej chłopak pracował w stajni. Może zamiatać i odkurzać, oznajmiła, gdy przyszła po raz pierwszy, bo „to uchodzi”, ale nie będzie podawała do stołu, nie jest „służącą”. Bee miała ochotę odpowiedzieć, że osoba z jej rękami, z jej oddechem, pocąca się i nieobyta, nie zostałaby nigdy dopuszczona do tego, żeby podać talerz któremuś z Ashbych, ale życie nauczyło ją rozwagi. Wyjaśniła, że o podawaniu do stołu nie ma w ogóle mowy. Rodzina Ashbych usługuje sobie zawsze sama.

Lana przyszła zameldować, że odkurzaczy „zwraca” zamiast

„połykać”, i w domowych kłopotach utonął domowy dramat. Wypłynął znowu na powierzchnię, kiedy Bee zobaczyła, że Eleanor wsiada do swego dwuosobowego woziku.

- Nie bierzesz samochodu? - spytała. „Samochód” był wehikułem rodzinnym, a nędzny pojazd Eleanor nazywano „pluskwą”.

- Nie. On musi przyjąć nas takimi, jacy jesteśmy - odrzekła.

Bee zauważyła, że Eleanor nie zadała sobie trudu, żeby się przebrać. Miała na sobie spodnie i getry, które nosiła od rana.

- Weź mnie ze sobą! Weź mnie! - wołała Ruth zbiegając ze schodów i rzucając się do samochodu, lecz uważając przy tym bardzo, jak dostrzegła Bee, żeby niebieska sukienka nie dotknęła zakurzonej „pluskwy”.

- Nie - odparła stanowczym tonem Eleanor.

- Jestem pewna, że on by się ucieszył, gdyby zobaczył mnie na stacji. To znaczy kogoś w moim wieku. Ciebie przecież zna. Nie sprawi mu tyle radości, kiedy zobaczy ciebie, co sprawiłoby mu, gdyby...

- Nie. I odsuń się, jeśli nie chcesz ubrudzić tej swojej olśniewającej toalety.

- Uważam, że to samolubstwo ze strony Eleanor - oświadczyła Ruth otrzepując ręce i śledząc wzrokiem niknący stopniowo w lipowej alei samochód. - Ona chce po prostu mieć całą przyjemność dla siebie.

- Nie mów głupstw. Ustaliliśmy przecież, że ty i Jane będziecie czekać w domu. A gdzie jest Jane?

- Myślę, że w stajni. Patryk jej nie interesuje.

- Mam nadzieję, że przyjdzie w odpowiednim czasie na lunch.

- O, na pewno. Może się nie interesować Patrykiem, ale zawsze interesuje się jedzeniem. Czy Simon będzie na lunchu?

- Mam nadzieję, że tak.

- Jak myślisz, co powie Patrykowi?

Gdyby spokój i szczęście panujące w Latchetts miały zostać zmaćnione i zmienić się w niesnaski, bliźniaczki muszą wyjechać do szkoły. I tak za rok, dwa, musiałyby zacząć naukę; lepiej

niech wyjadą teraz, zamiast żyć w atmosferze napięcia i nienawiści.

- Myślisz, że będzie jakaś scena? - spytała Ruth z nadzieją w głosie.

- Oczywiście, że nie, Ruth. Nie dramatyzuj, proszę cię.

Ale sama pragnęła móc liczyć na to, że żadnej sceny nie będzie.

Eleanor jadąc na stację też o tym marzyła. Była trochę zdenerwowana czekającym ją spotkaniem z tym nowym bratem i zła na siebie za to zdenerwowanie. Codzienny strój był jej protestem przeciwko własnemu podnieceniu, udawaniem, że nic ważnego się nie przydarzy.

Stacja Guessgate, obsługująca trzy wsie, ale żadnego miasta, była boczną stacyjką o dość znacznym ruchu towarowym, lecz niewielkim pasażerskim. Kiedy Brat wysiadł z wagonu, na peronie znajdowali się tylko: tęga wiejska kobieta, spocony tragarz, bileter i Eleanor.

- Witaj! — zawołała. — Jesteś bardzo podobny do Simona. - Podąa mu rękę. Zauważył, że jest nie umalowana. Jej nos pokrywały drobne piegi.

- Eleanor - powiedział.

- Tak. A gdzie twój bagaż? Mam mały wóz, ale w bagażniku jest sporo miejsca.

- Mam tylko to - odpowiedział wskazując torbę, którą trzymał w ręku.

- Reszta nadejdzie później?

- Nie, to wszystko, co posiadam.

- No, nie obrosłeś w pierze - uśmiechnęła się.

- Nie, nie obrosłem. - Poczł sympatię do niej.

- Samochód stoi przed stacją. Chodź tędy.

- Wyjeżdżał pan, panie Ashby? - spytał bileter odbierając od niego bilet.

- Tak, wyjeżdżałem.

Na dźwięk jego głosu zdumiony bileter podniósł wzrok.

- Wziął cię za Simona - powiedziała Eleanor, kiedy wsiadali do samochodu. Uśmiechnęła się, jak należało. Jej dwa przednie zęby zachodziły trochę na siebie, co nadawało

twarży miły dziecinny wyraz. Ale była to chłodna, stanowcza twarz, kiedy Eleanor się nie uśmiechała. - Nie mogłeś przyjechać do domu w piękniejszej porze roku - powiedziała, gdy przejechawszy z chrzęstem po wysypanym żwirem stacyjnym podjeździe znaleźli się na polnej drodze.

Dom, pomyślał. Jej włosy miały barwę zboża, tak dojrzałego, że prawie białego. Jasne, jedwabiste włosy, piękne, szesane do tyłu i zwinięte w węzeł, jakby nie chciała tracić czasu na inną fryzurę.

- Wszystko zaczyna właśnie kwitnąć. I są już pierwsze źrebięta.

Kolana w znoszonych welwetowych spodniach wyglądały chłopięco. Ale nagie ręce wynurzające się spod kurtki narzuconej na ramiona były delikatnie zaokrąglone.

- Pszczółka ma źrebiczkę, która przejdzie do historii. Zaczekaj, aż ją zobaczysz. Nie znasz naturalnie Pszczółki. Urodziła się, jak już ciebie nie było. Naprawdę nazywa się Grecka Pszczółka. Po Hymetusie i Delicji. Spodziewam się, że nasze konie ci się spodobają.

- I ja się tego spodziewam.

- Ciocia Bee mówi, że jeszcze się nimi interesujesz. To znaczy końmi.

- Nie zajmowałem się właściwie hodowlą. Ujeżdżałem konie robocze.

Dojechali do wsi.

A więc to jest Clare. Prawdziwa, miła, swojska rzeczywistość, znana dotychczas jako małe kwadraciki na mapie. To „Biały Jeleń”. A tamto „Dzwon”. A dalej na pagórku kościół, którego ściany pokrywają epitafia Ashbych.

- Ładna wieś, prawda? - spytała Eleanor. - Nie zmieniła się ani trochę, od kiedy ją pamiętam. Nie zmieniła się właściwie od wieków. Nazwiska właścicieli przy ulicy zachowały tę samą kolejność jak za czasów Ryszarda Drugiego. Ale ty to przecież wiesz! Wciąż myślę o tobie jak o gościu.

Za wsią, jak wiedział, jest duża brama prowadząca do Clare Park. Cekał, trochę ciekaw, jak wygląda wjazd do dawnego domu Aleka Lodinga. Okazało się, że jest to szeroka,

łukowata brama z kutego żelaza, z dwoma ogromnymi filarami po bokach, dźwigającymi na wierzchołkach lwę. Na jednym z lwów siedział okrakiem nieduży chłopiec ubrany w skórę lamparcią oblamowaną zielonym pasem, w dzieciennym wiaderku na głowie, imitującym hełm, i na oko nie mający na sobie nic więcej. Długi mosiężny pogrzebacz, oparty na nagiej stopie, imitował lancę.

- No, zobaczyłeś Clare - powiedziała Eleanor.

- Ten widok poprawił mi samopoczucie.

- Wiedziałaś, że jest tam teraz szkoła?

O mało nie powiedział „tak”, ale przypomniał sobie w porę, że to jedna z rzeczy, które wie od Lodinga, a nie taka, którą powinien wiedzieć.

- Jaka szkoła?

- Szkoła dla cwaniaków.

- Dla cwaniaków?

- Tak. Kto nie znosi pracy, a ma ojca na tyle bogatego, że pokryje opłaty, jedzie jak w dym do Clare. Nikogo się tu nie zmusza do żadnej nauki. Nawet do tabliczki mnożenia. Według głoszonej tam teorii człowiek poczuje pewnego dnia potrzebę posługiwania się tabliczką mnożenia i ogarnia go wtedy przemożna chęć nauczenia się jej. Oczywiście tak nie jest.

- Nie?

- Pewnie, że nie. Kto może wykręcić się od tabliczki mnożenia, nie będzie nigdy uczył się jej dobrowolnie.

- Jeśli się nie uczą, to co robią po całych dniach?

- Wyrażają w różny sposób swoją indywidualność. Rysują, albo lepią coś, albo bielą wozownię, albo przebierają się jak Antony Toselli. To on siedział na tym lwie. Niektórych ucze jeździć konno. Lubią konną jazdę. Myślę, że są tak znudzeni łatwymi rzeczami, że coś trochę trudniejszego po prostu ich fascynuje. Ale oczywiście musi to być coś niebanalnego. Gdyby to była trudność z rodzaju tych, które wszyscy pokonujemy, przestałoby ich to bawić. Sprowadziłoby ich to do pospolitego poziomu twojego czy mojego. Nie byłiby już „inni”.



- Miłe towarzystwo.

- W każdym razie bardzo korzystne finansowo dla Latchetts. A oto Latchetts.

Bratowi serce podeszło do gardła. Eleanor skrzyła wolno w białą bramę pośród lip.

Dobrze, że nie dodała gazu, bo ledwie wjechała w zielony tunel, zza drzew wyskoczyło coś, co przypominało ogromnego błękitnego motyla i zaczęło tańczyć w szaleńczym tempie przed samochodem.

Eleanor zahamowała z niewybrednym przekleństwem.

- Halo! Halo! - krzyczał motyl tańcząc po tej stronie samochodu, gdzie siedział Brat.

- Ty mała idiotko! - powiedziała Eleanor. - Zasługujesz na przejechanie. Nie wiesz, że kierowca nie widzi dobrze, wjeżdżając ze słońca w ciemną aleję?

- Halo! Halo! Patryk! To ja! Ruth! Dzień dobry! Przyszłam, żeby zajechać przed dom razem z tobą. Czy mogę ci usiąść na kolanach? Tu jest ciasno w tym okropnym starym gracie Eleanor, a ja nie chcę pognieść sukienki. Mam nadzieję, że ci się podoba. Włożyłam ją specjalnie na twój przyjazd. Jesteś bardzo przystojny. A czy ja wyglądam tak, jak się spodziewałeś?

Oczekiwała odpowiedzi na swoje pytanie, więc Brat powiedział, że nie myślał o tym

- O! - rzekła Ruth, zgaszona. - A my myśleliśmy o tobie - dodała z wyrzutem. - Całymi dniami nie mówiło się o niczym innym.

- No, gdybyś ty uciekła na długie lata, o tobie by też mówiono.

- Nie przyszłoby mi do głowy zrobić coś tak ekscentrycznego - odparła bezlitośnie Ruth.

- Skąd znasz takie słowo? - spytała Eleanor.

- Bardzo mi się podoba. Pani Peck go używa.

Brat czuł, że powinien w tym momencie spytać: „A propos, jak się mają Peckowie?”, ale nie miał teraz w głowie sztuczek. Czekał na chwilę, kiedy lipy zrzedną i zobaczy Latchetts. Na chwilę, kiedy stanie przed swoim bratem bliźniakiem.

- Simon jeszcze nie wrócił - usłyszał głos Ruth i dostrzegł, że zerknęła na Eleanor. To spojrzenie poruszyło go głębiej niż to, co usłyszał.

A więc Simon nie oczekuje go na progu. Simona nie ma i rodzina jest z tego powodu niespokojna.

Alec Loding odebrał mu złudzenia, że w Latchetts czeka go przyjęcie w feudalnym stylu, że cała służba ustawiona w szeregu w ścisłym hierarchicznym porządku, od kamerdynera do ostatniej podkuchennej, powita młodego pana w domu jego przodków. Te rzeczy, powiedział Loding, znikły razem z tiurniurami, zresztą w Latchetts nie było nigdy kamerdynera. Brat wiedział także, że nie czekają na niego tłumy krewnych. Ojciec dzieci, jedyny syn, miał tylko siostrę, ciotkę Bee, matka zaś dwóch braci, którzy w młodym wieku zginęli z rąk Niemców. Jedynym bliskim krewnym Ashbych był dziadek stryjeczny Charles, według informacji Lodinga, dojeżdżający w tej chwili do Singapuru.

Lecz Bratowi nie przyszło do głowy, że ci wszyscy z rodziny Ashbych, którzy są na miejscu, mogą go nie witać, że mogą być wśród nich odszczepieńcy. Zwiodło go łatwe przywitanie z Eleanor.

Z alei, która dopiero zaczynała się zielenić, samochód wjechał na szeroki podjazd. W oślepiającym słońcu stał spokojny, przyjazny, pewny swojej wartości dom w Latchetts. Front pierwszego budynku został w osiemnastym stuleciu zmieniony przez kogoś z Ashbych w celu dostosowania do tamtych czasów, tak że tylko szczytowy dach kryty dachówką mówił o jego wieku i genezie. Zbudowany u schyłku panowania królowej Elżbiety, miał teraz pełen wdzięku styl „z czasów królowej Anny”. Nie ozdobiony niczym, stał wśród zielonych trawników, dumny i niezależny; nie potrzebował ogrodu dla uwydatnienia swego piękna. Niewielki park wdzierał się zielenią nieomal do wnętrza dworu, wszelkie klomby były zbyteczne.

Kiedy Eleanor podjeżdżała pod dom, Brat zobaczył Beatrice Ashby wychodzącą na próg. Ogarnął go nagle strach i szalone pragnienie wyznania jej prawdy i wycofania się ze

wszystkiego. Zanim postawi nogę na progu, zanim znajdzie się „na scenie”. To będzie diabelnie trudna i krępująca rola, nie miał pojęcia, jak ją zagrać.

Z tej najtrudniejszej, kłopotliwej sytuacji wybawiła go Ruth. Zanim samochód stanął, ogłosiła krzykiem swój triumf, tak że przyjazd Brata ustąpił niejako na drugi plan.

- I wyszłam jednak na jego spotkanie, ciociu Bee! Wyszłam na jego spotkanie mimo wszystko! Przyjechałam od bramy razem z nimi! Nie gniewasz się, prawda? Doszłam tylko do bramy i tam zobaczyłam, że jadą, i zatrzymali się, i podwieźli mnie, i jesteśmy już tu, więc w końcu jednak wyszłam mu na spotkanie!

Wzięła Brata pod rękę i razem z nim wygramoliła się z samochodu, ciągnąc go za sobą, jakby był skarbem, który sama znalazła. Brat i Bee przywitali się więc, ignorując wspólnie to manifestacyjne zachowanie. Przez chwilę poczuli się zjednoczeni w pełnym politowania ubawieniu, a gdy ono minęło, minęła też i chwila.

Zanim atmosfera skrępowania powróciła, wydarzyło się coś nowego. Zza domu wyjechała na Baldachimie Jane, kierując się do stajni. Nagłe ściągnięcie cugli, kiedy spostrzegła grupę stojącą na ganku, dowodziło, że nie zamierzała uczestniczyć w powitaniu. Ale było już za późno, żeby zawrócić, nawet gdyby to było możliwe. Bo nie sposób było zawrócić Baldachima, jeśli się czymś zainteresował; nie miał wędzidła i odznaczał się nienasyconą ciekawością. Ociągając się więc Jane podjechała na bardzo zaciekawionym kucu. Gdy Baldachim się zatrzymał, zsunęła się grzecznie z jego grzbietu i stanęła onieśmielona w pozycji obronnej. Kiedy Bee przedstawiła ją, podała Bratowi małą wilgotną rączkę i zaraz ją cofnęła.

- Jak się nazywa twój kucyk? - spytał Brat, zdając sobie sprawę z jej niechęci.

- Baldachim - odpowiedziała Ruth, podchodząc do wierzchowca Jane. - Pastor nazywa go Końskim Autobusem.

Brat wyciągnął rękę do kuca, ale ten nie chciał podejść, cofnął się trochę i patrzył z pogardą znad swego lekko garbatego nosa; była to czysta parodia, wiktoriański gest

odmowy z wiktoriańskiego dramatu.

- Komik - powiedział Brat, a Bee, zachwycona jego spostrzegawczością, roześmiała się.

- On nie lubi ludzi - odezwała się Jane, broniąc swego przyjaciela.

Brat trzymał dalej rękę wyciągniętą i po chwili ciekawość zwyciężyła - Baldachim opuścił łeb do czekającej ręki. Brat nie rezygnował, aż kuc skapitulował całkowicie i wsunął mu nos w dłoń ze słoniową filuternością.

- O! - powiedziała przyglądając się temu Ruth. - On nigdy tak z nikim nie robi.

Brat popatrzył na małą napiętą twarzyczkę na wysokości swego łokcia, na brudne rączki zaciśnięte mocno na cuglach.

- Sądzę, że robi tak z Jane, kiedy są sami - powiedział.

- Jane, już czas umyć się przed lunchem - rzekła Bee i odwróciła się, wprowadzając ich do domu.

Brat przekroczył za nią próg.

## Rozdział XII

Umieściłam cię w dawnej sypialni dziecinnej - powiedziała Bee. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. Simon mieszka w pokoju, który dzielił z... który ty z nim zajmowałeś. - Boże, co za gafa, pomyślała. Czy potrafię kiedykolwiek myśleć o nim jako o Patryku? - Gdybym ci dała któryś z wolnych pokoi, to by znaczyło, że traktujemy cię jak gościa.

Brat odpowiedział, że z przyjemnością zamieszka w dawnym pokoju dziecinnym.

- Chcesz iść teraz na górę czy napijesz się najpierw czegoś?

- Pójdę na górę - odrzekł Brat i skierował się ku schodom.

Wiedział, że ona czeka na tę chwilę; czekana chwilę, w której on udowodni, że zna ten dom. Odwrócił się więc i poszedł na górę: na pierwszy szeroki podest, a stamtąd wąskim korytarzem do północnego skrzydła, gdzie mieściły się pokoje dziecinne o oknach wychodzących na zachód. Otworzył trzecie z czterech drzwi i stanął w pokoju, który Nora Ashby urządziła

dla swoich małych dzieci. Jedno okno wychodziło na zachód, na padoki, drugie na północ, na zielone pastwisko. Znajdowało się ono za domem, z dala od stajni i drogi. Brat stanął w oknie. Patrzył w spokojną, niebieskawą angielską dal i myślał o połyskujących w słońcu górach i o tumanach wirującego kurzu na Zachodzie, zdając sobie cały czas sprawę, że Bee stoi za nim.

Musi jednak wziąć inicjatywę w swoje ręce.

- Gdzie jest Simon? - zapytał odwracając się do niej.

- On tak jak Jane - odrzekła - spóźnia się na lunch. Ale zjawi się lada chwila.

Odpowiedź wypadła gładko, lecz spostrzegł, że spłoszyło ją to nieoczekiwane pytanie, jakby trzasnął jej nad głową z bata. Simon nie przyjechał po niego na stację, nie powitał go w Latchetts, można z tego wnioskować, że z Simonem będą trudności.

Zanim zdążył coś powiedzieć, zmieniła temat.

- Możesz sam korzystać z łazienki przy tym pokoju, ale nie szafuj znowu gorącą wodą, dobrze? Opał to u nas straszny problem. A teraz umyj się i zjedź zaraz na dół. Peckowie przysłali trochę sherry.

- Nie będą na lunchu?

- Nie. Przyjdą wieczorem na kolację. Lunch będzie tylko w rodzinnym gronie.

Patrzyła, jak skręcił w czwarte drzwi, prowadzące do łazienki w dzieciennym skrzydle, i odeszła z zadowoloną miną.

Wiedział, dlaczego jest zadowolona: bo pokazał, że zna rozkład domu, nie błędził. A on poczuł się winny i zawstydzony. Oszukiwać pana Sandała - w obecności tego doradcy królewskiego, siedzącego naprzeciwko i świdrującego człowieka cynicznym wzrokiem Irlandczyka - to inna sprawa. Oszukiwanie Sandała było zabawą. Ale oszukiwać Bee Ashby to zupełnie co innego.

Umył się z roztargnieniem. Mydląc ręce miał wzrok utkwiony w linię wzgórz. Oto trawa, po której pragnął jeździć konno, trawa, za którą sprzedał duszę. Już wkrótce dostanie konia i pojedzie tam, i będzie jeździć w spokoju, z dala od ludzi i tego dziwnego pokera, którego rozgrywa, i wszystko znów wyda

się słuszne i warte życia.

Gdy wrócił do swego pokoju, zastał tam blondynkę o wyzywającym wyrazie twarzy, w obcisłej kwiecistej sukience ze sztucznego jedwabiu, skubiącą laki w wazonie na parapecie.

- Halo! - powiedziała. - Witam pana w domu.

- Dziękuję - odrzekł Brat. Czy to ktoś, kogo powinien znać? Na pewno nie.

- Jest pan bardzo podobny do brata.

- Przypuszczam. - Położył na toaletce szczotki, które trzymał w ręku; symboliczny gest brania w posiadanie.

- Pan mnie naturalnie nie zna. Jestem Lana Adams ze wsi. Stolarz Adams to był mój dziadek. Zgodziłam się tutaj, bo mój chłopiec pracuje w stajni.

A więc to służąca. Popatrzył na nią i pożałował tego jej chłopca.

- Wygląda pan na trochę starszego od swego brata. To pewnie dlatego, że pan tyle wędrował po świecie musiał radzić sobie sam, i tak dalej. Nie jest pan taki zepsuty jak brat. Proszę wybaczyć, że tak mówię, ale on jest zepsuty. Dlatego urządzał takie awantury z powodu pana powrotu. Uważam, że to głupie. Wystarczy spojrzeć i wiadomo, że jest pan jednym z Ashbych. Nie ma sensu temu zaprzeczać. Ale niech pan posłucha mojej rady i nie ustępuje. On nie znosi sprzeciwu. Wszystko jest zawsze tak, jak on chce. Niech się pan nie da.

Brat rozpakowywał się dalej bez słowa, więc umilkła; zanim zdążyła podjąć swoje wywody, na progu zabrzmiał chłodny głos Eleanor:

- Czy masz wszystko, co ci potrzeba?

Blondynka powiedziała pospiesznie:

- Przywitałam właśnie pana Patryka - i rzuciwszy Bratowi promienny uśmiech wyszła z pokoju kołysząc biodrami.

Brat zastanawiał się, ile usłyszała Eleanor.

- To ładny pokój - powiedziała - tylko nie dochodzi tu poranne słońce. To łóżko jest z Clare Park. Ciocia Bee sprzedała dziecinne łóżeczka i kupiła to na wyprzedaży w

Clare. Ładne, prawda? Stało kiedyś w pokoju Aleka Ledinghama. Poza tym łóżkiem ten pokój nic się nie zmienił.

- Tak, widzę nawet te same stare tapety.

- Robinson Kruzoe i inni. Czulałam słabość do Herewarda. Miał taki cudowny profil. - Wskazała Herewarda na tapecie, której wzór wybrany przez Norę z myślą o tym, by każdego wieczoru sprawić dzieciom przyjemność, przedstawiał bohaterów powieściowych.

- Czy tapeta z dziecinnymi wierszykami jest wciąż w pokoju obok?

- Tak, oczywiście. Chodź zobacz.

Poszedł za nią, ale gdy Eleanor opowiadała szczegółowo historie przedstawione na obrazkach, myśli jego zajęte były tym, co powiedziała mu wiejska dziewczyna o Simonie, i pełnym ironii losu faktem, że będzie spał w łóżku Aleka Lodginga.

A więc Simon nie uwierzył, że on jest Patrykiem. „Nie ma sensu temu zaprzeczać...” To mogło tylko znaczyć, że Simon mimo wszystkich dowodów nie chce przyjąć go jako brata.

Dlaczego?

Wciąż zastanawiając się nad tym, zszedł za Eleanor na dół.

Wprowadziła go do dużego słonecznego salonu, gdzie Bee rozlewała do szklaneczek sherry, a Ruth wystukiwała jakąś melodię na fortepianie.

- Chciałbyś posłuchać, jak gram? - spytała oczywiście od razu.

- Nie, nie chciałby - odpowiedziała Eleanor. - Oglądaliśmy stare tapety - zwróciła się do Bee. - Już zapomniałam, jak bardzo kochałam się w Herewardzie. Dobrze, że rozdzielono nas w porę, bo mogłabym zbzikować na jego punkcie.

- Ja nigdy nie lubiłam tych dziecinnych obrazków na ścianach - oświadczyła Ruth.

- Ty nigdy nie czytałaś, więc nie mogłaś nic o nich wiedzieć - odparła Eleanor.

- Przestaliśmy korzystać z dziecinnego skrzydła, kiedy bliźniaczki nie potrzebowały już niani - powiedziała Bee. - Było zbyt oddalone od reszty domu.

- Szło się bez końca, żeby zawołać je na śniadanie - wyjaśniała Eleanor - a ponieważ Ruth trzeba było zawsze budzić po parę razy, musieliśmy przenieść je, żeby były w zasięgu ręki.

- Osoby delikatne potrzebują więcej snu - oświadczyła Ruth.

- Od kiedy jesteś taka delikatna? - spytała Eleanor.

- Nie chodzi o to, że ja jestem delikatna, tylko Jane jest mocniejsza, prawda, Jane? - spytała zwracając się do siostry, która właśnie wsunęła się do pokoju; jej włosy były jeszcze na skroniach mokre po pospiesznych ablucjach.

Ale Jane patrzyła na Bee.

- Simon wrócił - powiedziała cicho i stanęła obok ciotki, jakby czuła się przy niej bezpieczniej.

Na moment zaległa zupełna cisza. Wszyscy niemal wstrzymali oddech, usiadła tylko Ruth, podniecona oczekiwaniem.

A potem ręka Bee zaczęła poruszać się znowu, napełniając szklaneczki.

- To bardzo dobrze - powiedziała. - Nie potrzebujemy opóźniać lunchu.

Zostało to załatwione tak wspaniale, że Brat miał ochotę bić brawo.

- Gdzie jest Simon? - spytała obojętnym tonem Eleanor.

- Schodził na dół - odrzekła Jane i znów spojrzała na Bee.

Drzwi otworzyły się i wszedł Simon Ashby.

Przystanął na chwilę, zanim je zamknął za sobą, patrząc z daleka na Brata.

- A więc przyjechałeś - powiedział.

Słowa te wyrzekł bez specjalnego nacisku i bez widocznego wzruszenia.

Przeszedł wolno przez pokój i stanął naprzeciwko Brata przy oknie. Miał wyjątkowo jasne szare oczy z Ciemniejszą obwódką wokół tęczówek, ale były one bez wyrazu, podobnie jak blada twarz - tak mocno był w tej chwili napięty. Brat pomyślał, że gdyby go dotknął palcem, zabręczałby jak struna.

1 nagle napięcie znikło.



Simon przez chwilę wpatrywał się w twarz Brata, dziwnie odprężony.

- Nie powiedzą ci tego - rzekł przeciągając nieco słowa - ale byłem gotów zaprzeczać do ostatniego tchu, że nie jesteś Patrykiem. Teraz, gdy cię zobaczyłem, cofam wszystko, co mówiłem. Oczywiście', że jesteś Patrykiem. - Wyciągnął rękę. - Witaj w domu.

Cisza za ich plecami zmieniała się w podniecony gwar. Wymieniano gratulacje, brzęczały kieliszki i rozbrzmiewał śmiech. Nawet Ruth ukryła chyba swoje rozczarowanie z powodu tego, że nie uczestniczyła w melodramacie, i ukradkiem dołała do swojej szklanceczki większą porcję sherry niż „łyżek” dozwolony bliźniaczkom z okazji jakiegoś toastu.

Lecz Brat, pijąc złocisty trunek i dziękując niebu za to, że najgorszy moment minął, był zaintrygowany.

Dlaczego Simonowi tak ulżyło? - myślał.

Czego się spodziewał? Czego się obawiał?

Odrzucał możliwość, żeby Brat był Patrykiem. Czy była to tylko obrona przed nadzieją; asekuracja przed kompletnym rozczarowaniem? Czy powiedział sobie; Nie uwierzę, że Patryk żyje, i w ten sposób, gdy zostanie udowodnione, że żyje, nie będę się już niczego spodziewał? Czy ta ogromna ulga, jaką przed chwilą dostrzegł na jego twarzy, była jedynie wynikiem uświadomienia sobie, że on mimo wszystko jest Patrykiem?

Coś tu nie pasowało.

Patrzył na Simona, który był duszą towarzystwa, i zastanawiał się. Przed chwilą Ashby oczekiwał czegoś w nerwowym napięciu, a teraz chyba się odprężył. Tak, właśnie tak. Była to reakcja kogoś, kto przygotowany na najgorsze doznał nagle ulgi.

Dlaczego doznał ulgi?

Ta zagadka dręczyła go przez cały lunch, nawet wtedy, gdy brał żywy udział w rozmowie Ashbych i odpowiadał na mnóstwo ich pytań.

„Udało ci się! - triumfował głos wewnętrzny. Udało ci się! Siedzisz jako pełnoprawny członek rodziny Ashbych przy ich stole, a oni szaleją z radości”.

No, może nie wszyscy. Jane, lojalna wobec Simona, tworzyła małą oazę milczenia wśród ożywionej rozmowy. I nie można się było spodziewać, że Simon, mimo swej kapitulacji, okaże jakiś entuzjazm. Ale Bee, zupełnie bezkrytyczna wobec tej kapitulacji, promieniała; Eleanor z każdą chwilą miękła coraz bardziej, zwykła uprzejmość zmieniała się u niej w szczerze zainteresowanie.

- Uzda u Komanczów to rodzaj pętli, prawda?

- Nie, po prostu rodzaj knebla. Sznur umieszczony w końskim pysku w miejscu wędzidla. To najlepsza metoda kierowania koniem. Robi, co mu się każe, żeby zmniejszyć ucisk.

Ruth, darując Bratowi zupełnie brak zainteresowania własną osobą, kokietowała go cały czas; ona jedna mówiła do niego „Patryku”.

Uwidocznilo się to jeszcze bardziej w czasie posiłku, a jej nieustanne okrzyki: „Patryk!” dla zwrócenia jego uwagi kontrastowały z na pół świadomym unikaniem przez innych zwracania się do niego po imieniu. Brat wołałby, żeby jego „adoratorką” okazała się Jane, nie Ruth. Gdyby miał kiedykolwiek małą siostrzyczkę, chciałby, żeby była taka jak Jane. Irytowało go, że unikała jego wzroku. Równie trudno było patrzeć spokojnie w oczy Jane, jak spoglądać w oczy postaci z portretu za jej plecami. Ściany jadalni były dosłownie wytapetowane portretami, a ten, który wisiał za Jane, przedstawiał Williama Ashby VII w mundurze wojaków westoverskich, w którym zamierzał odpierać inwazję Napoleona I. Brat wyuczył się tych portretów na pamięć, siedząc pod pagodą w Kew Gardens, i ilekroć podnosił wzrok na Williama Ashby VII, dręczyła go zabawna myśl, że William wie wszystko o tej pagodzie.

W tym pierwszym trudnym spotkaniu z rodziną Ashbych jedna rzecz mu ogromnie jednak pomogła. To, co miał opowiedzieć, jak tłumaczył mu Loding podczas lunchu w barze, było z wyjątkiem początku prawdą; prawdziwą historią jego życia. A ponieważ cała rodzina unikała zgodnie wszelkiej wzmianki o wydarzeniach wcześniejszych, teren, po którym się

poruszał, był bezpieczny. Nie miał potrzeby manewrować czy zbaczać z tematu.

Nie potrzebował też „zważać na swoje maniery”; za to również Alec Loding dziękował głośno losowi. Okazało się, że w braku pierwszorzędnej wymagającej niani nie mniej surowo uczył zachowania przy stole pierwszorzędny sierociniec. „Mój Boże – powiedział Loding - jeśli zostanie mi kiedyś parę drobnych po jakiejś popijawie, pošlę je do tego twojego karawanseraju na znak wdzięczności, że nie wychowałeś się na jakimś przedmieściu pełnym pretensjonalnych ludzi i ich nawyków. Pretensjonalność jest praktycznie nie do wykorzenia, mój chłopcze. I na przykład Ashby nigdy by przy picu nie odstawiał małego palca”.

Brat nie miał więc żadnych towarzyskich nawyków, których musiałby się oduczać. Co prawda jego ortodoksyjność rozczarowała nieco Ruth, zawsze żądną rzeczy ekstrawaganckich.

- Nie jesz widelcem? - powiedziała. A gdy spojrzał zdziwiony, dodała: - Jak na filmach amerykańskich. Krają wszystko nożem i widelcem, a potem przekładają widelec do drugiej ręki i jedzą nim.

- Nie żuję też gumy - zwrócił jej uwagę.

- Ciekawe, jak doszli do tak wyszukanego sposobu jedzenia - zastanawiała się Bee.

- Może z początku mieli mało noży - podsunęła Eleanor.

- Noże były zbyt potrzebne, żeby ich było mało w społeczności pionierów - powiedział Simon. - Bardziej prawdopodobne, że tak długo żywili się siekaniną, że gdy dostają na talerz mięso w kawałkach, odruchowo robią z niego siekaninę.

Słuchając ich Brat myślał, jak bardzo angielskie jest to wszystko. Siedzi tu zmartwychwstały nieboszczyk, a oni spokojnie dyskutują o amerykańskich manierach przy stole. Nie było żadnego klepania po plecach ani natarcywych gratulacji w związku z sytuacją, co na pewno miałoby miejsce w Stanach. Unikali tematów nawiązujących do wspomnień tak zdecydowanie, jak Amerykanie nurzaliby się w nich.

Wspominając swoich dawnych kolegów z pracy myślał, jaki to byłby piękny pokaz angielskiego chłodu z punktu widzenia Pete'a, Hanka i Lefty'ego.

Ale radość na twarzy Bee wywarłaby może wrażenie nawet na Leftym.

- Palisz? - spytała Bee, kiedy naląła kawę, i podsunęła mu papierosnicę. Lecz Brat, który palił tylko określony rodzaj papierosów, wyciągnął ku niej własną.

- Ja przestałam palić-powiedziała Bee. - Mam za to konto w banku.

Brat poczęstował Eleanor.

Eleanor dotykając już prawie papierosów zatrzymała rękę w pół gestu i pochyliła się do przodu, by odczytać napis wyryty na papierosnicy.

- Brat Farrar - powiedziała. - Kto to jest?

- Ja - odpowiedział Brat.

- Ty? No, tak, Farrar, oczywiście. Ale dlaczego Brat?

- Nie wiem.

- Czy tak cię nazywano?

- Tak.

- Dlaczego Brat?

- Nie wiem. Pewnie dlatego, że byłem mały.

- Brat! - powtórzyła z zachwytem Ruth. - Czy pozwolisz, że cię tak będę nazywała? Pozwolisz?

- Oczywiście. Nie nazywano mnie inaczej przez większą część życia.

W otwartych drzwiach stanęła Lana i powiedziała, że przyjechał jakiś młody człowiek do panny Ashby i że poprosiła go do biblioteki.

- Ojej! - zniecierpliwiła się Bee. - Nie wiesz, czego on chce?

- Mówi, że jest reporterem - odrzekła Lana - ale nie wygląda na reportera. Jest schludny, czysty i grzeczny. - Doświadczenie Lany na temat prasy, tak jak znajomość życia klasy średniej u Brata, opierały się wyłącznie na filmach.

- O nie! - zawołała Bee. - Nie chcę dziennikarzy! Jeszcze nie!

- On mówi, że jest z „Westover Times”.

- Czy powiedział, po co przyjechał?

- Oczywiście z powodu pana Patryka - odrzekła Lana wskazując Patryka dużym palcem.

- O Boże! - mruknął Simon - jeszcze nie zdążyliśmy zjeść tłustego cielca. Ale musiało to prędzej czy później nastąpić.

Bee dopiła kawę.

- Chodź, Brat - powiedziała wyciągając do niego rękę. - Musimy tak czy siak to załatwić. Ty, Simon, chodź także.

Wyprowadziła Brata z pokoju ze śmiechem, trzymając go za rękę. Ciepły, przyjemny uścisk jej dłoni wywołał w nim przypływ wzruszenia, którego nie potrafiłby wyjaśnić. Czegoś takiego jeszcze w życiu nie zaznał. Zbyt pochłaniały go jednak myśli o reporterze, aby mógł teraz analizować swoje doznania.

Biblioteka, znajdująca się w głębi domu, była ciemnym pokojem, gdzie Bee miała swoje biurko z żaluzjowym zamknięciem, książki rachunkowe i segregatory. Niski młodzieniec w granatowym schludnym ubraniu przeglądał z zainteresowaniem księgę stadną. Gdy weszli, odłożył ją i spytał z silnym akcentem typowym dla Glasgow:

- Panna Ashby? Nazywam się Macallan. Pracuję w redakcji „Westover Times”. Ogromnie przepraszam za mój najazd, ale sądziłem, że o tej porze skończyli już państwo posiłek.

- Zaczęliśmy jeść późno i zasiedzieliśmy się przy stole - odrzekła Bee.

- Aha - mruknął ze zrozumieniem Macallan. - Okazja istotnie niezwykła. Nie mam prawa psuć państwu tych chwil, ale moim mottem jest: „Pierwszy z ostatnią wiadomością”. A w danej chwili ostatnią wiadomością jest właśnie ta.

- Przypuszczam, że ma pan na myśli powrót mego bratanka.

- Tak właśnie.

- A w jaki sposób pan się o tym dowiedział?

- Jeden z moich pomocników usłyszał tę wiadomość w którejś z knajp w Clare.

- Okropne słowo - powiedziała Bee.

- Knajpa? - zdziwił się Macallan.

- Nie. Pomagier.

- No to jeden z moich pomocników, jeśli to słowo bardziej

się pani podoba - odrzekł uprzejmie Macallan. - Czy mogę zapytać, który z młodych dżentelmenów jest odzyskanym synem marnotrawnym?

Bee przedstawiła Brata i Simona. Na twarzy Simona odmalowały się chłód i napięcie. Ale Brat, który był obecny, gdy Nat Zuzzo podciął sobie gardło w kuchni jadłodajni swojej byłej żony, i obserwował działalność prasy amerykańskiej z tej okazji, był zachwycony możliwością obejrzenia, jak się te rzeczy załatwia w Wielkiej Brytanii. Odpowiedział na nieuniknione pytania pana Macallana i zastanawiał się, czy zacznie też mówić o fotografii. Jeśli tak, trzeba będzie jakoś z tego wybrnąć.

Wybawiła go Bee. Żadnych zdjęć, orzekła. Nie, stanowczo żadnych zdjęć. Wszelkie informacje owszem, ale żadnych zdjęć.

Pan Macallan przystał na to, acz niechętnie.

- Historia syna marnotrawnego będzie o połowę mniej atrakcyjna bez zdjęć - ubolewał.

- Nie zatytułuje jej pan chyba „Syn marnotrawny”? - zauważyła Bee.

- Nie. Tytuł będzie brzmiał: „Powrót z grobu” - odezwał się po raz pierwszy Simon. Te wycedzone przez niego chłodnym tonem słowa padły jak cień.

Pan Macallan patrzył na niego przez chwilę uważnie swymi bładniebieskimi oczami, a potem zwrócił się znów do Bee.

- Myślałem o tytule „Sensacja w Clare” - powiedział - wątpię jednak, czy „Westover Times” się na to zgodzi. To bardzo konserwatywne pismo. Ale spodziewam się, że w redakcji „Daily Clarion” lepiej mi się powiedzie.

- „Clarion” - powtórzyła Bee. - Gazeta londyńska! Ależ... ależ, nie ma o tym mowy. To całkowicie miejscowa... całkowicie rodzinna sprawa.

- Taka była też sprawa na Hilldrop Crescent - odrzekł Macallan.

- Jaka sprawa?

- Crippenów. Cała prasa na świecie pełna jest spraw rodzinnych, proszę pani.

- Ale to nie może interesować nikogo poza nami. Kiedy mój bratanek zaginął przed ośmiu laty, „Westover Times”

wspomniał o tym zupełnie marginesowo.

- Tak, wiem. Czytałem. Krótka notatka na trzeciej stronie u dołu.

- Nie rozumiem, dlaczego powrót mego bratanka ma być bardziej interesujący od jego zaginięcia.

- Jest to sprawa sensacyjna. Ludzie umierają codziennie, ale liczba tych, którzy powracają z grobu, jest bardzo niewielka, proszę pani. Zmartwychwstanie, mimo postępów współczesnej nauki, jest wciąż sensacją.

I dlatego „Daily Clarion” będzie tym zainteresowany.

- Ale w jaki sposób dowie się o tym?

- W jaki sposób się dowie! - powtórzył Macallan, szczerze zdumiony. - Czy pani nie rozumie, że to jest moja „bomba”?

- To znaczy, że pan ma zamiar przekazać tę historię do redakcji „Clariona”?

- Oczywiście.

- Nie powinien pan tego robić. Naprawdę nie powinien pan.

- Proszę posłuchać-wyjaśniał cierpliwie Macallan-zgodziłem się z tym, że państwo nie życzą sobie publikowania zdjęć, i uszanuję tę umowę. Nie będę się podkradał i krążył w okolicy, żeby sfotografować niepostrzeżenie młodych dżentelmenów czy coś podobnego, ale nie może pani żądać, żebym zrezygnował z takiej okazji. Z „bomby” na miarę codziennej prasy londyńskiej. - A kiedy Bee, zmagająca się z wrodzonym poczuciem sprawiedliwości, wahała się jeszcze, dodał:

- Jeśli nawet nie pošlę im tej historii, nic nie powstrzyma zastępcy redaktora naczelnego przed powtórzeniem jej za „Westover Times” na pierwszej stronie ich pisma. Nie wyszłaby pani na tym ani trochę lepiej, a ja straciłbym korzystną okazję.

- Boże - westchnęła Bee, przyznając w duchu, że Macallan ma rację. - Oznacza to pewnie najazd dziennikarzy z Londynu.

- Nie. Tylko z „Clariona”. Jeśli to będzie „Clarion”, nikt się nie ośmieli wtrącać. Nie ma się pani o co martwić. Obojętne, kogo tu przyślą.

Pan Macallan rozejrzył się za swoim kapeluszem i zaczął się szyczkować do odejścia.

- Jestem pani bardzo wdzięczny i panu także, panie Ashby, za tak uprzejme udzielenie mi informacji. Nie będę już państwu zajmował dłużej czasu. Pozwolę sobie jeszcze pogratulować w tym szczęśliwym momencie - przez sekundę blade oczy spoczęły z wyrazem łagodnej życzliwości na Simonie - i podziękować za uprzejmość.

- Jest pan daleko od własnego kraju, prawda? - spytała zdawkowo Bee, idąc z nim do drzwi frontowych.

- Kraju?

- Od Szkocji.

- Rozumiem. Skąd pani wiedziała, że jestem Szkotem? Z nazwiska oczywiście. O, do Glasgow stąd daleko. Ale i do Londynu nie blisko. Jeśli mam współpracować z londyńską gazetą, dobrze jest wiedzieć coś o... o...

- Autochtonach? - podsunęła Bee.

- Chciałem powiedzieć: o warunkach miejscowych - oświadczył uroczyście Macallan.

- Nie ma pan samochodu? - spytała Bee patrząc na pusty podjazd przed domem.

- Zaparkowałem go przed bramą. Nigdy nie podjeżdżam pod cudze domy, jak do siebie.

Okazawszy tak zadziwiającą skromność, niski człowieczek uklonił się, włożył kapelusz i odszedł.

## Rozdział XIII

Gdy głosy Bee i Macallana cichły stopniowo w hallu i na dworze, w bibliotece panowało milczenie. Brat, niepewny charakteru tego milczenia, odwrócił się i zaczął przeglądać książki na półkach.

- No - odezwał się Simon siedzący pod oknem - następne niebezpieczeństwo szczęśliwie zażegnane.

Brat milczał próbując zanalizować znaczenie słów wiszących jeszcze w powietrzu.



- Niebezpieczeństwo? - spytał w końcu.

- Przeszkody i skomplikowane sytuacje w trudnej sprawie powrotu. To wszystko musi kosztować sporo nerwów. Co cię do tego skłoniło, Brat? Tęsknota za domem?

Było to pierwsze szczerze pytanie, które mu zadał Simon, i nagle Brat poczuł do niego sympatię.

- Niezupełnie. Zdałem sobie sprawę, że w końcu moje miejsce jest tutaj. - Poczul, że słowa te zabrzmiały obłudnie, więc dodał: - Mam na myśli moje miejsce na świecie.

Zaległo znowu milczenie. Brat dalej przeglądał książki i miał w duchu nadzieję, że nie polubi jednak młodego Ashby'ego. Byłaby to nieprzewidziana komplikacja. Dość przykre było już to, że nie mógł patrzeć śmiało w oczy człowiekowi, którego miejsce miał zająć, znajdując się z nim teraz sam na sam w pokoju. A gdyby stwierdził, że go polubił, sytuacja stałaby się nie do zniesienia.

Milczenie przerwała Bee.

- Wydaje mi się, że powinniśmy byli poczęstować drinkiem tego biedaka - powiedziała Bee wchodząc. - No, ale już za późno. Może któryś z jego „pomagierów” postawi mu coś „Pod Białym Jeleniem”.

- Chyba w „Dzwonie” - powiedział Simon.

- Dlaczego w „Dzwonie”?

- Nasza Lana woli chodzić tam niż „Pod białego Jelenia”.

- Ach, tak. Im prędzej wszyscy się dowiedzą, tym prędzej minie podniecenie. - Uśmiechnęła się do Brata, żeby nie wyczuł docinka w tych słowach. - Chodźmy teraz obejrzyć konie, dobrze? Czy masz jakiś strój do konnej jazdy, Brat?

- Nic takiego, co można by uznać w Latchetts za strój do konnej jazdy - odrzekł Brat spostrzegając, z jaką wdzięcznością skorzystała z okazji, żeby nie nazywać go Patrykiem.

- Chodź ze mną - powiedział Simon. - Znajdę coś dla ciebie.

- Dobrze - rzekła Bee, wyraźnie z niego zadowolona. - Zawołam Eleanor.

- Cieszysz się, że umieszczono cię w dawnym pokoju dzieciennym? - zapytał Simon wyprzedzając Brata na

schodach.

- Bardzo.

- Zauważyłeś chyba, że są tam te same stare tapety.

- Tak.

- Pamiętasz wieczór, kiedy biliśmy się jako Ivanhoe i Hereward?

- Nie, tego nie pamiętam.

- Nie pamiętasz. No, oczywiście, możesz nie pamiętać.

Znowu słowa te zawisły w ciszy, ich ton drażnił Brata.

Wszedł za młodym Ashbym do pokoju, w którym Simon mieszkał kiedyś ze swoim bratem, i zauważył, że nie ma tam żadnego śladu, wskazującego na to, że dzielił go z kimś innym. Odwrotnie, był to pokój wyłącznie Simona:umeblowany jego rzeczami w ten sposób, że stanowił równocześnie sypialnię i salon. Półki z książkami, rzędy srebrnych pucharów, oprawione szkice koni na ścianach, klubowe fotele i małe biurko z telefonem.

Brat podszedł do okna, a Simon tymczasem przetrząsał swoje ubrania. Brat wiedział, że okno wychodzi na stajnie, ale zielony żywopłot z bzu i szczodrzeńca zasłaniał te budynki. Ponad nimi w niewielkiej odległości wznosiła się wieża kościelna w Clare. Przypuszczał, że w niedzielę zostanie tam zawieszony na mszę. Następne niebezpieczeństwo. Dziwne słowo wybrał młody Ashby - niebezpieczeństwo.

Simon wynurzył się z szafy ze spodniami i tweedową marynarką.

- Sądzę, że to powinno pasować - powiedział rzucając rzeczy na łóżko. - Poszukam jeszcze koszuli.

Otworzył szufladę komody, na której znajdowało się lustro i przybory toaletowe. Komoda stała pod oknem i Brat, czując się wciąż nieswojo w towarzystwie Ashby'ego, podszedł do kominka i zaczął oglądać srebrne puchary na półce nad kominkiem. Były to różne nagrody jeździeckie: od lokalnego biegu przez płoty do „Olimpii”. Wszystkie trofea prócz jednego pochodziły z czasów zbyt późnych, aby Patryk Ashby mógł o nich wiedzieć; wyjątek stanowił skromny puchar, który Simon otrzymał jako zwycięzca na Pasjansie w konku-

rencji małoletnich skoczków w czasie wystawy rolniczej w Bures na rok przedtem, nim Patryk Ashby popełnił samobójstwo.

Simon odwrócił się i widząc pucharek w ręku Brata, uśmiechnął się i powiedział:

- Odebrałem ci to, o ile pamiętasz.

- Mnie? - spytał Brat nie przygotowany na tę wiadomość.

- Byłbyś wygrał na Starym Harrym, gdybym ci tego nie udaremnił w drugim biegu.

- Tak - odrzekł Brat i żeby zmienić temat dodał: - Od tej pory wiodło ci się dobrze.

- Nieźle - odpowiedział Simon i znów zajął się szufladą z koszulami. - Ale mam zamiar pojechać jeszcze o wiele lepiej. Z Ballsbridge przez wszystkie przeszkody do „Olimpii”.

Zostało to powiedziane lekkim, lecz pewnym tonem; jakby pieniądze na kupno dobrych koni nie były żadnym problemem. Brat zdziwił się trochę, ale czuł, że to nieodpowiednia chwila do dyskusji o finansach.

- Czy pamiętasz, co wisało w nogach twojego łóżka? - spytał obojętnie Simon zamykając szufladę.

- Małego konika? Tak, oczywiście. Parodia - wymienił nazwę konia i dorzucił imiona rodziców: - Po Dębinie i Irlandzkim Chłopku.

Odwrócił się od eksponatów na kominku chcąc wziąć ubranie, które wyszukał dla niego Simon, ale w tym momencie zobaczył w lustrze jego twarz, na której malował się szok, i zawahał się. Simon chciał właśnie zamknąć szufladę, lecz nie dokończył tej czynności. Przypominało to reakcję człowieka, który nagle usłyszał telefon i mimo woli przerwał na chwilę wykonywaną czynność.

Simon odwrócił się powoli; koszula zwisała mu z lewej ręki.

- Myślę, że to będzie na ciebie dobre. - Wziął koszulę w prawą rękę i podał ją Bratowi, nie spuszczając z niego wzroku. Nie było już na jego twarzy śladu szoku, wydawała się bez wyrazu, jakby myślał o czymś innym. Jakby coś sobie obliczał.

Wziął koszulę, zebrał resztę rzeczy, podziękował i ruszył ku

drzwiom.

- Zejdź ńa dół, jak będziesz gotów - powiedział Simon patrząc na niego wciąż wzrokiem pozbawionym wyrazu. - ńędziemy na ciebie czekali.

Brat, idąc do swego pokoju w przeciwległym skrzydle, też był na swój sposób wstrząśnięty. Ashby nie spodziewał się, że on będzie to wiedział. Był tak pewny, że Brat nie zna tej zabawki, że zaniemówił.

A co to znaczyło?

Mogło znaczyć tylko jedno.

To znaczyło, że młody Ashby ani przez chwilę nie uwierzył, że on jest Patrykiem.

Brat zamknął za sobą drzwi dawnej dziecinnej sypialni. Stańał oparty o nie, a ubranie zsuwało mu się z wolna na podłogę z opuszczonego ramienia.

Simon nie dał się oszukać. Wzruszająca scenka nad szklaneczkami sherry była tylko grą.

To odkrycie wstrząsnęło nim.

Dlaczego wobec tego Simon udaje?

Dlaczego nie powiedział od razu: „Nie jesteń Patrykiem. Nic nie skłoni mnie do tego, żebym w to uwierzył.”

Tak pewnie było z początku, o ile mógł się zorientować z informacji Lany i atmosfery rodzinnej. Aż do ostatniej chwili nie byli pewni, jak zachowa się Simon po przyjeździe Brata. I sprawił im wszystkim radość swoją szczerą i uroczą kapitulacją.

Skąd ta dobrowolna kapitulacja?

Czy to... czy to jakań pułapka? Czy miłe przywitanie to trawa i zielone lińcie zakrywające dół, który przygotował?

Ale przecież nie mógł wiedzieć przed tym spotkaniem, przed tym, nim stanęli twarzą w twarz, że Brat nie jest Patrykiem. Najwidoczniej stwierdził od razu, że człowiek, na którego patrzy, nie jest jego bratem. Dlaczego więc...

Brat schylił się, żeby podnieść rzeczy z podłogi, a potem nagle się wyprostował. Coś sobie przypomniał. Przypomniał sobie ten dziwny wyraz ulgi na twarzy Simona w chwili, gdy mu się przyjrzał. Wyraz odprężenia, ustąpienia napięcia...

Tak, to było to!

Simon obawiał się, że to może być Patryk.

Kiedy przekonał się, że stoi naprzeciwko oszusta, z trudem powstrzymał się, żeby go nie uściskać.

Ale to dalej nie wyjaśniało kapitulacji.

Może to tylko odroczenie, konfrontacja partnerów. Może planuje on bardziej dramatyczne denouement<sup>3</sup>, publiczną kompromitację.

Jeśli tak jest, myślał Brat, to on ma w zapasie parę niespodzianek dla młodego Ashby'ego. Im więcej o nich myślał, tym czuł się pewniejszy. Przebierając się w strój do konnej jazdy, przypomniał sobie z pewną przyjemnością zmienioną twarz w lustrze. Simon nie wiedział, że on, Brat, przeszedł już przez rodzinne próby. Nie był obecny przy tym, gdy sprawdzano, czy zna rozkład domu; i nie było okazji, żeby mu ktoś o tym powiedział. Wiedział tylko tyle, że Brat wobec prawników udowodnił swoją tożsamość. Patrząc na niego, jawnego oszusta, cieszył się już zapewne ze złośliwą przyjemnością z tego, że go przyłapie.

Tak, młody pan Ashby był gotów zdemaskować oszusta.

Pierwszą taką próbą była bójka Ivanhoe z Herewardem. O tym mógł wiedzieć tylko Patryk. Lecz mógł także łatwo zapomnieć.

Drewniany konik był znany tylko Patrykowi, który w żadnych okolicznościach nie mógł o nim zapomnieć.

A Brat wiedział o koniku.

Nic dziwnego, że Ashby był wstrząśnięty. Wstrząśnięty i zdezorietowany. Nic dziwnego, że wyglądał, jakby coś obliczał.

Brat pomyślał serdecznie o swoim nauczycielu, Ale-ku Lodingu. Loding minął się z powołaniem. Jako korepetytor był wspaniały. Lecz gdzieś kiedyś okaże się, że albo zapomniał mu o czymś powiedzieć, albo sam tego nie wiedział; będzie to bardzo trudna chwila. Jak dotąd Brat umiał swoją rolę doskonale.

Znał nawet taki szczegół jak Parodia.

Mały przedmiot z czarnego dębu. „Prymitywne i sur-

---

<sup>3</sup> Denouement - (franc.) rozwiązanie.

realistyczne - powiedział Loding - ale można w tym było rozpoznać konia”. Początkowo ten konik był zaprzęgnięty do powoziku, który stanowił typową drewnianą pamiątkę, jakie turyści przywozili z Irlandii, zanim okazało się bardziej wskazane przywozić bekon. Powozik, skonstruowany z kawałeczków drzewa, podzielił wkrótce los wszystkich zabawek; ale konik, gruby i mocny, przeżył i stał się świętością i talizmanem Patryka. Imię wymyślił mu Alec Loding pewnego zimowego popołudnia przy podwieczorku w pokoju dziecięcym. Wstąpili z Nancy do Latchetts w drodze do domu z jakichś wyścigów na kucach, mając nadzieję, że dostaną coś do picia. Zastali w domu tylko Norę, która jadła podwieczorek z dziećmi na piętrze, przyłączyli się więc do nich. I tam, piekąc grzanki, wymyślali nazwę dla maskotki Patryka. Patryk, który zawsze mówił o niej „mój irlandzki konik” i nie widział potrzeby wymyślania żadnej nazwy, odrzucał wszelkie propozycje.

- Jak go nazwiemy, Alec? - spytała jego matka Lodinga, zbyt zajętego zajadaniem grzanek z masłem, żeby zainteresować się nazwa dla zabawki.

- Parodia - odpowiedział rzuciwszy okiem na konika. - Po Irlandzkim Chłopku i Dębinie.

Dorośli roześmieli się, ale Patryk, który był za mały, aby zrozumieć znaczenie słów, pomyślał, że Parodia to piękne, dumnie brzmiące imię. Imię, przywodzące na myśl tratanie, stawanie dęba i skoki koni na wojnie i wobec tego godne małego czarnego przedmiotu jego miłości.

- Nosił go w kieszeni - opowiadał Alec Loding w barze „Królowa Adelajda”(padało tego ranka) - ale gdy był już na to za duży, powiesił go na postrzępionym pasku ze szkockiej kraty na poręczy w nogach łóżka.

Tak. Nic dziwnego, że Simon był do głębi wstrząśnięty. Nikt, kto nie należał do rodziny Ashbych, nie wiedziałby o Parodii.

Brat zapinając ubranie pożyczone od Ashby ego i spostrzegając przy tym, że dobrze skrojona rzecz układa się nawet na cudzej figurze, rozmyślał, co sądzi o tej sprawie Simon. Przekonał się niewątpliwie do tej pory, że „oszust” nie

tylko wie o istnieniu Parodii, ale że spaceruje po domu tak pewnie, jakby go dawno znał. Brat poczuł podniecenie. Takie samo jak przy rozmowach ze starym panem Sandałem. W ciągu kilku ostatnich godzin - od chwili przyjazdu na stację Guessgate - przyjmowano go życzliwie i serdecznie, czego rezultatem były lekkie mdłości, rodzaj niestrawności duchowej. To, co zapowiadało się jako gra w kości o niebezpieczne stawki, stało się po prostu odbieraniem dziecku z rąk cukierka. Teraz, kiedy Simon był jego przeciwnikiem, wszystko zmieniło się znowu w walkę.

Nie kości, myślał Brat przyglądając się sobie w lustrze, raczej szachy. To sprawa przemyślanych, ostrożnych posunięć, zaplanowanego ataku, blokowanie nagłego ruchu. Tak, to szachy.

Zszedł na dół, ożywiony nowym oczekiwaniem. Nie będzie już musiał stawać do Ashby'ego plecami, nie mogąc spojrzeć mu w twarz. Pionki zostały ustawione na szachownicy, a oni ponad nimi patrzyli sobie w oczy.

Przez szeroko otwarte drzwi w hallu zobaczył Ashbych stojących razem w słońcu na schodach i podszedł do nich. Ruth, błędząca stale wzrokiem dokoła, dojrzała go pierwsza.

- Och, jak on ładnie wygląda! - zawołała, wciąż zabiegając o jego względy.

Brat zdawał sobie sprawę, że wygląda „ładnie”, ale wolałby, żeby Ruth nie zwracała uwagi na jego pożyczony elegancki strój. Ciekaw był, czy ktoś kiedykolwiek dał klapsa Ruth Ashby.

- Musisz zamówić sobie jak najszybciej u Waltersa strój do konnej jazdy - powiedziała Bee. - To, co masz na sobie, może posłużyć na wzór. Oszczędzi ci to jeżdżenia do miasta na przymiarki.

- Tych spodni nie szyl Walters, tylko Gore i Bowen - powiedział Simon patrząc leniwym wzrokiem na ubranie. - Walters przez całe swoje życie nie uszył dobrej pary spodni.

Stał przy drzwiach oparty o ścianę, spokojny i najwyraźniej pogodzony ze światem. Wzrok jego przesuwiał się wolno od butów Brata do koszuli i spoczął w końcu z taką samą

obojętnością na jego twarzy.

- No - powiedział uprzejmie, odrywając się od ściany - chodźmy obejrzeć sobie konie.

To nie szachy, myślał Brat. Nie, nie szachy. Poker.

- Po południu pokażemy ci stajnie - odezwała się Bee - a klacze dopiero po podwieczorku.

Wzięła pod rękę z jednej strony Brata, a z drugiej Simona i tak ramię w ramię, jak starzy przyjaciele, ruszyli w kierunku stajni; Eleanor i bliźniaczki szły za nimi.

- Gregg oczekuje cię bardzo podniecony - powiedziała Bee. - Nie poznasz po nim tego podniecenia, oczywiście. Po jego twarzy nic nie widać. Musisz po prostu uwierzyć mi, że jest podniecony.

- A co się stało ze starym Malpasem? - spytał Brat, choć dowiedział się o nim wszystkiego pewnego popołudnia siedząc pod Oranżerią.

- Nie lubił przyjmować rozkazów z ust kobiety - odrzekła Bee. - Odszedł więc na emeryturę jakieś półtora roku po tym, jak objęłam rządy, i odtąd mamy Gregga. To mizantrop i wróg kobiet, ma też swoje wyskoki, naturalnie. Ale to wszystko nie przeszkadza mu w prowadzeniu stajni. Po odejściu Malpasa zmniejszyły się wyraźnie rachunki za paszę. A miejscowi ludzie lubią Gregga, bo kupuje siano wprost od gospodarzy, bez pośrednika. W sumie wydaje mi się lepszy przy koniach od Malpasa. Z większym talentem potrafi doprowadzić słabego konia do dobrej kondycji. Nie mówiąc o tym, że genialnie leczy.

Dlaczego on jest wciąż napięty? - zadawała sobie pytanie, czując naprężone ramię Brata pod palcami. Próba ogniowa już jest za nim. Dlaczego się nie odpręża?

Brat czuł także jej palce zaciskające się na jego przedramieniu w sposób, w jaki nigdy nie dotykała go kobieca ręka. Doznawał znów tego niepojętego wzruszenia, jak wtedy kiedy Bee wzięła go za rękę i poprowadziła na spotkanie z Macallanem.

Ale na widok stajni zapomniał o problemach uczuciowych i etycznych.



Jego reakcja, gdy stanął na podwórzu przed stajnią w Latchetts, przypominała reakcję marynarza floty handlowej oglądającego po raz pierwszy któryś ze statków Jego Królewskiej Mości. Było to pogardliwe, lecz życzliwe ubawienie. Zdziwienie, że to wszystko nie jest ozdobione wstążeczkami. Jedynie kilka łbów końskich wysuwających się ciekawie z boksów przekonywało go, że to naprawdę stajnia. Przypominała mu model z jednego z drogich sklepów z zabawkami. Wyobrażał sobie zawsze, że te małe, jaskrawo pomalowane przedmioty i wiaderka w kwiatki zostały wyprodukowane według gustu dzieci. Ale okazywało się, że to były autentyczne kopie normalnych sprzętów. Patrzył właśnie na jeden z takich sprzętów, szczerze zdumiony.

Nawet rancho dla turystów nie przygotowało go na to, co oglądał. Na rancho było dużo pstrokacizny, ale istniała też tradycja pewnej surowości. Tam byłoby nie do pomyślenia, żeby wystrzyc kawałek trawy pośrodku w ten sposób, że wyglądał jak kwadrat z zielonego rypsu o tak równiutko przyciętych brzegach, że wydawało się, iż można go zwinąć i wynieść. Na rancho, gdzie pracował, było błoto, gnój, pot i muchy, jak zawsze przy koniach.

Niewielki budynek na lewo od wejścia na podwórze był siodlarnią, w której drzwiach stał starszy stajenny Gregg. Sprawiał wrażenie człowieka bez żadnych złudzeń, jak wszyscy ci, co utrzymują się z pracy przy koniach. Posiadał też inną właściwość typową dla koniarzy: nie sposób było określić jego wiek. Miał prawdopodobnie pięćdziesiątkę, ale bez trudu można by uwierzyć, że ma trzydzieści pięć lat.

Postąpił naprzód dwa kroki i czekał na nich. Te dwa kroki były ustępstwem na rzecz dobrego wychowania, a oczekiwanie podkreślało fakt, że przyjmuje ich na swoim terenie. Jego jasnoniebieskie oczy obserwowały Brata, gdy Bee przedstawiała ich sobie, ale wyraz twarzy pozostał uprzejmy i nieprzenikniony. Przywitał Brata w sposób konwencjonalny, miażdżąc mu niemal rękę w uścisku.

- Słyszałem, że pan w Ameryce ujeżdżał konie - powiedział.

- Tylko konie robocze na zachodzie Stanów-odpowiedział

Brat.

- Te też pracują. - Gregg wskazał boksy ruchem głowy. Nie mniej wątpliwości, mówił jego ton. Tak jakby zrozumiał niedowierzanie Brata co do tego, czy są dobrze utrzymywane. Oczy Gregga spoczęły teraz na Eleanor stojącej z tyłu.

- Panienska widziała, kto jest w siodłami? - spytał.

Jakby w odpowiedzi na to pytanie w mroku pomieszczenia wyrosła postać małego chłopca. Wyłonił się trochę niechętnie, jakby niepewny przywitania. Mimo zmiany stroju Brat rozpoznał w nim jeźdźca, który siedział na kamiennym lwie w bramie Clare. Jego obecny strój, choć mniej zaskakujący, był niewiele mniej dziwaczny od skóry lamparciej. Miał na sobie sportowy sweter w paski oblepiający jego szczupłe ciało, bryczesy tak szerokie, że zwisały w fałdach nad kościstymi kolanami, dżokejską czapkę, spod której wyglądał kask, i czerwone brudne mokasyny.

- Tony! - zawołała Eleanor. - Tony, co ty tu robisz?

- Przyjechałem na lekcję - odpowiedział Tony, a jego oczy przemykały po stojącej grupce jak jaszczurki.

- To nie jest dzień twojej jazdy.

- Nie? Myślałem, że tak.

- Wiesz doskonale, że nie jeździsz we wtorki.

- Myślałem, że dzisiaj środa.

- Okropny kłamczuch z ciebie, Tony - powiedziała spokojnie Eleanor. - Wiedziałeś dobrze, że dziś nie jest środa. Zobaczyłeś mnie w samochodzie z kimś obcym, więc przyszedłeś dowiedzieć się, kto to jest.

- Eleanor - szepnęła z niezadowoleniem Bee.

- Nie znasz go, ciociu - odrzekła Eleanor, jakby przedmiot dyskusji był nieobecny. - Jego ciekawość to już mania. To prawie jedyna jego ludzka cecha.

- Jeśli odbędziesz z nim lekcję dzisiaj, nie musisz mieć jej jutro - zauważył Simon patrząc z niechęcią na chłopca.

- Czy on sobie wyobraża, że będzie jeździł wtedy, kiedy mu przyjdzie ochota? - odrzekła Eleanor. - Poza tym zapowiedziałam, że nie mam zamiaru go uczyć, jeśli będzie tak ubrany. Mówiłam ci, żebyś zdobył jakieś buty, Tony.

Czarne oczy przestały biegać jak jaszczurki i zmieniły się w dwie sadzawki pełne smutku.

- Ojca nie stać na to, żeby kupić mi buty - powiedział Tony żalnym głosem, który z pewnością wycisnąłby lzy z kamienia.

- Twój ojciec ma dwanaście tysięcy funtów czystego rocznego dochodu - odparła wesoło Eleanor.

- Jeśli weźmiesz go dzisiaj, Neli - odezwała się Bee - będziesz jutro wolna, żeby mi pomóc przyjmować gości. Połowa sąsiadów zjawi się u nas, żeby obejrzyć Brata. - A gdy Eleanor wahała się jeszcze, dodała: - Załatw to teraz, skoro on już tu jest.

- I znowu będzie dziś jeździł w tych mokasynach - odezwał się przeciągle Simon.

- Indianie jeżdżą konno w mokasynach - zauważył spokojnie Tony. - A są bardzo dobrymi jeźdźcami.

- Nie sądzę, żeby twój ojciec „nędzarz” był bardzo zadowolony, gdybyś się pokazał w mokasynach na Row<sup>4</sup>. Masz mieć buty. I jeśli biorę cię na jazdę dziś po południu, Tony, nie myśl, że możesz wprowadzić taki zwyczaj.

- O nie, Eleanor.

- Jeżeli jeszcze raz zjawisz się w niewłaściwym dniu, odeślę cię z powrotem bez lekcji.

- Tak, Eleanor. - Oczy chłopca znów zmieniły się w zwinne jaszczurki.

- Dobrze. Idź i powiedz Arturowi, żeby osiodłał dla ciebie Kartofla.

- Dobrze, Eleanor.

- Nawet nie podziękuj, zobaczycie - powiedziała Eleanor patrząc za nim.

- Dlaczego on nosi kask? - spytał Simon.

- Ma czaszkę cienką jak celofan, tak mówi, i musi ją chronić. Nie wiem, skąd zdobył kask tej wielkości. Pewnie z cyrku. Z jego sympatiami do Indian dobrze jeszcze, że nie zjawia się w przepasce z piórem we włosach.

- Zjawi się kiedyś, jak mu coś strzeli do głowy - odrzekł Simon.

---

4 Row - aleja do konnej jazdy w Hyde Parku w Londynie.

- Pójdę osiodłać Kumpla. Przepraszam cię, Brat - uśmiechnęła się do niego - ale tak naprawdę to dobrze się złożyło. Koń, na którym on jeździ, będzie dziś o wiele mniej wypoczęty, niż byłby jutro, po dniu spędzonym w stajni. A ty nie potrzebujesz trzech osób do zwiedzania stajni. Pójdę z tobą na padoki po podwieczorku.

## **Rozdział XIV**

Między czwartym a piątym boksem Brat stracił raz na zawsze ochotę do pouczenia, jak należy utrzymywać konie. Przygotowany był na to, że ujrzy w tych boksach zapasione faworyty, a tymczasem wręcz przeciwnie: konie pełnej krwi i półkrwi, kuce i kucyki, wszystkie miały lśniąca sierść w wyniku starannego utrzymania i czyszczenia, a nie rozpieszczania w ciepłych stajniach. Brat przebywał dostatecznie długo wśród koni, aby o tym wiedzieć. Jedyne wstążki, jakie kiedykolwiek przywiązano tym koniom, to były czerwone, niebieskie lub żółte rozetki; rozetki wyglądały też całkiem na miejscu w siodłami.

Bee pełniła honory domu z pomocą Gregga; ponieważ jednak nie jest możliwe, aby czterej koniarze oceniali konie bez dyskusji, początkowa sztywność minęła i rozmowa zmieniła się w przyjacielską pogawędkę. Niebawem Brat, jak zwykle z pewnym dystansem w stosunku do swego otoczenia, zauważył, że Bee pozostawia coraz częściej głos Simonowi. I dlatego to on wyjaśniał:

- Odrzut ze stajni wyścigowej, który Eleanor szkoli na konia wierzchowego. - Albo: - Pamiętasz starą Torę? To jej syn po Sztylcie.

Bee usuwała się rozmyślnie.

Bliźniaczki wkrótce się ulotniły. Ruth dlatego, że konie ją znudziły, a Jane dlatego, że wiedziała o nich wszystko, co można wiedzieć, i z przykrością myślała o tym, że należą teraz do kogoś, kogo nie zna. Gregg, milczący z natury, schodził coraz bardziej na drugi plan, razem z Bee. Za to szybko na

plan pierwszy wysunął się Simon. Simon i Brat.

Simon zachowywał się zupełnie beztrzesko. Jakby to było zwykle popołudnie, a Brat po prostu zwykłym gościem. Mądrym gościem, uprzywilejowanym i bezsprzecznie mile witanym. Brat, otrząsając się tylko od czasu do czasu ze swego oczarowania końmi, dowiadywał się o ich pochodzeniu, budowie, charakterze i możliwościach, słuchając głosu lekko przeciągającego słowa. Patrzył ze zdziwieniem na kamienny, niewzruszony profil Simona.

- Trochę lekkiej budowy - ciągnął chłodny głos, a spokojny wzrok przesunął się po koniu, jakby nie było ważniejszej sprawy na świecie. - Ale ładny, prawda?

Albo:

- Tego by już naprawdę trzeba wybrakować. Biegał na polowaniach całą zimą. Ale mam zamiar popołować jeszcze na nim tego lata. Zresztą Bee jest okropnie skąpa, jeśli idzie o paszę.

Bee dorzucała swoje trzy grosze i usuwała się znowu w cień.

To ona „zarządzała” Latchetts, lecz różne wynikające stąd obowiązki były rozdzielone pomiędzy trójkę Ashbych. Eleanor zajmowała się głównie końmi myśliwskimi i innymi wierzchowymi. Simon skoczkami i również końmi myśliwskimi, a Bee klaczami i kucykami szetlandzkimi. Za życia Billa Ashby, gdy Latchetts było gospodarstwem czysto hodowlanym, konie wierzchowe i myśliwskie były przeznaczone tylko do użytku rodziny. Od czasu do czasu, kiedy zdarzył się wyjątkowo dobry źrebak, Bee, znająca się na koniach lepiej od brata, przyjeżdżała z Londynu na tydzień lub dwa, aby go wytrenować do prezentacji na pokazie. Była to dobra reklama dla Latchetts; nie dlatego, że stale handlowano tymi końmi, ale po prostu samo powtórzenie pewnej nazwy liczy się w świecie handlowym, jak odkryli twórcy reklam. Obecnie młodsze pokolenie Ashbych, pod nadzorem Bee, stwarzało z koni wierzchowych rentownych rywali klaczy hodowlanych.

- Pan Gates pyta, czy może z panem mówić - powiedział stajenny do Gregga.

Gregg przeprosił i wszedł do siodłami.

Baldachim podszedł do drzwi swego boksu, patrzył przez chwilę obojętnie na Brata, a potem trącił go żartobliwie garbatym nosem.

- Czy to był zawsze koń Jane? - spytał Brat.

- Nie - odpowiedziała Bee - został kupiony na czternaste urodziny Simona. Lecz Simon rósł tak szybko, że po roku był już dla niego za duży, a czteroletnia Jane domagała się jazdy na „prawdziwym” koniu, a nie na kucyku, więc odziedziczyła Baldachima. Jeśli miał kiedykolwiek dobre maniere, to zapomniał o nich, ale z Jane najwyraźniej się rozumieją.

Gregg wrócił i powiedział, że Gates chce się zobaczyć z panną Ashby w sprawie ogrodzenia.

- Dobrze, zaraz przyjdę - odpowiedziała Bee. - A gdy Gregg odszedł, dodała: - Naprawdę to on chce zobaczyć Brata, ale musi poczekać do jutra, tak jak reszta sąsiadów. To także podobne do Gatesa - że chce uprzedzić innych. A wy, chłopcy, gdybyście chcieli się przejechać, wróćcie koniecznie na podwieczorek. Chcę obejść padoki z Bratem, zanim się ściemni.

- Pamiętasz Gatesa? - spytał Simon otwierając drzwi następnego boksu.

- Nie, chyba nie.

- To dzierżawca z Wigsell.

- A co się stało z Vidlerem?

- Umarł. To jego zięć. Ma małą fermę po drugiej stronie Bures.

Simon dał mu tym razem potrzebne karty. Brat spojrział na niego, ciekaw reakcji na swoją wzmiankę o Vidlerze, ale Simon wydawał się całkowicie zajęty koniem, którego właśnie wprowadzał.

- Te z trzech ostatnich bokсів to najnowsze nabytki kupione pod kątem pokazu na torze. A ten jest najlepszy z całej stawki. Ma cztery lata. Po Borze z kłaczy Larum. Nazywa się Kloc.

Kloc był kary, bez ani jednego brunatnego włoska. Miał białą gwiazdkę na czole i białe obrączki nad pięciami. Był najpiękniejszym koniem, jakiego Brat oglądał w życiu z bliska.

Wyszedł z boksu, okazując łaskawie swoją wyższość, jakby świadomy swojego wspaniałego wyglądu i zadowolony, że spotka się on z uznaniem. Brat patrząc na niego pomyślał, że jest w nim jakaś dziwna fałszywa skromność; może wrażenie to sprawiała jego postawa, gdyż stał z przednimi nogami blisko siebie. Nie pasowało to jednak do uważnego, śmiałego wzroku.

- Trudno znaleźć w nim jakiś feler, co? - powiedział Simon.

Brat pogrążony w zachwycie nad budową konia, był ciągle jeszcze zaintrygowany tym, co wydawało mu się u niego jakąś obłudą.

- Ma najpiękniejszy łeb, jaki widziałem u koni - ciągnął Simon - i popatrz tylko na jego kość. - Oprowadził w koło konia. - Świetnie niesie - dorzucił.

Brat w milczeniu przyglądał się koniowi, zachwycony i wciąż zaintrygowany.

- No co?- spytał w końcu Simon czekając na jakiś komentarz.

- Czy on nie jest zarozumiały? - spytał Brat.

Simon roześmiał się.

- Przypuszczam, że jest. I nie bez powodu.

- Tak. Jest bardzo piękny.

- I coś więcej jeszcze. Cudownie się na nim jeździ. I umie wziąć najwyższą przeszkodę.

Brat podszedł do konia z przyjacielskim gestem. Kłoc nie zareagował na to. Wyglądał na zadowolonego, lecz trochę znudzonego.

- Powinien być pierwszym tenorem - powiedział Brat.

- Tenorem? A rozumiem. Dlatego, że jest taki zarozumiały. - Przyjrzał się na nowo koniowi. - Sądzę, że jest z siebie raczej zadowolony. Nie przyszło mi to do głowy. Chciałbyś się na nim przejechać?

- No, pewnie.

- Powinien mieć dzisiaj trochę ruchu. - Skinął na stajennego. - Artur, przynieś siodło dla Kłoca.

- Dobrze. Podwójną trzębę, proszę pana?

- Nie, zwykłą. - A gdy stajenny oddalił się, powiedział do Brata: - Miękki w pysku jak rękawiczka.

Brat zastanawiał się, czy Simon nie ociąga się z powierzeniem

tego miękkiego pyska ciężkim ręką przybysza z Zachodu, nawykłego do ordynarnych cugli.

Podczas gdy siodłano Kłoca, obejrzeni dwa pozostałe nabytki. Była to klacz z ładnym łbem i zadem („dwa dobre końce tworzą dobry środek”, jak powiedział Simon) o nazwie Scapa; i Chevron piękna, jasna kasztanka o niespokojnym oku.

- A na czym ty pojedziesz? - spytał Brat, kiedy Simon wprowadził Chevron z powrotem do boksu.

Simon zaryglował ciężkie drzwi i odwrócił się.

- Myślałem, że chciałbyś może obejrzeć sobie wszystko sam - powiedział. A gdy Brat, zdziwiony takim szczęściem, oniemiał na chwilę, Simon dodał: - Nie pozwól mu zanadto brykać, bo się spoci, a dopiero co go wytarli.

- Dobrze. Odprowadzę go ostudzonego - obiecał Brat i dosiadł swego pierwszego angielskiego konia.

Wziął jedną z dwóch szpicrut, które podał mu do wyboru Artur, i zawrócił Kłoca do bramy podwórza.

- Dokąd jedziesz? - spytał Simon, zdziwiony.

- Na pastwisko - odrzekł Brat, jakby pytanie Simona odnosiło się do celu przejażdżki.

Jeśli ta brama w północno-zachodnim rogu podwórza nie prowadzi już do najkrótszej drogi na pastwisko, to Simon musi mu o tym powiedzieć. A jeśli prowadzi, będzie miał jeszcze jeden powód do niepokoju.

- Nie wybrałeś dobrej szpicruty do zamknięcia bramy - powiedział uprzejmym tonem Simon. - Czy może chcesz skakać przez wszystkie przeszkody? - Ty mistrzu w rodeo, mówił jego ton.

- Dam sobie radę - odrzekł spokojnie Brat.

Zaczął kierować Kłoca w róg podwórza.

- On lubi płatać psikusy, więc uważaj - dorzucił Simon.

- Będę uważał - obiecał Brat i ruszył w kierunku bramy, przy której czekał Artur, aby ją otworzyć. Uśmiechnął się do niego przyjaźnie i powiedział z podziwem.

- Ten koń to cwaniak, proszę pana.

Skręcając na prawo w wąską drogę Brat rozważał znaczenie



tego słowa. Dawno go nie słyszał. Cwany to znaczy sprytny, chytry. A więc Kloc to cwaniak.

Cwaniak szedł spokojnie drogą, między zielonymi poboczami pokrytymi dywanem fiołków; uszy miał nastawione w oczekiwaniu murawy, którą widział przed sobą. Kiedy dojechali do następnej bramy, zatańczył w miejscu. „Nie”, powiedziały ręce Brata i koń się od razu uspokoił. Ktoś zostawił bramę otwartą, ale ponieważ był na niej wymalowany napis: „Proszę zamykać bramę”, Brat nakierował Kłoca tak, by móc ją zamknąć. Wydawał się on równie dobrze obznajmiony z bramami i ich użytkowaniem jak pasterski kuc z powrozem, ale nigdy jeszcze Brat nie czuł pod sobą tak delikatnej i dobrze naoliwionej maszyny. Kloc słuchał najlżejszego ruchu dłoni lub obcasa bez żadnych zastrzeżeń i z ufnością; było to coś, z czym Brat jeszcze się w życiu nie spotkał. Zdumiony i zachwycony obserwował te nowe dla niego reakcje. A Kloc nawet widząc przed sobą trawę, mając ją właściwie pod kopytami, poruszał się spokojnie i posłusznie pod kierunkiem jego rąk.

- Ty cudzie - powiedział cicho Brat.

Koń zastrzygł uszami.

- Ty piekielny cudzie - powtórzył i ścisnął Kłoca kolanami wjeżdżając na murawę. Kloc przeszedł w powolny galop kierując się ku kępom janowca i jałowcom na horyzoncie.

Oto co znaczy jazda na dobrym angielskim koniu, myślał Brat. To zjednoczenie z nim, ta świadomość, że jest się połową całości. Ta łatwość. Ta magia.

Gęsta, piękna murawa uciekała pod nimi, wydawało się dziwne, że nie widać ani kłębka kurzu unoszącego się spod kopyt. Anglia, Anglia, Anglia, powtarzały uderzające w ziemię kopyta. Cichy werbel na angielskiej łące.

Wszystko mi jedno, wszystko mi jedno, myślał. Jestem przestępcą, łajdakiem, ale zdobyłem to, co chciałem, i warto było to zdobyć. O, warto! Warto, choćbym miał jutro umrzeć.

Wjechali na szczyt płaskowyżu, przed nimi ciągnął się podwójny rząd krzaków, tworzących naturalną dziką aleję, pięćdziesiąt jardów długą. Alec Loding zapomniał mu o tym powiedzieć i nie było tego na mapie. Nawet na sztabówce

trudno było chyba zaznaczyć krzaki jałowca. Zatrzymał się, żeby to rozważyć. Ale Kloc nie był w nastroju do rozważań. Wiedział wszystko o tej równej płaszczyźnie trawy pomiędzy rzędami krzaków.

- Dobrze, zobaczymy, co potrafisz - powiedział Brat i puścił wodze.

Jeździł już na cwaniakach. Na wielu cwaniakach. Dosiadał szybkich koni wyścigowych i wygrywał na nich. Niektóre miały zryw jak odrzutowiec. Szybkość go już nie dziwiła. Zdumiała go płynność biegu. Czuł się tak, jakby go niósł koń zawieszony na karuzeli.

Łagodne powietrze owiewało mu twarz, lechtało w uszy i znikало za nim nagrzone słońcem, pachnące trawą, skórą i janowcem. Kto by się przejmował, kto, kto, kto! - powtarzały galopujące kopyta. Kto by się przejmował, kto, kto, kto! - huczała krew w żyłach Brata.

Może umrzeć jutro, wszystko mu jedno.

Kiedy dotarli do krańca łąki, Kloc zaczął przystawać, ale Brat nie miał zwyczaju pozwalać wierzchowcowi na własne decyzje, kazał mu więc galopować dalej. Objechał zielony tunel od strony południowej i łagodnie nakłonił konia do stępa, a Kloc usłuchał bez protestu.

- Bracie - powiedział gładząc palcami ciemną grzywę - czy jest w Anglii więcej takich jak ty, czy stanowisz wyjątek?

Kloc spuścił łeb pod pieszczotą, wciąż w skromnej postawie tego, co otrzymuje rzecz mu należną.

A gdy wolno jechali z powrotem południową stroną nierównego zielonego żywopłotu, uwaga i zainteresowanie Brata skupiły się na krajobrazie, jaki się poniżej roztaczał. Choć patrzył na to do góry nogami niejako - od północy zamiast od południa, jak się zwykle patrzy na mapę - to było Clare takie, z jakim się na wstępie zaznajomił. Widział to wszystko przed sobą w dole jasno i dokładnie jak na mapie sztabowej.

Blżej na lewo czerwone dachy Latchetts pośród równych kwadratów padoków. Dalej na lewo na małym pagórku kościół; a jeszcze dalej wieś Clare, ładne skupisko domów

pośród jasnozielonych drzew. Tam gdzie teren za wsią podnosił się tworząc południową stronę małej dolinki, stała rezydencja Clare Park, długi, biały dom osłonięty od wiatrów wiejących od Kanału wznoszącym się za nim zboczem.

Zbocze na wprost Brata było jakby mniejszym, łagodniejszym odpowiednikiem pastwiska, na którym się znajdował: niskie zielone wzgórze zwane Tanbitches. Było to otwarte pastwisko, przecięte w połowie ciemną szramą dawnego kamieniołomu i uwieńczone bukami. Buków pozostało już tylko siedem zamiast dziesięciu, ale ta kępa tworzyła ładny dekoracyjny akcent w południowej części doliny.

Druga strona Wzgórza Tanbitches opadała, jak wiedział z map, łagodnym skłonem ku nadmorskim skałom. Tym skałom, na których Patryk Ashby odebrał sobie życie. Za niższą stroną doliny, na zboczu naprzeciw Clare Park, widniały fermy zlewające się niedostrzegalnie z przedmieściami Westover. W miejscu gdzie lekkie zagłębienie terenu oddzielało zbocze, na którym stał Clare Park, od wzgórza Tanbitches, biegła nad brzeg morza ścieżka, którą tamtego dnia przed ośmiu laty szedł Patryk Ashby.

Wydało mu się to nagle realniejsze niż dotąd: ta tragedia, którą wykorzystywał. Realniejsze nawet niż w domu, który niegdyś zamieszkiwał Patryk. Tam istniały poza tym inne wspomnienia; żywsze i bardziej namacalne. Tam absorbowały jego uwagę kontakty z ludźmi i konieczność nieustannej czujności. Tu, na otwartej przestrzeni i w samotności, wspomnienie tragedii sprzed lat stało się bardziej realne niż kiedykolwiek przedtem. Tamtą krętą ścieżką po drugiej stronie doliny szedł chłopiec, tak nieszczęśliwy, że piękny angielski świat nic dla niego nie znaczył. Miał konie takie jak Kloc, przyjaciół, rodzinę i własny dom, i to wszystko straciło dla niego wartość.

Po raz pierwszy w swym samotnym życiu Brat uświadomił sobie cudzą tragedię. Kiedy Loding opowiedział mu pierwszy raz w barze tę historię, czuł tylko pogardę dla chłopca, który miał tak dużo i nie potrafił się obyć bez czegoś jeszcze. Biedak, pomyślał wtedy. Potem Loding przyniósł do Kew fotografie i

pokazał mu Patryka. Brat doznał wówczas dziwnego uczucia utożsamienia się z nim, współuczestnictwa.

- To jest Pat Ashby. Miał wtedy około jedenastu lat - powiedział Loding, siedząc z nogami opartymi wygodnie o balustradę w parku, i podał mu zdjęcie. Zrobione było aparatem marki Brownie 2A. Brat wziął je do ręki z żywym zainteresowaniem, lecz bez niecierpliwości.

Pat Ashby nie był anonimowym, „biedakiem”, jak mu się dotąd wydawało. Był realnym człowiekiem. Sympatycznym, realnym człowiekiem. Człowiekiem, który, jak czuł, byłby bardzo w jego guście. Brat z niezbyt zdecydowanego przeciwnika Patryka stał się jego orędownikiem.

Lecz dopiero teraz, w chwili spokoju i ciszy, patrząc z góry na Latchetts, poczuł żal myśląc o nim.

Klink - klink - dobiegł stłumiony dźwięk z doliny. Wzrok Brata przesunął się ze wzgórza Tanbitches na budynek w dole. Była to kuźnia. O ćwierć mili na zachód od wsi. Mały, czarny kwadracik przy drodze widniał na mapie; teraz okazał się niewielkim domkiem z czarnym kominem i gospodarzem, którego młot wydawał harmonijne dźwięki.

Cała scena przypominała obrazek, z którego nauczył się pierwszego zdania po francusku: *Voila le forgeron*<sup>5</sup>.

Brakowało tylko proboszcza wychodzącego z kościoła.

I listonosza na rowerze jadącego drogą między kuźnią a wsią.

Brat zsunął się z grzbietu Kłoca, z przyzwyczajenia rozluźnił popręg, jakby osiodłał konia wiele godzin temu, i usiadł plecami do krzaków jałowca i janowców, aby sycić wzrok cudownym krajobrazem angielskim.

## Rozdział XV

Nadpływały i odpływały duże chmury, słońce rozbłyskiwało i znikało, łagodny, niezdecydowany wietrzyk przemykał pośród janowców i lekko targał trawą. Kloc pobrząkiwał wędzidłem i od niechcienia skubał trawę.

---

<sup>5</sup> *Voila le forgeron* - (franc.) oto kowal.

Brat zatonął w rozkosznym oszłomieniu i przestał zupełnie myśleć. Oprzytomniał, kiedy Kloc szarpnął gwałtownie łbem i prawie w tej samej chwili odezwał się za jego plecami kobiecy głos recytujący niby wiersz:

- Nie oglądaj się! Nie poruszaj! Zamknij oczy i zgadnij, kto za tobą stoi.

Głos brzmiał z lekka gwarowo, nawet łobuzersko.

Jak każdy w takiej chwili, Brat odruchowo nie posłuchał rozkazu. Odwrócił się i zobaczył dziewczynę mniej więcej szesnastoletnią. Była wysoka i pulchna, miała kasztanowate włosy i trochę wylupiaste niebieskie oczy. Zwłaszcza te oczy zwracały uwagę swoim pożądlivym i równocześnie sennym wyrazem. Gdy napotkały wzrok Brata, o mało nie wyskoczyły z orbit.

- O! - krzyknęła prawie dziewczyna. - Myślałam, że to Simon! A pan nie jest Simonem.

- Nie jestem - przyznał Brat próbując wstać.

Lecz zanim zdążył to zrobić, dziewczyna usiadła na trawie obok niego.

- Ale mnie pan zdenerwował. Zdaje się, że wiem, kim pan jest Zaginionym od lat jego bliźniakiem, prawda? Na pewno. Jest pan taki podobny do Simona. Jest pan jego bratem, prawda?

Brat potwierdził.

- Nawet jest pan ubrany tak samo jak on.

Brat wyjaśnił, że ma na sobie ubranie Simona.

- Pani zna Simona?

- Oczywiście, że znam. Nazywam się Sheila Parslow. Mieszkam w internacie w Clare Park.

- O! - Eleanor nazwała tę szkołę szkołą dla cwaniaków. To miejsce, gdzie nikt nie musi się uczyć tabliczki mnożenia.

- Robię, co mogę, żeby poderwać Simona. Ale to mozolna praca.

Brat nie wiedział, co powinien na to odpowiedzieć, lecz zachęta do konwersacji nie była jej wcale potrzebna.

- Muszę coś zrobić, żeby ożywić trochę moje życie w Clare. Nie wyobraża pan sobie, jaka to przeraźliwa nuda. Trudno

sobie po prostu wyobrazić. Nie ma nic, dosłownie nic, czego by zabraniano. Kiedyś byłam już w takiej desperacji, że rozebrałam się do naga i weszłam tak do gabinetu Cedryka - Cedrykto nasz dyrektor, nie lubi, jak się go nazywa dyrektorem, ale jest nim oczywiście - weszłam więc do niego golusieńka, a on tylko spytał: „Czy myślałaś kiedy o diecie, droga Sheilo?”, a potem zajął się znowu studiowaniem „Who's Who”. On bez przerwy studiuje „Who's Who”. Słaba

szansa dostania się do Clare Park, jeśli nie ma się ojca w „Who's Who”. Albo matki naturalnie. Mój ojciec tam nie figuruje, ale jest milionerem, a to stanowi znakomity środek zastępczy. Miliony to doskonała rekomendacja, prawda?

Brat przyznał, że chyba tak.

- Czarowałam Simona milionami papy. Simon ma duży szacunek dla dobrze ulokowanych pieniędzy, więc miałam nadzieję, że to zrównoważy moje, że tak powiem, wdzięki, ale on jest strasznym snobem, prawda?

- Snobem?

- Nie wie pan o tym?

- Poznałem go dopiero dzisiaj.

- Prawda. Właśnie pan wrócił. Jakie to musi być emocjonujące! Rozumiem, że Simon nie szaleje z radości, ale dla pana to chyba podniecające wysadzić go z siodła.

Brat zastanawiał się, czy Sheila należy do tych, którzy znajdują przyjemność w obrywaniu muchom skrzydeł.

- Teraz, kiedy pan zabierze Simonowi majątek, może będę miała u niego większe szanse. Muszę go gdzieś dopaść i przekonać się. Kiedy zobaczyłam Kloca, myślałam, że to on. Simon tu często przyjeżdża, to jego ulubione miejsce do trenowania koni. Nie znosi Tanbitches. -Wskazała brodą przeciwległą stronę doliny. - Tu często można zastać go samego. Przyszłam więc na ryzyko, zobaczyłam to czarne bydlę i pomyślałam, że go zaskoczę. A to był pan.

- Bardzo mi przykro - powiedział potulnie Brat.

Przyjrzała mu się z uwagą.

- Myślę, że na nic się nie zda próba uwiedzenia pana zamiast niego? - spytała.

- Niestety nie.

- Czy nie jestem w pana guście, czy w ogóle pan tego nie lubi?

- Nie bardzo lubię, Niestety.

- Tak, chyba nie-odrzekła zgodnie.-Ma pan twarz mnicha. To zabawne, że jest pan taki podobny do Simona, a jednak wygląda pan inaczej. Simon nie jest mnichem. Córka Gatesa z Wigsell mogłaby panu coś o tym powiedzieć. Rysuję jej podobizny i wbijam w nie szpilki, ale to nic nie pomaga; dalej kwitnie jak piwonia i przyciąga go jak lep muchy.

Ona sama wygląda jak dobrze rozkwitła piwonia, pomyślał patrząc na jej Wilgotne czerwone wargi i na bluzkę napiętą na obfitym biuście. Piwonia trochę oklapnięta i zawiedziona w tym momencie.

- Czy Simon wie, że pani się w nim kocha? - spytał.

- Kocha? Ja się w nim nie kocham. Chyba go nawet nie lubię. Chcę go tylko uwieść, żeby mieć jakąś rozrywkę w tym semestrze. Póki nie wyjadę z tego nudnego miejsca.

- Jeśli może pani robić, co zechce, dlaczego nie wyjeżdża pani teraz? - spytał rozsądnie Brat.

- Nie chcę wyjść na zbyt wielką idiotkę, wie pan. Chodziłam do szkoły w Ling Abbey i tak Strasznie tam rozrabiałam, że rodzice musieli mnie odebrać i przysłali tutaj. Myślałam, że będę się świetnie bawić -bez lekcji, rozkładu zajęć, regulaminów i tak dalej; nie miałam pojęcia, że to będzie taka beznadzieja. Można tu wyc z nudów.

- Czy w Clare Park nie ma nikogo, kto mógłby pani zastąpić Simona? To znaczy kogoś, kto by lby bardziej... w pani guście?

- Nie. Od razu im się przyjrzałam. Chudzi, zarośnięci intelektualści. Czy zauważył pan, jaki pobudzający wpływ ma intelekt na włosy? Niektórych rzeczy nieapetyczne podniecają, ale nie mnie. Mimo wszystko lubię jednak przystojnych mężczyzn. A musi pan przyznać, że Simon jest bardzo przystojny. W Ling Abbey był pomocnik ogrodnika prawie tak samo przystojny, ale nie miał tego cholernego uroku, jaki ma Simon.

- Ale nawet dla tego pomocnika ogrodnika nie została pani

w Abbey?

- O, nie, wyrzucili go. To było łatwiejsze, niż wyrzucić mnie i wywołać skandal. I tak musieli się mnie pozbyć, mogli więc zatrzymać biednego Alberta.

O wiele lepiej radził sobie z lobeliami niż z dziewczynami. Ale skąd oni mieli o tym wiedzieć. Nie szepnęłyby pan słówka Simonowi o mnie? Byłoby szkoda tych wszystkich katuszy, jakie wycierpiałam starając się zawrócić mu w głowie.

- Katuszy?

- Nie przypuszcza pan chyba, że godzinami jeździłam na tych okropnych czworonogach dla rozrywki. Z tą jego siostrą, oschłą chudą tyką, która zawsze patrzy na mnie z góry. Och, zapomniałam, że to także pana siostra. Ale nie było pana tak długo w domu, że może nie myśli pan o niej, tak jak brat myśli o siostrze.

- Z pewnością - odrzekł. Lecz ona nie słuchała.

- Przypuszczam, że pan jeździł konno, odkąd nauczył się pan raczkować, więc nie wie pan, co to znaczy trząść się na wielkiej, bezkształtnej górze tak daleko od ziemi, nie mając się czego trzymać. Wszystko wydaje się łatwe, kiedy to robi Simon, koń jest taki ładny i wąski, jak człowiek stoi na ziemi. Wydaje mu się, że można by jechać na nim jak na rowerze. Dopiero kiedy się wsiądzie, okazuje się, że jego grzbiet jest okropnie szeroki i że trudno w tej sytuacji zrobić na kimś wrażenie. Człowiek trzęsie się na siodle, a nogi dyndają mu w przód i w tył zamiast tkwić spokojnie w miejscu jak nogi Simona. Potem ma się wielkie pęcherze i całymi tygodniami nie można usiąść w wannie. Kiedy się p«n uśmiechnie, to już pan nie przypomina tak bardzo mnicha.

Brat podsunął myśl, że na pewno są jakieś lepsze sposoby zwrócenia na siebie uwagi, niż zabieranie się do czegoś, w czym celuje obiekt westchnień.

- Nie sądziłam, że zwrócę w ten sposób jego uwagę. To był tylko pretekst do tego, żeby się pokręcić koło stajni. Ta siostra Si... pana siostra nie pozwala na to, jeśli nie ma się tam interesu.

Pana siostra, pomyślał. Mile zabrzmiały mu te słowa.



Miał teraz trzy siostry, a dwie z nich były właśnie takie, jakie chciałby mieć. Musi wracać i lepiej się z nimi zapoznać.

- Niestety, muszę już jechać - powiedział wstając i zakładając Klocowi uzdę przez łeb.

- Żałuję, że pan już odjeżdża - rzekła przyglądając się, jak dociąga popręg. - Jest pan najsympatyczniejszym człowiekiem, z jakim rozmawiałam, odkąd przyjechałam do Clare. Szkoda, że się pan nie interesuje kobietami. Mógłby pan odbić Simonowi tę córkę Gatesa, a wtedy miałabym większe szanse. Zna ją pan?

- Nie - odparł Brat wsiadając na konia.

- Niech pan się jej przyjrzy. Jest bardzo ładna.

- Zrobię to - obiecał Brat.

- Myślę, że teraz, kiedy pan jest w domu, będę pana spotykała w stajni.

- Mam nadzieję.

- Nie zechciałby pan dać mi jednej lekcji jazdy konnej zamiast siostry?

- Niestety, to nie moja specjalność.

- Szkoda - westchnęła z rezygnacją. - Bardzo pan ładnie wygląda na tym koniu. Wydaje mi się, że i on jest strasznie szeroki w grzbiecie. One wszystkie są takie. Jakby się umówiły.

- Do widzenia - powiedział Brat.

- Ja nawet nie wiem, jak panu na imię. Ktoś mi mówił, ale zapomniałam. Więc jak?

- Patryk.

Gdy wymawiał to słowo, myśl jego powędrowała znów do ścieżki w dolinie i od razu zapomniał o pannie Parslow. Ruszył galopem z powrotem górną krawędzią pastwiska, aż znalazł się na poziomie Latchetts, i wtedy zaczął hamować Kłoca, który przeszedł w stępa. Zielona aleja u jego stóp prowadziła przez padoki do zachodniej strony domu, a tym samym do wysypanego żwirem podjazdu. Tą drogą przyjechała dziś rano Jane i została wmieszana w scenę powitalną przed drzwiami. Brama prowadząca do alei była na oścież otwarta, jej odrzwia opierały się z dwóch stron o mocne

ogrodzenie padoku.

Brat zjeżdżał w dół powoli, póki strome zbocze nie złagodniało i wtedy wypuścił Kloca w galop. Zielona aleja o miękkim podłożu otwierała się przed nimi. Brat nie chciał psuć sobie przyjemności jazdy zatrzymywaniem się i zamykaniem następnej bramy, którą ktoś zostawił otwartą.

To, że w pięć minut później jego lewa noga pozostała cała, nie było wynikiem dobrej jazdy, lecz wyłącznie tego, że przez wiele lat ujeżdżał konie i jego reakcje były szybsze od myśli. Skręt w bok był tak nagły i tak ostry, że biała poprzeczka zazgrzytała o siodło w miejscu; gdzie powinna była znajdować się jego noga, zanim uświadomił sobie, że jej już tam nie ma, że cofnął ją, nim zdążył o tym pomyśleć.

Kiedy Kloc wrócił na środek alei, Brat poprawił się w siodle, ściągnął wodze i zatrzymał konia. Kloc usłuchał od razu.

- Fiu! - powiedział Brat wypuszczając zdławiony oddech. Popatrzył na Kloca, który stał jak niewiniątko, poważnie i skromnie pośrodku alei.

- Ty złośliwco - rzekł ubawiony.

Kloc nadal wyglądał na skromnisia, ale strzygł uszami. Trochę się boi, pomyślał Brat.

- Znam takich, co by cię stłukli za to na kwaśne jabłko - powiedział i skierował konia z powrotem na pastwisko. Kloc ruszył własnymi śladami posłusznie, lecz był wyraźnie zaniepokojony. Oddalwszy się na sporą odległość Brat wypuścił go znów w galop w kierunku bramy. Nie miał ani ostróg, ani łańcuszka wędzidłowego, ale był ciekaw, co Kloc teraz zrobi. Jak się spodziewał, koń wpadł grzecznie w aleję, trzymając się jej środka, z dala od ogrodzeń, z matematyczną dokładnością.

Ja miałbym zrobić coś podobnego umyślnie? - zdawał się mówić. - Ja, tak znakomicie wychowany? Na pewno nie. Straciłem tylko na moment równowagę wpadając w tę aleję. To się może zdarzyć najlepszemu koniowi.

No, no, myślał Brat ściągając wodze.

- Wydaje ci się, że jesteś sprytny - powiedział głośno, jadąc wolno aleją. - Pozwól sobie powiedzieć, że o wiele sprytniejsze

konie od ciebie próbowały mnie zrzucić. Zrzucały mnie takie, którym do pięt nie dorastasza.

Czarne uszy drgały, analizując w zdumieniu dźwięk i ton głosu.

Klaczki podchodziły do ogrodzenia i przyglądały im się, zadowolone z tej drobnej odmiany w ich spokojnym życiu. A źrebaki biegały zataczając koła w podnieceniu, w które się same wprawiały. Kloc nie zwracał na nie uwagi. W bardzo wczesnym wieku stracił czynne zainteresowanie klaczami, a teraz zajmował go tylko fakt, że został przechytrzony i że ten, co go przechytrył, wydawał jakieś niezrozumiałe dźwięki. Strzygł uszami, które powinien był raczej nastawić zbliżając się do stajni.

Brat podjechał przed dom, tak jak Jane tego ranka, ale nie zobaczył nikogo. Ruszył do stajni i zastał Eleanor wjeżdżającą tam właśnie po lekcji z Tonym, którego zostawiła w Clare Park.

- Halo! - powiedziała. - Jeździłeś na Klocu? - Ton jej głosu był lekko zdziwiony. - Mam nadzieję, że Simon ostrzegł cię przed nim.

- Tak, dziękuję, ostrzegł mnie.

- To jeden z moich złych zakupów - powiedziała z żalem, przyglądając się Klocowi, kiedy jechali obok siebie w kierunku podwórza.

- Twoich? - spytał brat.

- Tak. Czy Simon ci o tym nie mówił?

- Nie.

- To ładnie z jego strony. Przypuszczam, że nie chciał, abyś się zbyt szybko dowiedział, jaką masz głupią siostrę. - Uśmiechnęła się do niego, jakby była zadowolona z tego, że jest jego siostrą. - Kupiłam tego konia na licytacji w Lerridge Hunt. To właśnie Kloc zabił starego Feliksa. Starego Feliksa Hunstantona, wiesz, łowczego. Simon ci tego nie mówił?

- Nie. Powiedział mi tylko, że Kloc płata czasem figle.

- Stary Feliks miał kilka dobrych koni, więc kiedy wystawiono je na sprzedaż, pojechałam zobaczyć, czy da się coś wybrać. Nikt nie reflektował na Kłoca, ale sądziłam, że to

uprzedzenie, że nikt nie chce mieć konia, na którym zabił się łowczy. Jakby kierowano się kiedykolwiek jakimiś sentymentami w handlu końmi! Nie trzeba było puszczać mnie tam samej. Zresztą, powinnam była zastanowić się, dlaczego kupuję go tak tanio: z jego wyglądem, pochodzeniem i osiągnięciami. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że to samo zrobił z jednym z myśliwych w parę dni potem, tylko gałęzie były cieńsze i złamały się, zamiast rozwalić mu czaszkę lub zmieść go na ziemię.

- Rozumiem - powiedział Brat, który istotnie zaczynał rozumieć.

- Nikogo nie trzeba było przekonywać. Nikt z tych, którzy byli na miejscu, gdy Feliks zginął, nie wierzył, że to wypadek. Myśliwi spotkali się w Lerridge Castle i z lasu ruszyli na przełaj przez park. To ładny otwarty teren, dobry do galopu, drzewa rosną tam rzadko. Mimo to Kloc pędząc jak szalony, poniósł Feliksa pod dąb. Feliks już nie żył, kiedy spadł na ziemię. Ale o tym dowiedzieliśmy się oczywiście dopiero później. Kiedy zgłosiłam na licytacji chęć kupienia Kloca, wiedziałam tylko, że Feliks rozbił sobie głowę o gałąź na polowaniu. A takie rzeczy się zdarzają.

- Czy ktoś widział dokładnie, jak się to stało?

- Nie sądzę. Wszyscy wiedzieli jedno: że mając cały park do wyboru, Feliks nie pchałby się pod dęby.

A kiedy Kloc spróbował zrobić to samo z pomocnikiem łowczego Sammsem, nie było już żadnych wątpliwości. Wystawiono go na sprzedaż z innymi końmi, a wszyscy, którzy przyjechali do Lerridge, siedzieli w milczeniu i patrzyli, jak Eleanor Ashby dokonuje swego niefortunnego zakupu.

- Nie można zaprzeczyć, że ładny z niego konik - powiedział Brat głaszcząc szyję Kloca.

- On jest piękny - odrzekła Eleanor. - I skacze bezbłędnie. Skakałeś dzisiaj na nim? Musisz spróbować następnym razem. Jak skacze, jest najbezpieczniejszy, bo nie może skupić uwagi na niczym innym, nie ma czasu na wymyślanie psot. To dziwne, prawda? Nie wygląda na takiego, któremu nie można ufać - dodała patrząc wciąż ze zdumieniem na swój nieudany

zakup.

- Nie.

- Nie jesteś tego bardzo pewny - powiedziała wnoskując z jego tonu.

- Muszę przyznać, że to najbardziej zarozumiałe zwierzę, jakie w życiu spotkałem.

Myśl ta była równie nowa dla Eleanor jak przedtem dla Simona

- Chcesz powiedzieć, że jest próżny? Tak, chyba jest. Gdybym była koniem i miała dość sprytu, żeby zabić człowieka, też bym się tym pyszniła. Czy próbował dziś jakichś sztuczek?

- Skoczył w bok przy wjeździe w aleję, ale nic więcej. - Brat nie powiedział: „wykorzystał pierwszy napotkany twardy kawałek drewna, aby zmiażdżyć mi nogę”. To była sprawa między nim i koniem. Czeka go z Klocem jeszcze długa znajomość i wiele sobie po- wiedza.

- Przeważnie jest do rany przyłóż-mówiła Eleanor. - To może być właśnie zgubne. Wszyscy jeździliśmy na nim. Simon, Gregg, Artur i ja, i tylko dwa razy zachował się złośliwie. Raz z Simonem i raz z Arturem. Ale oczywiście - dodała z uśmiechem - zawsze omijaliśmy drzewa z daleka.

- Świetny koń na pustynię. Możesz jechać cały dzień i nie napotkasz ogrodzenia ani gałęzi.

Eleanor patrzyła ze smutkiem na karego konia, kiedy Brat wstrzymał go, żeby ją pierwszą przepuścić na podwórze.

- Sądzę, że wymyśliłby coś innego.

Brat zgodził się z nią. Kloc miał rzadko spotykaną u koni cechę: był inteligentnym łobuzem. Gdy udaremniło mu się jego zwykle sztuczki wymyślał nowe. I nie bawił się w drobiazgi.

Tak jak i Simon. Wysłał go na notorycznym łajdaku, rzuciwszy tylko lekko, że koń „lubi płać psikusy”. Klasyczne morderstwo cudzymi rękoma.

## Rozdział XVI

Beatrice Ashby siedząc przy stole jadalnym patrzyła na swego bratanka Patryka i myślała, że zachowuje się nad podziw dobrze. Potrafił wybrnąć z wyjątkowo trudnej sytuacji. Nie był ani onieśmielony, ani wylewny. Okazywał taką samą obojętność i taki sam spokój, jak podczas ich pierwszego spotkania w tamtym pokoju w Pimlico. Była to cecha znamionująca dojrzałość, trochę dziwna u młodego człowieka, który nie ukończył jeszcze dwudziestu jeden lat. Ten Patryk Ashby ma w sobie dużo godności, pomyślała, obserwując, jak radzi sobie z pastorem. Kto by umiał zachowywać się tak powściągliwie, nie okazując się przy tym głupim i sztywnym.

Simona wychowała ona i była zadowolona z rezultatów swego wychowania. Ale ten chłopak wychował się sam, a rezultat, jak się zdaje, jest nawet lepszy. Może to sprawa pierwszych siedmiu lat, a reszta przychodzi automatycznie. A może Patryk jest z gruntu taki dobry, że nie potrzebował żadnego kierunku. Kierował się własnym rozumem i wyrósł na opanowanego, dojrzałego młodzieńca o spokojnej twarzy.

Twarz ta była maską; maską w sumie smutną. Co za kontrast z podobną z rysów, ale ruchliwą fizjonomią Simona. Te dwie twarze przypominały dwustronną tragikomiczną maskę, jakimi ozdabia się karty tytułowe sztuk teatralnych.

Simon był tego wieczoru wyjątkowo wesoły, a Bee krajało się serce. I on zachowywał się wspaniale, kochała go dziś prawie bez zastrzeżeń. Zrzekł się tego, co miało być jego własnością, i to spontanicznie, z wdziękiem, do czego nie wydawał się zdolny. Czują lekkie wyrzuty sumienia, że go nie doceniała. Nie podejrzewała samolubnego, zachłannego Simona o taką zdolność do wyrzeczeń.

Wybierali nazwę dla źrebiczki Pszczółki i rozmowa stawała się chwilami mało przyzwoita. Nancy nalegała, że pieszczotliwe imię Pszczółka można odmienić na Kruszynekę, a Eleanor tłumaczyła, że tak rasowy źrebak jak dziecko Pszczółki nie może być skazane na imię Kruszyńka. Eleanor odmówiła wystrojenia się na przyjazd Patryka, ale teraz to

sobie powetowała. Bee już dawno nie widziała jej tak ładnej i tak dobrze ubranej. Eleanor była typem kobiety o urodzie mało efektownej.

- Brat zakochał się w Pszczółce - powiedziała.

- Przypuszczam, że Bee zaciągnęła cię na padoki, zanim jeszcze zdołałeś przestąpić próg domu - powiedziała Nancy. - Podobały ci się konie, Brat?

I ona zwracała się do niego po przydomku. Tylko pastor mówił: „Patryku”.

- Podobają mi się wszystkie odrzekł Brat. -I znalazłem wśród nich starą przyjaciółkę.

- O? Kogo?

- Reginę.

- Tak, oczywiście. Biedna stara Regina. Ma już chyba ze dwadzieścia lat.

- Nie taka biedna - wtrącił Simon. - Regina utrzymywała nas wszystkich. Winniśmy jej płacić za to jakąś dywidendę.

- Zbiera ją na pastwisku - rzekła Eleanor. - Zawsze była łakoma.

- Kiedy daje się rok po roku takie źrebięta, jakie dawała Regina, ma się do tego prawo - oświadczył Simon.

Pił o wiele więcej niż zwykle, lecz z niewielkim skutkiem. Bee zauważyła, że pastor spogląda na niego od czasu do czasu współczującym wzrokiem.

Brat z drugiego końca stołu obserwował także Simona, ale bez współczucia. Rzadko pozwalał sobie na współczucie; jak każdy, kto gardzi roztkliwianiem się nad sobą, nie był skory do litowania się nad innymi. Lecz nie to powstrzymywało go od współczucia Simonowi Ashby. I nawet nie fakt, że był on jego jawnym wrogiem. Do tej pory wrogowie budzili jego podziw. W Simonie było coś, co go odpychało. Coś niezrozumiałego. Siedział, beztroski i czarujący, a wokoło siedzieli krewni i przyjaciele, podziwiając w milczeniu jego szlachetność i odwagę. Przyklaskiwali jego zachowaniu, ale byłiby wstrząśnięci, gdyby się dowiedzieli, że Simon gra swoją rolę na ich użytek.

Obserwując, jak roztacza swoje wdzięki, Brat czuł, że Simon

przypomina mu kogoś, kogo niedawno spotkał. Kogoś o takim samym rasowym wyglądzie, doskonałych manierach i tak samo zagadkowego. Kto to mógł być?

Uczucie, że odpowiedź ma na końcu języka, doprowadzało do szału. Za chwilę sobie przypomni. Loding? Nie. Ktoś ze statku, na którym przyplynał? Mało prawdopodobne. A może ten adwokat, Maedermott? Nie. Więc kto...

- Nie sądzisz, Patryku?

To pytał pastor. Trzeba z nim uważać. Spotkania z George'em obawiał się bardziej niż jakiegokolwiek innego, poza Simonem. Prócz brata bliźniaka nikt nie może pamiętać tyle i tak dobrze jak człowiek, który uczył Patryka. Mnóstwo drobnych szczegółów znanych Peckowi, których nie znałaby nawet matka Patryka. Spotkanie przebiegło jednak pomyślnie. Nancy pocałowała go w oba policzki i powiedziała:

- Kochany, bardzo wyrosłeś i spoważniałeś.

- Patryk był zawsze poważny - rzekł pastor i uścisnęli sobie dłonie.

Przyjrzał się Bratowi z uwagą, ale nie baczniej, niż zrobiłby to człowiek przyglądający się dawnemu uczniowi po dziesięciu latach. A Brat, który nie czuł sympatii do kleru, stwierdził, że lubi pastora. Miał się przed nim nadal na baczności, ale nie z powodu uprzedzeń, tylko dlatego, że znał on Pata Ashby, a jego oczy, osadzone w małpiej twarzy, były inteligentne i przenikliwe.

Myśląc o tej inteligencji, Brat z zadowoleniem stwierdzał, że został specjalnie dobrze poinformowany przez Lodinga w sprawie nauki Pata Ashby. Pastor był szwagrem Aleka, który przyglądał się, jak mówił, „z pierwszej ławki”, edukacji bliźniaków.

Siostra Aleka była najpiękniejszą kobietą, jaką Brat w życiu widział. Nigdy nie słyszał o słynnej Nancy Ledingham, lecz Alec dużo mu o niej opowiadał. „Mogła wyjść praktycznie za każdego. Każdy mężczyzna byłby zachwycony, gdyby mógł choćby na nią patrzeć. Ale ona musiała wybrać George'a Pecka”. Pokazał Bratowi Nancy we wszelkich możliwych strojach: od kostiumu kąpielowego do sukni uszytej na



prezentację u dworu, lecz żadna z fotografii nie oddawała jej pogodnej piękności, promiennej urody, ogólnego wdzięku.

Brat czuł, że George Peck musi być mężczyzną na poziomie, jeśli Nancy za niego wyszła.

- Czy to z małym Tosellim miałaś lekcję jazdy? - spytała Nancy Eleanor. - Z tym dziwacznym stworem, z którym widziałam cię dziś po południu?

- Tak, to był Tony - odrzekła Eleanor.

- Jakżeż on mi przypomina czasy mojej młodości!

- Tony? W jaki sposób?

- Ty tego nie pamiętasz, ale istniały kiedyś pułki kawalerii. Każdy z tych pułków miał zespół popisujących się na koniach. A każdy z zespołów miał swojego „komedianta”. Taki „komediant” wyglądał właśnie jak Tony.

- Tak! Tak! - powiedziała z zachwytem Bee. - I on mi to przypomniał, kiedy go dziś zobaczyłam, tylko sobie tego wtedy nie uświadamiałam. Ten niezwykły strój, ni w pięć ni w dziewięć. Każda część od sasa do lasa.

- Może dziwisz się, dlaczego w ogóle go dziś zabrałam - zauważyła Eleanor. - Po Sheili Parslow jest on prawdziwym odpoczynkiem. Będzie kiedyś zupełnie dobrze jeździł.

- Przyszłemu miłośnikowi koni wszystko się wybacza, prawda? - wtrącił z lekkim szyderstwem pastor.

- Czy ta Parslow nie robi postępów? - spytał Simon.

- Nigdy nie będzie robiła. Ślizga się na siodle jak kawałek lodu po talerzu. Chce mi się płakać nad koniem przez cały czas, gdy jeździmy. Na szczęście Żuraw jest nie do zdarcia i właściwie nic nie czuje.

Przejście z jadalni do salonu zmieniło nastrój. Rozmowa przestała płynąć wartkim potokiem, zmieniła się w ciekące bez celu strużki. Brat poczuł się nagle tak zmęczony, że ledwie mógł ustać. Miał nadzieję, że nikt teraz niczym go nagle nie zaskoczy; jego zwykle mocna głowa zrobiła się ciężka od wina, do którego nie był przyzwyczajony, a myśli kłębiły się i mieszały. Bliźniaczki powiedziały dobranoc i poszły na górę. Bee nalala kawę przygotowaną na niskim stoliku przy kominku. Kawa nie była tak gorąca, jak powinna być. Bee

robiła rozpaczliwe miny do Nancy.

- Lana, co? - spytała współczująco Nancy.

- Tak. Przypuszczam, że spieszyła się na randkę z Arturem i nie mogła poczekać dziesięciu minut dłużej.

Simon także nie miał ochoty na rozmowy, jakby dotychczasowy wysiłek okazał się nagle bezużyteczny. Jedyne Eleanor przeniosła z jadalni serdeczność i radość, które sprawiły, że kolacja tak się udała. W chwilach milczenia pomiędzy niezręcznymi próbami nawiązania rozmowy słychać było cichy szum deszczu za wysokimi oknami.

- Miałaś rację co do pogody, ciociu Bee - powiedziała Eleanor. - Ciocia przepowiedziała dzisiaj rano deszcz przed wieczorem, bo ranek był zbyt piękny.

- Bee ma zawsze rację - stwierdził pastor, rzucając jej spojrzenie - półśmiech, półbłogosławieństwo.

- To brzmi okropnie - stwierdziła Bee.

Siedzieli dość długo przy kawie, po czym Nancy powiedziała:

- To był męczący dzień dla Brata, Bee. Sądzę, że wszyscy jesteście zmęczeni. Pożegnamy się już, ale ty musisz nas odwiedzić, kiedy nie będziesz już obłożony, Brat.

Simon przyniósł jej okrycie i wszyscy wyszli do drzwi, aby pożegnać gości. Nancy zdjęła tam wieczorowe pantofle, wsadziła je pod pachę i włożyła kalosze pozostawione za drzwiami. Potem wsunęła drugą rękę pod ramię męża, przytuliła się do niego pod ich jedynym parasolem i wyszła z nim w ciemny ogród.

- Pocziwa Nancy - powiedział Simon. - Ledingha- mowie są niepobici. - Mówił tak, jakby był pijany.

- Kochana Nan - wyrzekła cicho Bee. Przeszła do salonu i obrzuciła pokój obojętnym wzrokiem. - Uważam, że ona ma rację. Już czas, żebyśmy się położyli. Był to dla wszystkich dzień pełen emocji.

- Nie chcemy chyba, żeby się już skończył? - wtrąciła Eleanor.

- Masz jutro o wpół do dziesiątej lekcję z Parslow - przypomniał jej Simon. - Widziałem zapis w dzienniku.

- A co ty robiłeś z dziennikiem jзд?

- Lubię sprawdzić, czy nie oszukujesz z podatkiem dochodowym.

- Tak, chodźmy spać - powiedziała Eleanor z szerokim, radosnym ziewnięciem. - To był cudowny dzień.

Odwróciła się do Brata, żeby powiedzieć dobranoc, lecz nagle onieśmielona podała mu rękę ze słowami:

- Dobranoc, Brat. Śpij dobrze - i weszła na schody.

Brat odwrócił się do Bee, ale ona powiedziała:

- Wchodząc na górę zjrzyj do ciebie.

Zwrócił się do Simona.

- Dobranoc, Simon. - Napotkał wpatrzony w siebie jasne, zimne oczy.

- Dobranoc ... Patryku - odpowiedział Simon, jakby trochę rozbawiony. Udało mu się powiedzieć to tak, że imię zabrzmiało prowokacyjnie.

- Nie idziesz na górę? - usłyszał Brat wchodząc na schody; pytanie Bee skierowane było do Simona.

- Jeszcze nie.

- Może pogasisz światła, dobrze? I sprawdź, czy drzwi zamknięte.

- Tak, oczywiście, zrobię to. Dobranoc, kochana Bee.

Brat wchodząc na podest zobaczył, że Bee obejmuje ramieniem Simona. Poczul ukłucie palącej rozpaczliwej zazdrości, które nim wstrząsnęło. Cóż to ma z nim wspólnego?

Po chwili Bee weszła jego śladem do dawnej dziecinnej sypialni. Popatrzyła doświadczoneym okiem na łóżko i powiedziała:

- Ta kretyńska obiecała włożyć ci do łóżka butelkę z gorącą wodą i zapomniała to zrobić.

- Nie martw się - rzekł Brat. - Wyjąłbym ją od razu. Nie używam butelek.

- Uważasz nas pewnie za bandę wygodnisiów.

- Uważam, że jesteście bardzo miłą bandą - odpowiedział.

Popatrzyła na niego z uśmiechem.

- Jesteś zmęczony?

- Tak.

- Zbyt zmęczony, żeby zjeść śniadanie o wpół do dziesiątej?

- To dla mnie nieprzyzwoicie późno.

- Czy lubiłeś twarde życie, Brat?

- Oczywiście.

- Uważam, że i ty jesteś miły - powiedziała i pocałowała go lekko. - Szkoda, że tak długo przebywałeś z dala od nas, ale cieszymy się, że znów cię mamy. Dobranoc, mój drogi. - I wychodząc dodała: - Nie ma oczywiście sensu dzwonić, bo nikt na to nie zareaguje. Ale gdyby ci przyszła nagła ochota na smażone krewetki albo na wodę z lodu, albo chciałbyś dostać egzemplarz „Podróży pielgrzyma” czy coś innego jeszcze, przyjdź do mego pokoju. Wciąż ten sam na prawo, od frontu.

- Dobranoc - odpowiedział.

Stała chwilę za drzwiami, z ręką na klamce, a potem skierowała się do pokoju Eleanor. Zapukała i weszła. Od roku mniej więcej Eleanor stanowiła dla niej wielką pociechę. Tak długo zdana była na siebie w konieczności wydawania sądów i podejmowania decyzji, że potrzebny był jej ktoś podobnego pokroju; ktoś obdarzony trzeźwym, zdrowym rozsądkiem Eleanor.

- Halo, Bee - powiedziała Eleanor patrząc na nią poprzez włosy, które rozczesywała. Zaczynała, tak jak Simon, opuszczać słowo „ciociu”.

Bee opadła na krzesło.

- No, skończyło się.

- Wszystko się udało - odrzekła Eleanor. - Simon zachowywał się wspaniale. Biedny Simon.

- Tak. Biedny Simon.

- Może Brat... Patryk zaproponuje mu jakąś spółkę. Nie sądzisz? Ostatecznie Simon pomógł założyć stajnię. Byłoby nieprzyzwoicie przyjść i zagarnąć wszystko, przez całe lata nie okazując żadnego zainteresowania tym majątkiem.

- Tak. Sama nie wiem. Mam nadzieję, że on tak właśnie postąpi.

- Robisz wrażenie zmęczonej.

- Chyba wszyscy jesteśmy zmęczeni.

- Wiesz, Bee, muszę ci wyznać, że najtrudniej mi skojarzyć tych dwóch.

- Tych dwóch? Simona i Patryka?

- Nie. Patryka i Brata.

Na chwilę zaległo milczenie. Wypełniał je cichy szum deszczu i szelest szczotki, którą Eleanor rozczesywała włosy.

- Chcesz powiedzieć, że... że to nie jest Patryk?

Eleanor przerwała szczotkowanie włosów i spojrzała ze zdziwieniem na ciotkę.

- Oczywiście, że to jest Patryk. A kim innym mógłby być? - Odłożyła szczotkę i zaczęła związywać włosy niebieską wstążką. - Tylko ja po prostu zupełnie nie czuję, że go kiedyś znałam. To dziwne, co? Kiedy się spędziło blisko dwanaście lat razem. Lubię go, a ty?

- Ja go też lubię - odpowiedziała Bee. I ona doznawała podobnego uczucia, że go nigdy nie znała, i ona nie wiedziała, kim innym mógłby być.

- Czy Patryk nieczęsto się uśmiechał?

- Nie. Był poważnym dzieckiem.

- Kiedy Brat się uśmiecha, chce mi się płakać.

- Boże drogi, Eleanor.

- Możesz sobie mówić „Boże drogi”, ale spodziewam się, że mnie rozumiesz.

Bee pomyślała, że rozumie.

- Czy powiedział ci, dlaczego nie pisał do nas przez te wszystkie lata?

- Nie. Nie było wiele okazji do zwierzeń.

- Myślałam, że może spytałaś go, kiedy poszłicie i razem na padoki dziś wieczorem.

- Nie. Zanadto interesował się końmi.

- Jak myślisz, dlaczego nie interesował się nami po swoim wyjeździe?

- Może „mierziliśmy” go, jak mawiała niania. To mniej dziwne, niż fakt, że w ogóle uciekł. Chęć odcięcia się od Latchetts musiała być bardzo silna.

- Tak. Przypuszczam. On był taki miły. Tak nas wszystkich kochał. Mógł nie wracać, ale dziwne, że nam nie dał znać, co się z nim dzieje.

Ponieważ Bee sama nie umiała sobie na to odpowiedzieć,

nie mogła też pomóc Eleanor.

- Ten powrót musiał być dla niego trudny - mówiła Eleanor rozczesując włosy. - Dziś wieczorem wyglądał na tak zmęczonego, jakby był nieżywy. W ogóle nie jest to bardzo ożywiona twarz. Gdyby ją odciąć, zrobić z niej maskę i powiesić na ścianie, nie byłoby wielkiej różnicy.

Bee знаła na tyle Eleanor i na tyle się z nią zgadzała, że rozumiała właściwie jej słowa.

- Nie sądzisz, że zechce znów się usunąć, gdy minie podniecenie spowodowane jego powrotem?

- Nie, na pewno nie.

- Myślisz, że wrócił na dobre?

- Oczywiście.

Brat stojąc w ciemności w otwartym oknie pokoju i wpatrując się w półkole łąki w wilgotnym blasku gwiazd myślał o tym samym. Rzecz udała się, przekraczając najbardziej szalone obietnice Lodginga, i co teraz?

Do czego dojdzie? Jak prędko Simon oskarży go o oszustwo? A jeśli mu się to nie uda, jak długo on potrafi prowadzić życie, które będzie przypominało chodzenie po zaminowanym polu?

O tym powinien był przecież pomyśleć. Lecz jakoś się nad tym nie zastanawiał. W gruncie rzeczy nie wierzył, że mu się uda. A teraz, gdy się udało, czuł się jak ktoś, kto wdrapał się na wieżę i nie umie z niej zejść. Pijany powodzeniem, ale przerażony.

Odwrócił się od okna i zapalił lampę. Jego gospodyni w Pimlico mawiała, że „czuje się tak zmęczona, jakby ją przepuszczono przez magiel”. Zrozumiał teraz, jakie to trafne określenie. Tak właśnie i on się czuł. Wyciśnięty i pusty. Tak słaby, że z trudem mógł się rozebrać. Zdjął ładne nowe ubranie - ubranie, które budziło w nim takie poczucie winy w Londynie - i zmusił się do powieszenia go. Zrzucił z siebie bieliznę i z trudem włożył starą, wypłowiałą piżamę. Przez chwilę zastanawiał się, czy wezmą mu za złe, jeśli deszcz popłami dywan, ale postanowił zaryzykować. Zostawił okno otwarte i położył się do łóżka.

Leżał dłuższy czas słuchając cichego szumu deszczu i wpatrując się w pokój. Oto odpowiednia chwila, aby duch Pata Ashby wszedł i zmroził atmosferę pokoju. Czekał na ducha, lecz duch się nie zjawił. Postacie na tapecie, postacie, które towarzyszyły tamtym dzieciom w okresie ich dorastania, wydawały się przyjacielskie i żywe. Odwrócił głowę, żeby przyjrzeć się grupie najbliższej łóżka, Chciał zobaczyć tego, którego uwielbiała Eleanor. Tego o zdecydowanym profilu. Ciekaw był, czy Eleanor jest w kimś zakochana.

Wzrok jego przesunął się po drewnianym łóżku. Brat przypomniał sobie, że to łóżko Aleka Lodinga, i znów ironia tego faktu sprawiła mu zadowolenie. Było w tym coś dziwnie słusznego, że przyjechał do Latchetts poto, żeby spać w łóżku Aleka Lodinga. Musi mu o tym kiedyś powiedzieć. Taką rzecz Loding potrafi docenić.

Zastanawiał się, czy to Eleanor, czy Bee postawiła mu wazon z kwiatami. Kwiaty, by powitać go - w domu.

Latchetts, mówił sobie patrząc na pokój. To jest Latchetts. Jestem tutaj. To jest Latchetts.

Dźwięk tego słowa działał nasennie; jak bujanie się w hamaku. Wyciągnął rękę i zgasił światło. W ciemności plusk deszczu wydał się nagle głośniejszy.

Przypomniał mu się ranek, kiedy wstał i ubrał się w tamtym pokoju na poddaszu, patrząc na las kominów za oknem. A teraz jest tutaj, będzie spał w Latchetts, w miłym, chłodnym zapachu trawy wpływającym z wilgotnym powietrzem przez okno.

W miarę jak ogarniał go sen, doznawał dziwnego uczucia pokrzepienia. Uczucia, że Pat Ashby nie ma mu za złe tego, że jest tutaj; że, przeciwnie, jest zadowolony.

Nieprawdopodobieństwo tego rozbudziło go trochę i myśli jego biegnąc od aprobaty do dezaprobaty dotarły do Bee. Co to było za uczucie, którego doznał, kiedy wzięła go za rękę i poprowadziła na ten wywiad dziś po południu? Czym różnił się uścisk jej dłoni od tysięcy innych w jego życiu? Dlaczego poczuł ciepło w sercu, czym się wzruszył? Tę samą dziwną przyjemność odczuł, kiedy Bee wzięła go pod rękę w drodze do stajni. Czy to coś nadzwyczajnego, że kobieta bierze cię pod

rękę? W dodatku kobieta, w której się niekochasz i nie będziesz się kochał.

To dlatego oczywiście, że jest jednak kobietą, ale zastanawiało go jeszcze coś innego - że przyjęła go bez zastrzeżeń. Nikt inny nie ujął jego ręki w taki sposób. Obojętnie, ale... nie, nie zaborczo. Niemal kobiet odnosiło się do niego zaborczo i nie dawało mu to wcale zadowolenia. Obojętnie, ale... jak? Rodzinnie. To miało coś wspólnego z przynależnością do rodziny. Ręka przyjęła go bez zastrzeżeń, bo przynależał do tego domu. Była to odruchowa życzliwość kobiety w stosunku do członka własnej rodziny. Czy ten banalny gest wydał mu się błogosławieństwem dlatego, że nigdy dotąd nie znalazł swego miejsca?

Usypiał myśląc o Bee. O jej spojrzeniu spod oka, gdy się nad czymś zastanawiała; o jej odwadze; o tym, jak zdobyła się na odwiedzenie go w pokoju w Pimlico; o tym, jak go pocałowała, zanim zyskała pewność, po prostu na wypadek jeśli jest rzeczywiście Patrykiem; o tym, jak zachowała się po jego przyjeździe w chwilach napięcia z powodu nieobecności Simona.

To miła kobieta ta Beatrice Ashby, kocha ją.

Już prawie usypiał, kiedy nagle zerwał się zupełnie rozbudzony.

Coś mu się przypomniało.

Wiedział już, kogo przypomina Simon Ashby.

Kłoca.

## Rozdział XVII

W środę rano Bee zabrała Brata, żeby razem z nim odwiedzić dzierżawców trzech folwarków: Frenchland, Upacres i Wigsell.

- Do Gatesa zajedziemy na końcu, tylko dowiedzieć się, co tam słychać - powiedziała.

Gates był najmniej ważny, bo Wigsell był najmniejszym z trzech folwarków. Położony na zboczu na północ od wsi, tuż



za probostwem, był początkowo rodzinną siedzibą właścicieli Latchetts. Był to folwark zbyt mały, aby można się na nim utrzymać, ale Gates miał we wsi sklep rzeźnicki otwarty dwa razy w tygodniu, co go uniezależniało od dochodów z Wigsell.

- Umiesz prowadzić, Brat? - spytała Bee, kiedy mieli wsiadać do samochodu.

- Tak, ale wolałbym, żebyś ty prowadziła, ciociu. Znasz lepiej - o mało nie powiedział „drogę” - samochód.

- Miło z twojej strony, że nazywasz go samochodem. Pewnie jesteś przyzwyczajony do kierownicy po lewej stronie.

- Tak.

- Żałuję, że musimy jechać „pluskwą”. Szczęśliwie nasz samochód nieczęsto się psuje. Jameson wyjął całe jego wnętrze na podłogę w garażu i w milczącej furii przeprowadza sekcję zwłok.

- Podoba mi się „pluskwa”. Przyjechałem nią wczoraj ze stacji.

- Tak. Jak to wydaje się dawno. Tobie też?

- Tak. - Wydawało mu się, że upłynęło od tej pory wiele lat.

- Wiesz już, że niebezpieczeństwo artykułu w „Clarionie” zostało zażegnane? - spytała, gdy jechali aleją przy akompaniamencie warkotu silnika „pluskwy”, przypominającym turkot maszyny do szycia.

- Nie?

- Nie czytujesz prasy przy śniadaniu? - spytała Bee, która jadła śniadanie o ósmej.

- Nigdzie tam, gdzie mieszkałem, nie było gazet do czytania przy śniadaniu. Włączaliśmy po prostu radio.

- No, tak, zapomniałam, że wasze pokolenie nie potrzebuje czytać.

- W jaki sposób zostaliśmy wybawieni?

- Uratowało nas troje ludzi, o których nigdy nie słyszeliśmy i których prawdopodobnie nigdy nie poznamy. Czwarta żona dentysty z Manchesteru, mąż aktorki pantomimicznej i właściciel czarnego skórzanego kufra. - Nacisnęła klakson i skręciła wolno z alei w prawo. - Facet zostawił kufer na Charing Cross, a w środku były czyjeś nogi i ręce. Może były to

ręce i nogi właściciela. Ta sprawa, jak się spodziewam, zajmie na pewien czas „Clariona”. Mąż aktorki wystąpił do sądu z powodu oziębłości partnerki; to też bardzo ładny temat dla „Clariona”. Ponieważ sprawozdania z procesów rozwodowych są ostatnio niemodne, „Clarion” przeżywał kryzys i proces z powodu oziębłości żony jest darem niebios. Zwłaszcza gdy chodzi o uczucia Tattie Thackers. - Rozejrzała się z zadowoleniem dokoła. - Lubię ranek po deszczu.

- Jeszcze o jednym nie było mowy.

- O czym?

- O czwartej żonie dentysty z Manchesteru.

- A, tak. Ta biedaczka została ekshumowana z bardzo kosztownego i kunsztownego grobowca i okazało się, że jest nafaszerowana arsenikiem. A jej mąż zniknął.

- I uważasz, że „Clarion” będzie zbyt zajęty, żeby zajmować się nami?

- Jestem tego pewna. Nie mają miejsca nawet na to, co chcą wypisywać o Tattie. Dziś rano poświęcili jej całe dwie kolumny. Jeśli w ogóle zechcą zainteresować się rodziną Ashbych, umieszczą małą notatkę u dołu strony, a pięć milionów ludzi przeczyta ją i po dwóch minutach nie będzie potrafiło powtórzyć, co zawierała. Myślę, że jesteśmy zupełnie bezpieczni. „Westover Times” da w porannym wydaniu notatkę, jak zwykle bardzo dyskretną, i na tym sprawa się zakończy.

No, następna przeszkoda usunięta z drogi. Na razie musi się przygotować na wizyty w Frenchland i Upacres. Tamtych ludzi powinien znać.

W Frenchland gospodarowali wysoki, rumiany mężczyzna i jego wysoka, blada siostra. „Wszyscy boją się panny Hassell - powiedział mu Loding. Ma twarz czarownicy i złośliwy język. Może nie rozmawiać. Wystarczy, że zrobi jedną uwagę, i już dotknie człowieka do żywego”.

- To zaszczyt dla nas - powiedział stary pan Hassell podchodząc do furki i spostrzegając, kogo przywiozła Bee. - Cieszę się, że pana widzę, panie Patryku. Naprawdę się cieszę.

- Ujął rękę Brata w sękatą starczą dłoń i przycisnął ją drugą

dłonią. Nie było wątpliwości, że z zadowoleniem ogląda znów Patryka Ashby.

Trudno się było natomiast zorientować, czy panna Hassell jest zadowolona, czy nie. Popatrzyła na Brata, gdy podali sobie ręce, i powiedziała:

- Co za niespodziewana przyjemność. - Banalne zdanie wypowiedziane oschłym tonem i jego złośliwa trafność ubawiły Brata. - Obce kraje nie bardzo pana zmieniły - powiedziała rozstawiając szklanki w zagraconym saloniku.

- Zmieniłem się pod jednym względem - odrzekł Brat.

- Zmienił się pan? - Nie zamierzała sprawić mu satysfakcji pytaniem, pod jakim względem się zmienił.

- Już się pani nie boję.

Stary pan Hassell roześmiał się.

- Tu mnie pobiełeś, synu. Ja wciąż piekielnie się jej boję. Jeśli się spóźnię pół godziny z targu, skradam się jak złodziej.

Panna Hassell nie odpowiedziała, ale Brat dojrzał w jej wzroku jakieś nowe zainteresowanie, jakby się jej spodobał. Wyszła i przyniosła z kuchni trochę kruchych ciastek, których najwyraźniej nie miała przedtem zamiaru podawać.

Pili białe porto i rozmawiali o kurach karmazynach.

W Upacres zastali tylko pulchną panią Docket, zajętą ubijaniem masła w mleczarni na tyłach domu.

- Proszę wejść, kto tam!? - zawołała, więc przez otwarte frontowe drzwi weszli w chłodny, wykładany kafelkami korytarz i skręcili do zimnej mleczarni.

- Nie mogę przerwać ubijania - powiedziała patrząc na nich.

- Masło już prawie... O Boże, nie wiedziałam! Myślałam, że to po prostu ktoś z sąsiadów. Dzieci są w szkole, a Carrie w stajni i... Boże, pomyśleć tylko!

Bee machinalnie zajęła miejsce przy maślnicy, gdy pani Docket witała się z Bratem.

- No, no - mówiła dobroduszna tłuścioszka - typowy przystojny Ashby. Podobny pan teraz bardziej do Simona niż przedtem.

Brat spostrzegł, że Bee okazała zainteresowanie tą uwagą.

- To szczęśliwy dzień dla nas wszystkich, proszę pani.

Trudno wprost uwierzyć. Powiedziałam niedawno do Joego: „Nie wierzę w to. Takie rzeczy zdarzają się w książkach, w kinie, w teatrze. Ale nie spokojnym ludziom w tak spokojnym miejscu jak Clare”, powiedziałam. A jednak pan jest i naprawdę się to zdarzyło. Panie Patryku, bardzo miło widzieć pana w tak dobrym zdrowiu.

- Czy mogę trochę pouijać? - spytał Brat wskazując maślnicę. - Nigdy nie miałem z czymś takim do czynienia.

- Naturalnie, że pan może - odpowiedziała pani Docket zaskoczona. - Przychodził pan tu przecież specjalnie w sobotnie ranki, aby ubijać masło.

Serce zamarło Bratowi na chwilę.

- Przychodziłem? - spytał. - Zapomniałem o tym.

Mów zawsze szczerze, że nie pamiętasz, radził mu

Loding. Nikt nie może zakwestionować tego, że nie pamiętasz, ale z pewnością rzucą się na ciebie, jeśli będziesz próbował coś udawać.

- Myślałam, że robicie to teraz za pomocą elektryczności - usłyszał słowa Bee, kiedy ustępowała mu miejsca przy maślnicy.

- Wszystko inne robimy za pomocą elektryczności, oczywiście - odpowiedziała pani Docket. - Ale nie wierzę, że da się w ten sposób zrobić dobre masło. Nie ma smaku domowego masła tak jak i to, które kupuje się w sklepie w Westover. Czasem, kiedy się spieszę, włączam prąd, ale zawsze potem tego żałuję. To okropnie mechaniczne. Nie wymaga żadnej zręczności.

Pili mocną gorącą herbatę, jedli pulchne posypane mąką bułeczki i rozmawiali o nauce dzieci.

- Pocziwa pani Docket - powiedziała Bee, gdy już stamtąd wyjechali. - W głębi duszy uważa, że elektryczność to diabelski wynalazek.

Brat pogrążony w myślach postanowił, że musi zaprzestać spontanicznych uwag. Ta o maślnicy nie miała znaczenia, ale bardzo łatwo można się potknąć na czymś istotnym. Musi być mniej gadatliwy.

- Pomyślmy o piątku, Brat - powiedziała Bee, kiedy

zawrócili do Clare i do Wigsell.

- A co jest w piątek? - spytał otrząsając się ze swoich myśli.

Bee rozejrzała się i uśmiechnęła do niego.

- Twoje urodziny - odrzekła.

Oczywiście. Miał teraz prawo do urodzin.

- Zapomniałeś, że w piątek skończysz dwadzieścia jeden lat?  
- spytała.

- Prawie zapomniałem. - Uchwycił jej spojrzenie rzucone kątem oka.

Po chwili powiedziała:

- Stałeś się dorosły już dawno, prawda? - Wyrzekła te słowa bez uśmiechu i nie w formie pytania. - A co do piątku - ciągnęła - to myślałam, że ponieważ odłożyliśmy uroczystość ze względu na stryja Charlesa, nie urządzimy w piątek przyjęcia dla gości. Pan Sandał przyjedzie z dokumentami, które musisz podpisać, więc zostanie na lunchu, będziemy w ściśle rodzinnym gronie.

Dokumenty do podpisania. Tak, wiedział, że prędzej czy później trzeba będzie coś podpisywać. Nauczył się nawet dużych liter charakterem pisma Patryka, dzięki staremu zeszytowi, który Loding znalazł gdzieś na probostwie i zwędził. Ostatecznie podpisanie jakiegoś papierka nie zrobi z niego większego łajdaka, niż jest nim w tej chwili. Umocni go tylko prawnie, uczyni sprawę nieodwołalną.

- Chciałbyś, żeby się to tak odbyło?

- Co? A, to pełnolecie. Tak, oczywiście. Nie chcę przyjęcia. Nie chcę uroczystości, jeśli o to chodzi. Czy nie możemy po prostu przyjąć faktu dorosłości jako rzeczy naturalnej?

- Sąsiedzi nie byliby zadowoleni, gdybyśmy tak zrobili. Cieszą się wszyscy na przyjęcie. Myślę, że musimy je urządzić. Zaproszenia są już nawet gotowe. Zmieniłam datę na późniejszą - w dwa tygodnie po przyjeździe Charlesa. Powinien tu być za dwadzieścia trzy dni. Będiesz więc musiał to „ścierpieć”, jak mówiła niania.

Tak, będzie musiał to ściierpieć. Teraz jednak może usiąść wygodnie i odetchnąć. Rodziny Gatesów mógł nie znać.

Zbliźali się znowu do wsi; po lewej ręce mieli białe płoty

południowych padoków. Ranek, jasny i wilgotny po deszczu, był niepokojąco pogodny. Niebo miało barwę metaliczną, a słoneczny blask jakąś srebrzystą ostrość.

Kiedy mijali bramę prowadzącą na probostwo, Bee powiedziała:

- Alec Loding przyjechał niedawno na weekend.

- Tak? Co on teraz robi?

- Nadal gra marne role w marnych komedijkach i farsach. Wiesz: cztery postacie, pięcioro drzwi i łóżko. Nie widziałam go, ale Nancy mówiła, że się poprawił.

- W jaki sposób?

- Bardziej się interesuje innymi ludźmi. Jest zyczliwszy. Usiłował nawet nawiązać stosunki z George'em.

Nancy uważa, że to przychodzi z wiekiem. Czuł się zupełnie zadowolony siedząc godzinami z książką w gabinecie George'a, kiedy George wyszedł. A gdy był w domu, gawędzili w całkiem przyjacielskim nastroju. Nancy była zachwycona. Zawsze bardzo kochała Aleka, ale obawiała się jego wizyt. Wieś go nudziła, a George jeszcze więcej, i nigdy nie zadawał sobie trudu, żeby to ukryć. Jest to więc miła zmiana.

W połowie drogi przez wieś skręcili w dróżkę prowadzącą do Wigsell.

- Nie pamiętasz pewnie Emmy Vilder? - spytała Bee. - Wychowała się w Wigsell i wyszła za Gatesa, który gospodarował wtedy u siebie po tamtej stronie Bures. Kiedy umarł jej ojciec, Gates zostawił na swojej fermie rządcę, a sam przejął Wigsell. I oczywiście sklep rzeźnicki. Są więc całkiem zamożni. Syn nie mógł zgodzić się z ojcem, więc znalazł sobie pracę jako mechanik w którymś z hrabstw centralnych. Ale córka mieszka w domu i jest oczkiem w głowie ojca. Uczyła się w drogiej szkole z internatem, gdzie, o ile wiem, kazała się nazywać Margot. Na imię ma Peggy.

Skręcili w bramę folwarku i zatrzymali się na podwórzu wybrukowanym drobnymi kamykami. Dwa psy rzuciły się ku nim z wściekłym ujadaniem, manifestując własną ważność i oznajmiając głośno ich przyjazd całemu światu.

- Gates powinien wytresować swoje psy - powiedziała Bee,

której psy były równie dobrze wyszkolone jak konie.

Hałas przywołał do drzwi frontowych panią Gates. Była to zwiędła, cicha kobietka ze śladami dużej urody.

- Glen! Joy! Leżeć! - zawołała, co nie dało żadnego rezultatu, i podeszła, by przywitać gości. - Lecz zanim zdążyła to zrobić, wyszedł zza domu Gates i w paru szybkich krokach wyprzedził ją. Jego pompatyczne powitanie zagłuszyło szczere słowa żony, która uśmiechała się miło do Brata, podczas gdy jej mąż tubalnym głosem wyrażał radość z tego, że widzi znów w ich progach Patryka Ashby.

Gates był tegim mężczyzną o wyglądzie pospolitym, ale Brat przypuszczał, że musiał mieć kiedyś młodzieńczą energię i rozmach, które podobają się ładnym, delikatnym kobietkom jak Emmy Vilder.

- Słyszałem, że pan zrobił pieniądze na koniach - powiedział do Brata.

- Utrzymałem się z tego - powiedział Brat.

- Proszę przyjść zobaczyć, co ja mam u siebie w stajni. - Ruszył przodem za dom.

- Ależ, Harry, może państwo wejdą do domu i usiądą na chwilę - zaprotestowała jego żona.

- Usiądą później. Na pewno będą woleli popatrzeć na porządnego konia niż na twoje ozdóbki. Proszę, panie Patryku. Proszę panią. Alfred! - zawołał, gdy wyszli na podwórze. - Wyprowadź tego nowego konia, żeby go panna Ashby obejrzała.

Pani Gates, idąca wolno za nimi, znalazła się obok Brata.

- Tak się cieszę - powiedziała spokojnie. - Tak się cieszę, że pan wrócił. Pamiętam pana jako małego chłopczyka, mieszkałam tu wtedy z ojcem. Poza moim synem nie kochałam nigdy żadnego dziecka tak jak pana.

- No, panie Patryku, niech pan popatrzy na tego tu, niech pan popatrzy! I niech pan powie, czy nie jest wspaniały!

Gates wskaże.' szerokim ruchem wrota stajni, skąd Alfred wyprowadzał gniadego konia, który wydawał się dziwnie nie na miejscu na małym farmerskim podwórku, nawet w okolicy, gdzie każdy skromny farmer miał wierzchowca do jazdy zimą.

Trudno było zaprzeczyć, że gniadosz jest wyjątkowo piękny.

- No, co państwo o nim myślą? Co państwo myślą?

Bee spojrzała na konia i powiedziała:

- Ależ to ten koń, na którym Dick Pope wygrał w zeszłym roku bieg z przeszkodami na pokazie w Bath.

- Ten sam - odrzekł zadowolony z siebie Gates. -

I nie tylko bieg z przeszkodami. Zdobył na pokazie puchar dla najlepszego konia wierzchowego. Kosztował mnie ładne parę groszy, to prawda, ale mogę sobie na to pozwolić, a dla mojej córki nie pożałuję niczego. Tak! Kupiłem go dla Peggy. Nie ja będę na nim jeździł. - Wybuchnął nagle śmiechem; przynajmniej Brat uznał to za śmiech. - Moja córka, lekka jak piórko, dobrze siedzi w siodle. Pani tego nie muszę mówić, widziała ją pani. Nikt w całym hrabstwie nie zasługuje bardziej na dobrego konia niż moja Peggy i nie żałuję wydanych na to pieniędzy.

- Kupił pan z pewnością dobrego konia - powiedziała Bee z entuzjazmem, który zdziwił Brata. Popatrzył na nią i zadał sobie pytanie, z czego jest taka zadowolona. Ostatecznie ten gniadosz to potencjalny rywal Kloca i wszystkich innych wierzchowców w Latchetts.

- Kupując go wziąłem świadectwo zdrowia oczywiście. Nie kupuję kota w worku.

- Czy Peggy zaprezentuje go na pokazie w tym roku?

- Pewnie, pewnie, że zaprezentuje. A po co bym go kupował?

Bee promieniała.

- Jak to ładnie - powiedziała rozanielonym tonem.

- Podoba się pani ten koń? - spytała Peggy Gates wylaniając się u boku Brata.

Peggy była bardzo ładnym stworzonkiem. Białoróżowozłoty. Brat pomyślał, że gdyby można było skrzyżować pannę Parslow z Eleanor, rezultatem tej krzyżówki byłaby chyba Peggy Gates. W czasie prezentacji zachowywała się powściągliwie, ale starała się stworzyć wrażenie, że jest osobiście uradowana z jego powrotu do domu. Jej mała rączka uściśnęła lekko jego dłoń w sposób raczej osobisty niż przyjacielski. Brat potrząsnął nią mocno i powstrzymał



pokusę otarcia ręki o spodnie.

Peggy przyjęła gratulacje Bee z powodu posiadania tak pięknego konia i po pewnym czasie, przeznaczonym na podziwianie go, okazując doskonale wyrobienie towarzyskie, skierowała wszystkich z podwórza do domu do pokoju umeblowanego jak salon, ale Bee pamiętająca go jako salonik starej pani Vilder, pomyślała, że akwarele i tapeta w deseń z gałązek wistarii nie umywają się do polewanych dzbanków i oprawionych rycin z tamtych czasów.

Pili bardzo dobrą ma derę i rozmawiali o wystawie rolniczej w Bures.

Jechali z powrotem do domu, a Bee wyglądała wciąż tak, jakby odziedziczyła fortunę. Uchwyciła badawcze spojrzenie Brata i spytała:

- No i co?

- Wyglądasz, ciociu, jak kot, który dostał śmietankę- odrzekł.

Rzuciła mu ubawione spojrzenie.

- Śmietankę, rybę i wątróbkę - powiedziała. Ale nie wyjaśniła, co to znaczy. - Kiedy skończy się to piątkowe zamieszanie, Brat - powiedziała - musisz pojechać do miasta i sprawić sobie garderobę. Walters będzie szył ci z parę tygodni wieczorowe ubranie, a ty potrzebujesz go na naszą uroczystość.

- Co powinienem kupić? - spytał po raz pierwszy nie wiedząc, co zrobić.

- Na twoim miejscu zostawiłabym sprawę Walter- sowi.

- Wyprawa dla młodego angielskiego dżentelmena - powiedział Brat.

Zerknęła na niego z ukosa, zdziwiona szczególnym tonem jego głosu.

## **Rozdział XVIII**

Eleanor weszła do saloniku, gdzie Bee przeglądała południową pocztę, i powiedziała:

- Unosiła się w siodle!

Bee spojrzała na nią nieprzytomnym wzrokiem, myśli jej zajęte były treścią przeglądanej pocztu.

- Mówię ci, że unosiła się w siodle. Robiła to na przestrzeni pięćdziesięciu jardów, jak dobry jeździec.

- Ta mała Parslow? Winszuję ci, Neli.

- Nigdy nie przypuszczałam, że dożyję takiego dnia. Czy nikt się ze mną nie napije sherry?

- Wypiliśmy z Bratem dziś rano tyle niezwykłych trunków, że wystarczy nam to do końca tygodnia.

- Jak się udało, Brat? - spytała Eleanor nalewając sobie trochę sherry.

- Nie tak źle, jak się spodziewałem - odrzekł Brat patrząc na jej szczupłe palce przestawiające zręcznie szklanki. Ta ręka nie spoczęłaby miękko, ufnie i prowokująco w cudzej dłoni.

- Czy Docket opowiedział wam, w jaki sposób się skaleczył?

- Docket był na jarmarku - odpowiedziała Bee. - Ale pani Docket poczęstowała nas gorącymi maślanymi bułeczkami.

- Pocziwa pani Docket. A co wam dała pani Hassell?

- Kruche ciastka. Z początku nie zamierzała, ale uległa wdziękom Brata. - A więc Bee zauważyła to.

- Nie dziwię się - rzekła Eleanor spoglądając na Brata nad swojej szklanki. - A jak było w Wigsell?

- Pamiętasz gniadosza Dicka Pope'a? Tego, na którym wygrał w zeszłym roku wyścig w Bath?

- Oczywiście, że pamiętam.

- Gates kupił go dla Peggy.

Eleanor przestała saczyć sherry ze szklanki i przez chwilę zastanawiała się w milczeniu nad tym, co usłyszała.

- Dla Peggy na pokaz?

- Tak.

- No, no - wyrzekła wolno Eleanor; wyglądała na ubawioną i zamyśloną. Spojrzała na Bee, napotkała jej wzrok i odwróciła oczy. - No, no - powtórzyła i zaczęła znów popijać sherry. Po chwili, którą wypełnił jedynie szelest przecinanych przez Bee kopert, powiedziała; - Nie wiem, czy to było takie dobre posunięcie.

- Właśnie - odrzekła Bee nie podnosząc wzroku.

- Idę się umyć. Co jest na lunch?

- Gulasz.

- W wykonaniu naszej pani Betts to po prostu potrawka.

Wróciły bliźniaczki z lekcji na probostwie i Simon ze stajni. Zasiedli do lunchu.

Simon tak późno zszedł rano na śniadanie, że Brat zdążył mu dziś powiedzieć tylko dzień dobry. Był miły i swobodny i wypytywał ze szczerym chyba zainteresowaniem, jak udał się ranek. Bee opowiadała, a Brat co pewien czas dorzucał swoje uwagi potwierdzające jej wrażenia. Kiedy doszła w swojej relacji do Wigsell, Eleanor przerwała jej;

- Wiedziałaś, że Gates kupił Peggy nowego konia?

- Nie - odparł Simon nie okazując wielkiego zainteresowania.

- Kupił jej tego gniadosza, na którym jeździł Dick Pope.

- Pioruna?

- Tak. Pioruna. Peggy ma zamiar wystąpić na nim w tym roku na pokazie.

Po raz pierwszy Brat zobaczył, że Simon Ashby się zaczerwienił. Przestał na chwilę jeść, a potem zabrał się znów do lunchu. Rumieniec na jego twarzy zniknął powoli, chłodny, błądy profil przybrał swój zwykły spokój. Eleanor i Bee starały się nie patrzeć na niego, gdy przeżuwał tę wiadomość, ale Ruth obserwowała go z ciekawością.

A Brat, zjadając gulasz zrobiony przez panią Betts, zastanawiał się nad Simonem. Rzekomo kochał się on szalenie w córce Gatesa. Ale czy jest zadowolony, że dostała dobrego konia? Jest wściekły. A co więcej, kobiety w rodzinie wiedziały, że będzie wściekły. Wiedziały z góry, że wkroczenie Peggy jako rywalki na pokazie uzna za rzecz niewybaczalną. Nie pragnęły, co jest zrozumiałe, by romans z córką Gatesa trwał długo lub nabrał poważnego charakteru, i obie zdały sobie od razu sprawę, że posiadanie przez Peggy Pioruna problem ten rozwiąże. Cóż to za człowiek ten Simon Ashby, który nie może znieść myśli, że pokona go ukochana dziewczyna?

Brat przypomniał sobie, jak bardzo ucieszyła się Bee na

widok gniadego konia. I ubawienie Eleanor, gdy się o tym dowiedziała. Zrozumiały od razu, że oznacza to koniec romansu z Peggy. Gates kupił gniadosza, żeby „dorównać” Latchetts, żeby dać córce wierzchowca tak samo dobrego jak konie mężczyzny, którego miał nadzieję dostać za zięcia. A to, co zrobił, odebrało Peggy wszelkie szanse zostania kiedykolwiek panią Latchetts.

Skoro jednak Simon nie był już panem Latchetts, dla Gatesów nie miało znaczenia, czy czuje się obrażony, że Peggy ma takiego konia, czy nie. Ale co to za typ, który nie potrafi tolerować w swojej dziewczynie rywalki?

- Na jakim koniu pojedzie Brat na pokazie w Bures?- usłyszał pytanie Eleanor i znowu skoncentrował uwagę na zgromadzonych przy stole.

- Może jechać na wszystkich - odrzekł Simon. A gdy Eleanor spojrzała pytająco, dodał: - To są jego konie.

Takie zachowanie nie jest w stylu Anglika. Simon musi być bardzo zły, jeśli zapomina o manierach.

- Nie mam zamiaru prezentować żadnych koni, jeśli to macie na myśli - powiedział Brat. - To wymaga techniki, której nie posiadam.

- Jeździłeś przecież bardzo dobrze - rzekła Bee.

- Tak uważasz? Ale to już bardzo dawno temu, I nie mam zupełnie ochoty prezentować żadnych koni na ringu w Bures.

- Ten pokaz odbędzie się dopiero za trzy tygodnie - wtrąciła Eleanor. - Bee mogłaby potrenować cię przez parę dni i jeździłbyś równie dobrze jak dawniej.

Lecz Brat nie dał się namówić. Chętnie by się zmierzył z angielskimi jeźdźcami, szczególnie jeśli chodzi o skoki na koniach z Latchetts - zwłaszcza gdyby wygrał. Ale nie pokaże się publicznie jako Patryk Ashby z Latchetts, jeśli nie będzie to konieczne.

- Brat mógłby wziąć udział w wyścigu - powiedziała Ruth - w wyścigu, którym kończy się pokaz. Pobili by wszystkich na Klocu.

- Kloc nie będzie brał udziału w żadnym zakichanym miejscowym wyścigu, jeśli ja mam coś jeszcze do powiedzenia

- mruknął Simon we własny talerz. - Wystąpi w „Olimpii”, to jest właściwe dla niego miejsce.

- Zgadzam się z tym - powiedział Brat.

Atmosfera odprężyla się. Jane pytała, dlaczego ułamki są pospolite, a Ruth domagała się nowej opony do roweru i rozmowa potoczyła się normalnie jak w każdej rodzinie przy stole.

Zanim skończył się lunch, zjawili się pierwsi goście. A potem napływali wciąż, w czasie kawy po lunchu, w czasie podwieczorku, aż do podania drinków o szóstej. Wszyscy przybyli, żeby zobaczyć Brata, lecz zauważył, że ci, co znali Patryka Ashby, zjawili się ze szczerą radością, chcąc go powitać. Każdy z nich zachował jakieś o nim wspomnienie, o którym opowiadał, a wszyscy mieli jeszcze bardzo świeżo w pamięci Patryka, bo go lubili i boleli nad jego losem. Brat spostrzegł, że odczuwa absurdalne zadowolenie, jakby chwalono jakiegoś jego protegowanego. Światło, w jakim ujrzał tego ranka Simona, sprawiło, że jeszcze bardziej poczuł się orędownikiem Patryka. To nie w porządku, że Latchetts przez te wszystkie lata uważane było za własność Simona. To dziedzictwo Patryka i bardzo źle się stało, że go tu nie ma, by je przejął. Patryk był taki jak trzeba. Patryk nie szalałby z wściekłości dlatego, że jego luba ma lepszego konia niż on. Patryk był na poziomie.

Brat przyjmował więc z zadowoleniem drobne ukłony w stronę Patryka w postaci komplementów.

Mniej więcej w tym czasie, gdy krążyły filiżanki herbaty i szklaneczki koktajli, zjawił się miejscowy lekarz. Brat, mniej już zadowolony, zaczął się interesować tym, jak Eleanor reaguje na obecność doktora. Okazywała mu duże względy, a Brat, nic przecież o nim nie wiedząc, z góry nabral przekonania, że nie jest on jej wart. Z gości pozostali już tylko pułkownik Smollett, okręgowy komisarz policji, dwie panny Bryne, które mieszkaly w siedemnastowiecznym domu na skraju osiedla i według relacji Bee miały ściany zawieszane „talerzami, grzałkami i innymi akcesoriami kuchennymi”; i doktor Spence. Był on młody, kościsty i rudy, miał piegi i miły

sposób bycia. Objął stanowisko po starym lekarzu miejscowym, który leczył całą rodzinę Ashbych, i był, jak szepnęła Bratowi Bee w czasie nalewania herbaty, „o wiele za zdolny na to, żeby praktykować na wsi”. Brat zastanawiał się, czy siedzi on tu ze względu na Eleanor; wyglądało na to, że czuje do niej dużą sympatię.

- Sprawileś nam dużo zmartwienia, młody człowieku - powiedział witając się z Bratem pułkownik Smollett. Brat po wymijających uprzejmościach, których dotąd wysłuchiwał, był zadowolony z jego szczerości. Pojęcie o życiu średniej klasy angielskiej wyrobił sobie na podstawie filmów amerykańskich, a pojęcie o pułkowniku - z prasy angielskiej; oba w równym stopniu błędne. Pułkownik Smollett, niski, szczupły mężczyzna, miał haczykowaty nos i skromny sposób bycia. Uwagę zwracał jego niezwykle schludny wygląd i wesołe błękitne oczy.

Pułkownik odwiózł swoim samochodem panny Bryne do domu, lecz doktor zwlekał z zakończeniem wizyty i dopiero gdy Bee poprosiła, aby został na kolacji, opamiętał się i pożegnał.

- Biedny doktor Spence - powiedziała w czasie kolacji Bee - Żałuję, że nie chciał zostać. Jestem pewna, że gospodyni głodzi go.

- Nonsens - odrzekł Simon, który odzyskał dobry humor i przez całe popołudnie był bardzo ożywiony. - Tacy chudzi, ryży faceci zawsze wyglądają na niedożywionych. Poza tym i tak by nic tu nie jadł. On tylko siedzi i wpatruje się w Eleanor.

Potwierdziło to najgorsze obawy Brata,

Eleanor powiedziała spokojnie i bez zainteresowania:

- Nie opowiadaj głupstw.

W czasie kolacji poczuli wszyscy zmęczenie, posiłek upłynął w spokoju. Podniecenie spowodowane obecnością Brata minęło, przyjęli go po prostu i nie traktowali już jak gościa. Nawet powściągliwa Jane przestała oskarżać go wzrokiem. Stał się częścią rodzinnego pejzażu. Było to niesłychanie kojące. Po raz pierwszy od chwili przyjazdu do Latchetts poczuł głód.

Ale gdy położył się do łóżka, zaczął się znów zastanawiać nad Simonem. Simon, będąc zupełnie pewny, że on nie jest Patrykiem, nie zamierza się z tym zdradzić. Dlaczego? Czy dlatego, że nie uwierzono by mu i przypisano uprzedzenie urazie z powodu powrotu brata? Czy dlatego, że planuje ujawnienie tajemnicy w jakichś dramatycznych okolicznościach? Czy dlatego, że ma jakiś lepszy sposób rozprawienia się z oszustem nie demaskując go? Simon, tak obłudny, że potrafił zmylić całą rodzinę co do swych najtajniejszych uczuć. Simon, tak egocentryczny, tak próżny, że stanięcie między nim a słońcem jest obrazą. Simon, który ma tyle wdzięku, że starczyłoby dla dziesięciu mężczyzn, i wygląd wruszająco bezbronny. Simon, który przypomina Kloca.

Brat stanął znów w ciemności w otwartym oknie, wpatrując się w półkole łąki odcinające się na tle nieba. Może dlatego, że czuł się dziś mniej zmęczony, już się nie bał, ale wciąż jeszcze wielką niewiadomą w życiu, które go czekało, był Simon.

Jeśli poczuł się tak dotknięty faktem, że Peggy Gates ma lepszego konia niż on, myślał brat, jak mógł zareagować na to, że nagle dziedzicem Latchetts zostanie Patryk?

Długo myślał o tym, wpatrując się w ciemność.

A gdy wreszcie odwrócił się od okna, żeby zapalić światło, odezwał się w nim jakiś głos: „Ciekawe, gdzie był Simon, kiedy Patryk szedł ścieżką wśród skał?”

Zdał sobie natychmiast sprawę z nikczemności tej myśli. Co on sugeruje? Morderstwo? W Latchetts? W Clare? Popelnione przez trzynastoletniego chłopca? Antypatia do Simona pozbawiła go najwyraźniej zdrowego rozsądku.

Samobójstwem Patryka zajmowała się policja. Przeprowadzono śledztwo, zebrano dowody. Na podstawie dochodzenia policja uznała, że to było naprawdę samobójstwo.

Uznała? Bo może nie miała wystarczających dowodów?

Gdzie jest teraz orzeczenie koronera? Zapewne w aktach policyjnych. Niełatwo cywilowi przekonać policję, by zaspokoili ją ciekawość; to ludzie zapracowani.

Ale sprawa musiała mieć jakieś echo w miejscowej prasie. Wzbudziła sensację w okolicy. Gdzieś w archiwach znajduje

się sprawozdanie z tego śledztwa i on, Brat Farrar, przy pierwszej sposobności dokopie się do niego.

Antypatia czy nie antypatia, zdrowy rozsądek czy brak zdrowego rozsądku, on chce wiedzieć, gdzie był Simon Ashby, kiedy jego brat bliźniak szedł po skałach Westover.

## Rozdział XIX

Pan Sandal miał przyjechać w czwartek wieczorem i zostać do piątkowego popołudnia.

W czwartek rano Bee powiedziała, że jedzie do Westover po zakupy żywnościowe w związku z wizytą pana Sandała, i spytała, co Brat chciałby tego dnia robić.

Odpowiedział, że chciałby pojechać z nią i zobaczyć znów Westover, z czego Bee wydawała się zadowolona.

- Możemy w drodze przez wieś zatrzymać się chwilę u pani Gloom, żeby cię zobaczyła. Będzie jedna osoba mniej do poznania w niedzielę po nabożeństwie.

Wstąpili więc do kiosku z gazetami. Brat został przedstawiony, a pani Gloom zaspokoiliła w pełni swą żądzę sensacji z powodu jego powrotu, z czego Brat i Bee śmieli się potem jadąc do Westover.

- Ludzie, którzy nie umieją śpiewać, są okropnie sfrustrowani - powiedziała po chwili Bee.

Brat zastanawiał się nad tym zdaniem bez związku.

- Najwyższa góra w Wielkiej Brytanii to Ben Nevis - odpowiedział podobnym.

Bee roześmiała się i rzekła:

- Po prostu pomyślałam, że miałabym wielką ochotę zaśpiewać pełnym głosem, a potrafię tylko skrzeczeć. A ty umiesz śpiewać?

- Nie. Ja też skrzeczę. Moglibyśmy poskrzeczeć razem.

- Wątpię, czy moglibyśmy sobie na coś takiego pozwolić na terenie zabudowanym. Dziś nic nie wiadomo. A zresztą patrz.

- Wskazała ręką duży napis na tablicy:

Kierowcy! Proszę nie używać klaksonu. Szpital.



Brat spojrział na budynek wznoszący się na zboczu nad miastem i zauważył, że jak na szpital jest niezwykle piękny.

- Tak. O wiele mniej przerażający niż normalne szpitale. Wielka szkoda, że to pozwolono tu zbudować. - Ruchem brody wskazała tanie sklepiki po drugiej stronie ulicy; niektóre z nich niewiele różniły się od nędznych chat. Obskurne kawiarnie, warsztat szewski, przechowalnia rowerów, sprzedawca wieńców i krzyży, rywalizujący z nim kwiaciarz, sklep warzywniczy i anonimowe przedsiębiorstwo o szybach zamalowanych do połowy, ze starymi rachunkami wetkniętymi w okno.

Zjeżdżali w dół do miasta. Kończyły się tu uboższe przedmieścia. Dalej zaczynało się już właściwe Westover: czyste, porządne, lśniące w odbitym od morza blasku słonecznym.

Bee, skręcając na parking, powiedziała:

- Nie potrzebujesz chodzić za mną w poszukiwaniu morskich specjalów dla pana Sandała. Idź i zabaw się. Spotkamy się na lunchu „Pod Aniołem” za kwadrans pierwsza.

Odszedł już kawałek, kiedy go odwołała:

- Zapomniałam zapytać, czy nie brak ci pieniędzy. Mogę ci pożyczyć, jeśli...

- O nie, dziękuję. Mam jeszcze trochę z tego, co „Cosset Thring” i jak on się tam nazywa dali mi jako zadatek.

Poszedł najpierw do portu, żeby zobaczyć miejsce, skąd rzekomo wypłynął przed ośmiu laty. Pełno tam było statków żeglugi przybrzeżnej i łodzi rybackich, bardzo barwnych w roztańczonych słonecznych błyskach. Oparty o ciepłe kamienie falochronu wpatrywał się w port. Tutaj Alec Loding siedział i malował swoją „starą krypę” w ostatnim dniu życia Patryka Ashby. To z tamtych dalekich skał na prawo chłopak spadł i zabił się.

Oderwał się od falochronu i wyruszył na poszukiwanie redakcji „Westover Times”. Zajęło mu to trochę czasu, bo choć wszyscy obywatele Westover czytali lokalną gazetę, rzadko kiedy można ją było dostać w redakcji. Redakcja

mieściła się o krok od portu, w starym domu przy starej ulicy wybrukowanej starymi odwiecznymi kamieniami. Drzwi były tak niskie, że Brat wchodząc instynktownie pochylił głowę. Po zalanej słońcem ulicy wydawało się tam ciemno. Lecz z ciemności odezwał się młodzieńczy głos biurowego gońca:

- Słucham?

Brat powiedział, że chciałby się zobaczyć z panem Macallanem.

Głos wyjaśnił, że pana Macallana nie ma.

- Pewnie pan nie może poinformować mnie, gdzie mógłbym go znaleźć?

- Czwartym stolik na lewo na piętrze w „Błękitnym Ptaku”.

- Informacja wyczerpująca.

- Nic na to nie poradzę. On tam siedzi. Zawsze można go tam zastać o tej porze.

„Błękitny Ptak” był to pobliski bar kawowy przy nadmorskiej promenadzie. I pan Macallan siedział rzeczywiście przy czwartym stoliku na lewo na piętrze, to znaczy przy jedynym pod oknem. Miał przed sobą nie dopitą filiżankę kawy i wpatrywał się pośępnie w bulwar. Powitał jednak Brata jak starego znajomego i przysunął mu krzesło.

- Obawiam się, że nie na wiele się panu przydałem - powiedział Brat.

- Jedyne sposobem, żeby dostać się na pierwszą stronę „Clariona”, to znaleźć się w kufrze - powiedział pan Macallan.

- W kufrze?

- Pocięty na kawałki. Trudno oprzeć się uczuciu, że byłby to widok trochę drastyczny.

Rozłożył poranne wydanie „Clariona”, tak że czarne litery krzyczały wprost ze stolika. Odkrycie części zwłok w kufrze jeszcze po trzech dniach było wiadomością godną pierwszej strony, gdyż stwierdzono, że znajdujące się w kufrze nogi należały do dwóch różnych osób. Komplikacja ta czyniła obecny wypadek zupełnie wyjątkowym w kategorii morderstw tego rodzaju.

- W morderstwie okropne jest nie to - mówił w zamyśleniu Macallan - że zostało popełnione, ale to, że zostało

popelnione na osobie cioci Agnes, jeśli mnie pan rozumie. Halo! Panienko! Proszę filiżankę kawy dla mojego przyjaciela. Brat Johnny idzie na wojnę i ginie, bardzo to smutne, ale dla nikogo nie jest to szok - w dobie naszej cywilizacji. Jeśli jednak zakatrupi ktoś ciocię Agnes wracając do domu w nocy, to jest szok. Takie rzeczy po prostu nie zdarzają się naszym bliskim.

- A jeszcze gorzej chyba, kiedy ktoś, kogo się zna, zakatrupi czyjąś ciocię Agnes.

- Tak - potwierdził Macallan wsypując dodatkową łyżeczkę cukru do swojej zimnej już prawie kawy i mieszając ją energicznie. - Widziałem trochę takich rzeczy. Rodziny, rozumie pan. Zawsze to samo: nie mogą po prostu w to uwierzyć. Ich Johnny... Na tym polega okropność morderstwa. - Wyjął papierosnicę i poczęstował Brata. - A jak się pan czuje w roli Beniaminka Clare? Jest pan zadowolony, że pan wrócił?

- Nie wyobraża pan sobie, jak bardzo.

- Po tym, pięknym, wolnym życiu w Arizonie czy w Teksasie, czy gdzie tam to było? Naprawdę woli pan to? - Pan Macallan wskazał ruchem głowy nadmorską promenadę wypełnioną stateczną klientelą sklepów. A gdy Brat skinął głową, dodał: - Litości! Trudno w to uwierzyć.

- Dlaczego? Nie lubi pan tego miasta?

Pan Macallan popatrzył na mieszkańców angielskiego południa przechadzających się w ich południowym angielskim słońcu takim wzrokiem, jakby spluwał. - Są tacy z siebie zadowoleni, że trudno oczy od nich oderwać - powiedział.

- Zadowoleni ze swego losu, tak? A dlaczego mieliby nie być zadowoleni?

- Nic na świecie nie powstaje z zadowolenia.

- Z wyjątkiem ludzi - odrzekł Brat.

Pan Macallan uśmiechnął się.

- Z tym się zgadzam. - Patrząc nadal ponuro na jasną portową scenkę mówił: - Przyglądam się im i myślę: Ci ludzie zmuszali Szkocję do walki przez czterysta lat. I nie mogę

znaleźć wyjaśnienia tego faktu.

- Wyjaśnienie jest takie, że to nieprawda.

- Nie? Niech pan pozwoli powiedzieć sobie, że mój kraj...

- Przez ostatnie tysiąc lat zbyt byli zajęci utrzymaniem wybrzeży Anglii. Gdyby nie oni, pana Szkocja stanowiłaby dziś część Hiszpanii.

Była to najwyraźniej rewelacja dla Macallana. Zdecydował się pominąć ją milczeniem.

- Szukał mnie pan, prawda?

- Tak. Poszedłem najpierw do redakcji i tam powiedzieli mi, że znajdę pana w tym barze. Potrzebuję jednej rzeczy i pomyślałem, że pan mógłby mi pomóc.

- Mam nadzieję, że nie dla reklamy - rzekł sucho Macallan.

- Nie. Chcę przeczytać notatkę o własnej śmierci.

- Człowieku! Któżby nie chciał! Jest pan osobą uprzywilejowaną, bardzo uprzywilejowaną.

- Przypuszczam, że „Westover Times” przechowuje stare numery.

- O tak, od osiemnastego czerwca tysiąc osiemset dwudziestego siódmego. Czy może od dwudziestego ósmego czerwca. Zapomniałem. A więc chciałby pan zajrzeć do archiwum. Nie ma tam wiele, ale oczywiście będzie to dla pana bardzo interesujące. To chyba fascynujące czytać o własnej śmierci.

- A pan już to czytał?

- Tak. Zanim w czwartek pojechałem do Latchetts, poszukałem naturalnie wiadomości o panu.

Gdy więc zeszedli po ciemnych schodach do piwnicy pod biurami redakcji „Westover Times”, Macallan od razu odnalazł właściwy numer pisma, nie wzniesając przy tym tumanów studwudziestoletniego kurzu.

- Zostawiam pana przy tej lekturze - powiedział rozkładając otwarty tom na staroświeckim biurku z pochyłym blatem, oświetlonym nagą żarówką u sufitu. - Życzę dobrej zabawy. Jeśli w czymś jeszcze mógłbym panu pomóc, proszę dać mi znać. I niech pan wpadnie, jak będzie pan miał ochotę.

Pobiegł szybko po schodach, szuranie jego stóp ucichło w

górze w świecie żywych ludzi, a Brat pozostał sam z przeszłością.

Pismo „Westover Timos” ukazywało się dwa razy w tygodniu: w środy i w soboty. Patryk Ashby zginął w sobotę, w numerze środowym była więc wiadomość o tym i sprawozdanie ze śledztwa. Poza zwyczajowym anonsem umieszczonym przez rodzinę w dziale nekrologów była tam też krótka notatka dziennikarska na środkowej stronie. Pismo to założone i prowadzone przez miejscową rodzinę zachowało dotąd godny wygląd, dobre maniery i powściągliwość. Gazeta donosiła o smutnym wydarzeniu i składała wyrazy współczucia rodzinie z powodu tej ciężkiej straty poniesionej tak niedługo po tragicznej śmierci w wypadku samolotowym państwa Ashby. Nie podawała żadnych informacji, tylko fakt, że w sobotę po południu lub wieczorem Patryk Ashby poniósł śmierć spadając ze skały w miejscu położonym na zachód od miasta. Sprawozdanie ze śledztwa znajdowało się na stronie piątej i zajmowało całą kolumnę. Nie było tam oczywiście wszystkich szczegółów, ale podano ważniejsze fakty, a od czasu do czasu cytowano dosłownie jakiś fragment.

Popołudnie sobotnie było świętem dla dzieci w rodzinie Ashbych; istniał zwyczaj, że w lecie zabierały ze sobą „coś na przegryzkę” i aż do kolacji każde zajmowało się tym, co je interesowało. Alarm z powodu nieobecności Patryka podniesiono dopiero późnym wieczorem. Uznano za normalne, że poszedł dalej, niż zamierzał początkowo - jego ostatnim hobby było bowiem obserwowanie ptaków - i że się po prostu spóźnia. Kiedy zapadły ciemności, a on nie wrócił do domu, rozpoczęły się telefony do sąsiadów, w celu odnalezienia kogoś, kto go widział, by móc skierować pomoc w odpowiednie miejsce, jeśli spotkał go jakiś wypadek. Kiedy te poszukiwania okazały się bezskuteczne, zorganizowano grupę ratunkową, która miała przeszukać wszystkie miejsca, gdzie mógł pójść zaginiony chłopiec. Poszukiwania prowadzono pieszo i konno lub samochodem - wszystko bez skutku.

Następnego dnia o świcie strażnik z ochrony wybrzeża patrolujący teren wzdłuż skał, znalazł wiatrówkę chłopca. Ten

strażnik, Albert Potticary, zeznał, że leżała ona jakieś pięćdziesiąt jardów od krawędzi skalnego urwiska, w miejscu gdzie ścieżka z Tanbitches zaczyna schodzić przez wyłom w skałach do portu w Westover. Wiatrówka leżała niedaleko ścieżki po stronie skały, przyciśnięta kamieniem. Kiedy ją podniósł, była mokra od rosy, w kieszeniach nie znalazł nic, poza karteczką zapisaną wodnistym atramentem. Zatelefonował o swoim odkryciu na policję i od razu rozpoczęto poszukiwania ciała na plaży. Nie znaleziono go. Poprzedniej nocy była wysoka fala i jeśli chłopiec wpadł do wody w chwili odpływu, tak że fala uniosła ciało, morze nie mogło wyrzucić go na brzeg w Westover. Nikt, kto utonął w okolicy Westover, nie został wyłowiony bliżej niż w Castleton, daleko na zachodzie; a większość topielców jeszcze dalej. Nie miał więc nadziei na znalezienie ciała, kiedy zorganizował poszukiwania. Dopełnił tylko zwykłej formalności.

Ostatnim człowiekiem, który widział Patryka, okazał się pasterz Abel Tusk. Spotkał chłopca wczesnym popołudniem, mniej więcej na połowie drogi między Tanbitches a skałami.

Pytanie: Co on robił?

Odpowiedź: Leżał na brzuchu w trawie.

Pytanie: I co robił?

Odpowiedź: Czekał na skowronka.

Pytanie: Jakiego skowronka?

Odpowiedź: Angielskiego.

Pytanie: To znaczy, że obserwował ptaki. Czy wydawał się taki jak zawsze?

Abel odpowiedział, że jego zdaniem Pat Ashby wyglądał tak samo jak zwykle. Nigdy nie był bardzo gadatliwy. Spokojny chłopiec? Tak, miły, spokojny chłopiec. Przez chwilę rozmawiali o ptakach i rozstali się. On, Abel Tusk, szedł do Westover ścieżką pomiędzy skałami, bo miał pół dnia wolnego. Wrócił dopiero późną nocą i nic nie słyszał o poszukiwaniach chłopca aż do niedzieli rano.

Zapytany, czy dużo ludzi chodzi tą ścieżką, odparł, że nie. Ze wsi do Westover kursują szybkie autobusy, którymi on nie jeździ. Po skalistej ścieżce idzie się ciężko, obuwie noszone

przez ludzi udających się do miasta nie nadaje się na taki teren. Do Westover mógłby iść tą drogą tylko ktoś, kto jak on znajdował się na Tanbitches od strony morza.

Bee zeznała, że śmierć rodziców była dla chłopca wielkim wstrząsem, ale zniósł to dobrze i zdawało się, że zaczynał wracać do siebie. Nie miała powodu myśleć, że zamierzał odebrać sobie życie. Dzieci rozchodziły się w sobotnie popołudnia, każde w inną stronę, bo miały różne zainteresowania, więc nie stwierdzono nic niezwykłego w tym, że Patryk był sam.

Pytanie: Jego brat nie poszedł z nim?

Odpowiedź: Nie. Patryka fascynowały ptaki, a Simon miał zainteresowania techniczne.

Pytanie: Widziała pani kartkę znaną w wiatrówce chłopca i rozpoznała pani pismo swego bratanka Patryka?

Odpowiedź: Tak. Patryk miał swoisty sposób pisania dużych liter. I jedyny ze znanych mi osób, pisał wiecznym piórem.

Podawała, jak wyglądało wieczne pióro. To, które miał Patryk było z czarnego ebonitu, z cienką żółtą spiralką osadzoną w zbiorniczku. Nie, nie znaleziono go. Patryk nosił je zawsze przy sobie. Był to jeden z jego ulubionych przedmiotów.

Pytanie: Czy nie przychodzi pani na myśl powód, dla którego zapragnął nagle odebrać sobie życie? Bo znajomemu pasterzowi wydawał się po południu zupełnie normalny i pogodny.

Odpowiedź: Mogę tylko stwierdzić, że był taki, ale może myśleć o powrocie do domu, gdzie zabrakło tego, co tak bardzo sobie cenił, była zbyt ciężka, i uległ impulsowi zrodzonemu z rozpacz.

Tak też brzmiał werdykt sądu. Chłopiec uległ nagłemu impulsowi, w chwili gdy jego równowaga psychiczna została zachwiana.

Na tym kończyła się kolumna i taki był koniec Patryka Ashby. Brat przerzucił jeszcze kartki następnego numeru, wypełnione mało ważnymi wiadomościami z okresu letniego w Westover: wystawy, zawody w kręgle, turnieje tenisowe, posiedzenia rady miejskiej, kontakty handlowe. Ale nie było

wzmianki o Patryku Ashby. Należał już do przeszłości.

Brat siedział w śmiertelnej ciszy sutereny i rozmyślał o tym wszystkim. Chłopiec leży w trawie i czeka, aż jego ukochane skowronki spadną z nieba. Zapada noc.

I chłopiec nie wraca do domu przez wzgórze Tanbitches.

Zainteresowania techniczne, powiedziała Bee, opisując jak Simon spędzał ten dzień. Oznaczało to pewnie silniki. Mniej więcej w wieku lat trzynastu chłopiec zaczyna się interesować samochodami. Simon majstrował coś prawdopodobnie niewinnie w garażu w Latchetts. Z pewnością w czasie śledztwa nie pytano w ogóle, jak podała prasa, o miejsce jego pobytu.

Kiedy Brat spotkał się z Bee na lunchu „Pod Aniołem”, miał ochotę spytać ją otwarcie, gdzie był Simon tamtego popołudnia. Ale przecież nie można spytać: „Gdzie był Simon tego popołudnia, kiedy ja uciekłem z domu?” Byłoby to pytanie zupełnie ni w pięć, ni w dziewięć. Musi wymyślić jakiś inny sposób poruszenia w rozmowie tego tematu. Uwagę jego oderwał starszy kelner, który znał wszystkie dzieci Ashbych i był najwyraźniej przejęty nieoczekiwanym powrotem Patryka. Ręce trzęsy mu się, gdy stawiał przed nim dania, a przy każdym mówił drżącym głosem: „Proszę, panie Patryku”, jakby z radością wymawiał to imię. Punkt kulminacyjny nastąpił przy deserze. Podał Bee i Bratowi tort owocowy, lecz natychmiast powrócił i z wielkim przejęciem położył na srebrnym półmieseczku przed Bratem dużą beżę. Brat spojrział na nią zdumiony, a potem podniósłszy wzrok zobaczył, że staruszek z uśmiechem dumy i ze łzami w oczach czeka na jakiś komentarz z jego strony. Myśli jego wypełniał Simon i zanim się zorientował, uratowała sytuację Bee.

- Jakie to cudowne, że Daniel pamięta, co zawsze jadłeś - powiedziała, a Brat zachwyił się za jej przykładem, tak że stary kelner odszedł zadowolony i wzruszony, ocierając oczy olśniewająco białą chustką wielkości prześcieradła.

- Dzięki - powiedział Brat do Bee. - Tego nie pamiętałem.

- Poczciwy stary Daniel. Dla niego to prawie tak, jakby zobaczył znów własnego syna. Miał ich trzech. Wszyscy zginęli w pierwszej wojnie, a wnukowie w drugiej. On bardzo



was kochał jako dzieci, więc przypuszczam, że do dla niego cud prawdziwy widzieć kogoś drogiego powracającego z grobu. Co robiłeś rano?

- Czytałem swój nekrolog.

- To chorobliwe. Choć nie, oczywiście, że nie. Wszyscy chcielibyśmy móc to zrobić. Czy widziałeś się z Macallanem?

- Widziałem. Przesła ci swoje uszanowanie. Ciociu Bee...

- Za dorosły jesteś, żeby nazywać mnie ciocią.

- Bee, jakie „zainteresowania techniczne” miał Simon?

- O ile wiem, nigdy nie miał żadnych technicznych zainteresowań.

- Powiedziałaś w czasie śledztwa, że miał.

- Ja powiedziałam? Nie wiem, co miałam na myśli. A propos czego to powiedziałam?

- Żeby wyjaśnić, dlaczego nie zajmowaliśmy się tym samym w sobotę po południu. Co robił Simon, kiedy ja poszedłem obserwować ptaki? - Starał się, żeby pytanie to zabrzmiało jak próba przypomnienia sobie dawnych czasów.

- Szwendał się gdzieś, przypuszczam. Simon zawsze to lubił. Żadne jego hobby nie trwało nigdy dłużej niż dwa tygodnie.

- Więc nie pamiętasz, czym zajmował się tego dnia, kiedy ja uciekłem?

- To absurdalne, ale nie pamiętam. Nie pamiętam nawet, gdzie był. Kiedy zdarza się coś okropnego, spychasz to na dno świadomości i jeśli można, nie wyciągasz nigdy na powierzchnię. Pamiętam, że spędził całą noc na swoim kucu szukając cię gorączkowo. Biedny Simon. Zrobiłeś mu przykry kawał. Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę. Simon zmienił się po twoim zniknięciu. Nie wiem, czy to był szok, czy brak twego spokojnego wpływu, ale potem był już innym człowiekiem.

Ponieważ Brat nic na to nie odpowiedział, jedli w milczeniu, a po chwili Bee dodała:

- I mnie też było przykro, że nigdy do mnie nie pisałeś. Dlaczego, Brat?

To słaby punkt w całej konstrukcji, jak stale powtarzał

Loding.

- Nie wiem - odpowiedział. - Słowo daję, że nie wiem.

Nie przewidywał nawet, jak stosownie zabrzmiało rozdrażnienie i rozpacz w jego głosie.

- Dobrze już, nie chcę cię dręczyć, mój drogi. Nie miałam tego zamiaru. Tylko mnie to dziwiło. Tak bardzo cię kochałam, kiedy byłeś mały, i byliśmy tacy zaprzyjaźnieni. Wydaje mi się nieprawdopodobne, że żyłeś po swojemu nie oglądając się za siebie.

Wygrzebał odpowiedź gdzieś z głębi własnych przeżyć.

- Jest łatwiej, niż ci się zdaje, zerwać z przeszłością, kiedy się ma czternaście lat i doznaje się wciąż nowych wrażeń. Przeszłość nie wydaje się bardziej realna niż rzeczy oglądane w kinie. To znaczy realna w sensie osobistym.

- Muszę kiedyś spróbować uciec - powiedziała lekko. - Tak wiele z przeszłości chciałabym zostawić za sobą.

Podszedł Daniel z serami i zaczęli mówić o czym innym.

## **Rozdział XX**

Brat nie był przygotowany na to, że w piątek rano znajdzie przy swoim talerzu urodzinowe prezenty. Nie brał w ogóle pod uwagę tych urodzin. „Wszystkie uroczystości zostały odłożone 'do czasu powrotu do kraju pana Charlesa Ashby’”, powiedział mu w Londynie pan Sandała i dopiero kiedy Bee zwróciła na to jego uwagę, przypomniał sobie, że pomijając uroczystość, nieuchronnie nadejdzie dzień, kiedy skończy dwadzieścia jeden lat. Miał niewielkie doświadczenie w podobnych sprawach, przyjął więc, że odroczenie uroczystości oznacza, iż rodzina złoży mu po prostu życzenia. Z przerażeniem zobaczył stos paczek koło swego talerza przy śniadaniu. Drżał na myśl o konieczności otwierania ich przy wszystkich.

Ironiczny błysk w oczach Simona dodał mu odwagi. Podejrzewał, że punktualne zjawienie się Simona na śniadaniu tego ranka było spowodowane nie tyle obecnością pana Sandała, co perspektywą nacieszenia się jego zakłopotaniem z

powodu tych prezentów.

- Najlepsze życzenia w dniu urodzin, Brat - mówili wchodząc do jadalni jedno po drugim. - Wszystkiego najlepszego, Brat! - Te pogodne, życzliwe słowa padały wokół niego jak konfetti.

Żałował, że czuje się tak źle w tym wszystkim. Chciałby, żeby to była naprawdę jego rodzina, żeby to były jego prezenty i jego urodziny. To bardzo miła rzecz urodziny w rodzinie.

- Czy obejrzysz prezenty przed śniadaniem, czy po śniadaniu, Brat? - spytała Eleanor.

- Po śniadaniu - odrzekł szybko, zyskując chwilę oddechu.

Po paru filiżankach mocnej kawy poczuje się może odważniejszy.

Simon poza prezentami dostał cały stos telegramów od znajomych, którzy nie wiedzieli o powrocie jego brata bliźniaka; jedząc otwierał je i zapoznawał się z ich treścią. Odczytywał głośno każdą depezę i dodawał swój komentarz.

- Równy szyling! Skąpiradło, liczykrupa! A ja zaprosiłem ją na wspaniały lunch, kiedy byłem ostatnim razem w mieście... Jak sądzicie, co Bobby robi w Skye? On nie znosi gór i cierpi męki tam, gdzie są komary... Gore i Bowen. Pewnie chcą mi przypomnieć o rachunku... Jestem pewny, że nie znam nikogo o nazwisku Bert Burt. Może to bukmacher?

Kiedy w końcu Brat nie mógł dłużej odkładać otworzenia swoich paczek, zadanie to okazało się o tyle łatwiejsze, że jego prezenty były w większości takie same jak te, które Simon wyciągał ze swojego stosu. Sitko do cukru z epoki georgiańskiej od pana Sandała, srebrna kieszonkowa flaszka od Bee, szpicruta od Eleanor, notes od bliźniaczek - wszystkiego było po dwie sztuki, Tylko pastor przysłał oddzielny prezent. Była to pozytywka. Małe drewniane pudełeczko, z którego rozlegała się melodyjka, kiedy się podniosło wieczko. Brat nigdy dotąd nie widział, ani nie słyszał czegoś podobnego i był tak uradowany, że zapomniał o powściągliwości i zajął się pozytywką.

- To przysłano z Clare Park - powiedziała Bee.

To przypomnienie o Lodingu sprowadziło go na ziemię;

zamknął wieczko w trakcie miłej, cichej melodyjki.

Tego ranka miał podpisać wyrok na swoją duszę. Nie było czasu na słuchanie melodyjek.

To podpisywanie bardzo go także zdziwiło. W swojej naiwności wyobrażał sobie, że położą przed nim różne dokumenty, on je podpisze i na tym się skończy. Sprawa co najwyżej dwudziestu minut. Okazało się jednak, że to sprawa godzin. On i pan Sandał siedzieli obok siebie przy dużym stole w bibliotece. Dano mu do przejrzenia całą ekonomiczną historię Latchetts. „Cosset, Thring i Noble” wyliczali się przed swoim młodym klientem z lat jego niepełnoletności.

Brat, trochę oszołomiony, lecz zainteresowany, nadał za trudem za panem Sandałem w wędrówce przez lata i podziwiał jego biegłość i orientację w tych prawno-finansowych sprawach.

- Majątkowi pańskiej matki daleko oczywiście do stanu z lat dobrobytu, kiedy go odziedziczyła, ale jest wystarczająco duży, by zapewnić panu życie w Latchetts bez kłopotów. Jak pan zauważył, rezerwy były często bardzo małe w latach pańskiej niedojrzałości, lecz panna Ashby nie zgadzała się na pożyczki z kapitału stanowiącego spadek po matce pana. Upierała się zdecydowanie przy tym, że powinien go pan otrzymać nie naruszony w dniu ukończenia dwudziestu jeden lat.

Pan Sandał dalej rozkładał zestawienia przed Bratem, który po raz pierwszy zdał sobie sprawę ze zmagania i niepewności, jakich kosztem osiągnięto obecny stan spokoju i stabilizacji w Latchetts.

- Co się stało w tym roku? - spytał wskazując palcem szczególnie niepomyślne notatki.

Pan Sandał przrzucił parę dokumentów.

- A, tak. Przypominam sobie. To był zły rok. Bardzo zły. Jedna z klaczy padła, dwie okazały się jałowe, a bardzo piękny źrebiak złamał nogę. Niezwykle smutny rok. To ryzykowny sposób zarabiania na życie. W tamtym roku na przykład - jego cienki, suchy palec wskazał inne mało zadowalające zestawienie - wszystko szło w Latchetts gładko,

ale okazało się, że nikt nic nie kupuje, i żaden z roczniaków nie osiągnął nawet najniższej ceny, gdy poszły na sprzedaż. Sprawa szczęścia. Ale zobaczy pan, że niektóre lata były wyjątkowo pomyślne, tak że straty zostały wyrównane.

Następnie pan Sandał mówił o folwarkach: o warunkach dzierżawnych, inwestycjach, dzierżawcach, rodzajach zbiorów. Potem przeszedł do sprawy dochodu osobistego.

- Pański ojciec miał doskonałe dochody jako inżynier konsultant i wydawało się oczywiście, że nic nie stanie na przeszkodzie temu, by zarabiał tak przez całe życie. Dlatego hojnie inwestował w Latchetts i w konie, które były jego pasją. Kupował drogie klacze z dobrym pochodzeniem, tak że kiedy zmarł, nie pozostawił wielkich kapitałów, a podatek spadkowy trzeba było zapłacić, więc te pieniądze się rozeszły.

Podsunał następną kartkę Bratowi, pokazując, jak zapłacono ten podatek nie naruszając hipoteki Latchetts.

- Panna Ashby ma własne dochody i nigdy nie korzystała z żadnych funduszy z Latchetts. Brała tylko pieniądze na prowadzenie domu. Dwoje najstarszych dzieci dostawało coraz większe sumy, w miarę jak dorastały. Z wyjątkiem paru własności osobistych - jak na przykład kuce dzieci - konie w stajni należą do majątku. Kiedy dzieci jeździły kupować konie, by je potem sprzedawać, pieniądze na to dawała panna Ashby, a wszelki zysk z koni przedstawiających następnie większą wartość szedł na wydatki związane z Latchetts.

O ile wiem jednak, Simon kupił ostatnio jednego czy dwa konie, które dały zysk na wyścigach, a Eleanor zarabia jako instruktorka konnej jazdy. Panna Ashby powie panu niewątpliwie, jakie to są dochody. Nie figurują one w omawianych dokumentach. Kucyki szetlandzkie to zakup panny Ashby i stanowią jej własność. Mam nadzieję, że to wszystko jest dla pana jasne.

- A teraz pomówmy o przyszłości. Bank radzi, żeby pieniądze po pańskiej matce pozostały nadal tam ulokowane. Czy nie ma pan nic przeciwko temu?

Nie chcę żadnej dużej jednorazowej kwoty, powiedział Loding, bobym ją zaraz przepuścił. To po pierwsze. A po drugie

wywołałoby to wiele domysłów w banku. Nie chcemy żadnych domysłów, z chwilą gdy już mocno zasiądziesz w siodle. Mnie potrzebna jest tylko niewielka ciepła tygodniowa sumka do końca życia, tak żebym mógł zagrać na nosie Związkowi Artystów Scenicznych, dyrektorom i reżyserom, którzy mają pretensję o to, że zawsze spóźniam się na próby. I gospodyniom pokojów, w których będę mieszkał. Bogactwo nie na tym polega, mój chłopcze, żeby posiadać różne rzeczy, ale na tym, żeby nie być zmuszonym robić tego, czego się robić nie chce. Nie zapominaj. Bogaty to taki, który może gwizdać na wszystko.

- Jaki dochód w obecnej sytuacji przypadnie mnie?- spytał Brat pana Sandała, a ten go objaśnił.

Wszystko w porządku. Będzie mógł przeznaczyć określoną sumę dla Lodginga i zostanie mu dość na spłacenie zobowiązań w Latchetts.

- Są jeszcze bieżące wydatki na dzieci. Bliźniaczki pójdą niebawem do szkoły, co przez parę lat obciąży majątek.

Brat był zdziwiony niskością asygnowanych funduszy. Jak to możliwe, myślał, ja na rancho zarobiłem więcej w ciągu trzech miesięcy. To trochę zmieniło jego stosunek do Simona. Wydawał o tyle mniej od niego.

- Te asygnowane pensje nie są bardzo duże, prawda? - spytał Sandała. Starszy pan wydawał się zaskoczony.

- Są takie, na jakie pozwala wielkość majątku - odrzekł sucho.

- Uważam, że trzeba by je trochę zwiększyć.

- Tak, można by. Tylko że dwoje dorosłych ludzi nie może być obciążeniem majątku. To nie byłoby korzystne. Są oboje zdolni zarobić sami na swoje utrzymanie.

- Więc co pan proponuje?

- Proponowałbym, żeby dać Eleanor trochę większą sumę, dopóki mieszka w Latchetts albo dopóki nie wyjdzie za mąż.

- Czy ona myśli o wyjściu za mąż?

- Drogi chłopcze, wszystkie młode panny o tym myślą, zwłaszcza kiedy są tak ładne jak pańska siostra. Nic mi jednak nie wiadomo, aby okazała dotąd komuś specjalne

zainteresowanie.

- Aha. A Simon?

- Sprawa z Simonem jest trudna. Jeszcze parę tygodni temu uważał Latchetts za swoją własność. Prawdopodobnie nie pozostanie tu teraz długo, ale można by i jemu trochę zwiększyć pensję, jak pan proponuje, przynajmniej dopóki pomaga tu panu.

- Nie uważam, żeby to rozwiązywało problem - powiedział Brat, zdziwiony przypuszczeniem pana Sandała, że Simon opuści Latchetts. Nic na .to nie wskazywało. - Myślę, że część tego majątku należy się jemu.

- W sensie prawnym, tak?

- Tak, sądzę, że tak.

- Niewątpliwie ma pan rację, ale to niebezpieczne założenie, więc niech pan nie oczekuje, że je poprę. Nie można rozdawać kapitału należącego do majątku zachowując równocześnie ten majątek w dobrym stanie. Pensja to co innego: bierze się z dochodów. Ale ujmowanie czegoś, co stanowi tworzywo, to niszczenie samej istoty.

- Proponuję, żeby pożyczyć Simonowi pieniędzy z majątku, licząc jakiś symboliczny procent, w razie gdyby chciał wyjechać i urządzić się na własną rękę.

Sądzę, że gdybym zaproponował pożyczkę bezprocentową, zaprotestowałby pan gwałtownie.

Staruszek uśmiechnął się przyjaźnie.

- Uważam, że nic nie stoi na przeszkodzie, żeby tak właśnie postąpić. Oczekuję okresu dobrej koniunktury dla Latchetts teraz, gdy minęły chude lata. Nie sądzę, żeby pożyczka udzielona Simonowi zaważyła na sytuacji finansowej majątku. Zrównoważą ją oszczędności na pensjach. A teraz pomówmy o zwiększeniu obecnych pensji...

Ustalili ich wysokość.

- Ostatnia sprawa to emeryci - powiedział pan Sandal.

- Emeryci?

- Tak. Różni ludzie, którzy byli na usługach rodziny Ashbych i są już za starzy, żeby pracować.

Po raz czwarty tego ranka Brat zdziwił się. Patrzył na długą

listę i zastanawiał się, czy wszystkie zamożne angielskie rodziny mają takie finansowe obciążenia. Pan Sandał uważał to za rzecz zrozumiałą: za równie powszechną przyzwoitą praktykę jak płacenie podatku dochodowego. Krzywił się na każdą rozrzutność, jeśli dotyczyła zdrowych członków rodziny: powinni sami zarabiać na życie. Obowiązek utrzymywania starej, niedołężnej służby uważał natomiast za coś normalnego. Była więc niania, która miała dziewięćdziesiąt dwa lata i mieszkała w Szkocji w miejscowości New Deer. Był stary osiemdziesięciodziewięcioletni stajenny, mieszkający we wsi i inny z Guessgate. Była kucharka, która gotowała do chwili, gdy ukończyła sześćdziesiąt osiem lat, a teraz mieszkała z córką sześćdziesięciodziewięcioletnią w Horsham. I tak dalej.

Brat pomyślał o pełnej tupetu blondynce w kwiecistej sukni ze sztucznego jedwabiu, która powitała go w Latchetts. Kto ją będzie utrzymywał? Pewnie ojczyzna. Za długą i uczciwą służbę?

Zgodził się na dalsze wypłacanie emerytur, a potem wezwano Simona, żeby złożył konieczne podpisy. Brat, dla którego ten ranek był przygnębiający, z zadowoleniem zauważył, jak nagle rozszerzyły się oczy Simona na widok jego podpisu. Minęło blisko dziesięć lat od czasu gdy oglądał duże litery pisane przez Patryka, a tu jak na szyderstwo miał je znów przed sobą na stole bibliotecznym. To go oduczy szydzić z Brata, który włożył tyle wysiłku w to, by wybrnąć z wycięsko z tego dnia.

Weszła Bee i pan Sandał wyjaśnił projekt zwiększenia wypłacanych pensji i zabezpieczenia przyszłości Simona. Kiedy Simon to usłyszał, popatrzył w zamyśleniu na Brata, a ten wyraźnie wyczytał w jego wzroku: Czy to łapówka? Nic z tego. Zostanę tu, u diabła, a ty będziesz mi płacił". Jakikolwiek plany miał Simon, koncentrowały się one wokół Latchetts.

Bee wydawała się jednak zadowolona. Wzięła Brata pod rękę, gdy szli na lunch, i ścisnęła ją.

- Kochany Brat - powiedziała.

- Powinnowałam wam obu i przekazałam moje najlepsze życzenia w czasie śniadania, ale teraz chciałbym wnieść toast



- powiedział pan Sandał podnosząc kieliszek czerwonego wina. - Za zdrowie Patryka, który nie tylko objął swoje dziedzictwo, ale wziął na siebie związane z nim obowiązki.

- Zdrowie Patryka! - powtórzyli. - Zdrowie Patryka!

- Zdrowie Patryka - powiedziała Jane, ostatnia.

Spojrzał na nią i stwierdził, że się do niego uśmiecha.

## **Rozdział XXI**

Simon odwiózł po południu pana Sandała na stację, a kiedy odjechali, Bee powiedziała:

- Jeśli chcesz uniknąć dziś życia towarzyskiego, to cię zastąpię. Mam zresztą trochę pisaniny. Może chciałbyś wziąć jakiegoś konia i pojechać z Eleanor? Myślę, że ona poszła znowu do stajni.

Mało było rzeczy, których Brat pragnąłby tak bardzo jak przejażdżki konnej z Eleanor, ale jednego pragnął! Jeszcze bardziej. W dniu, kiedy Pat Ashby powinien był otrzymać swój spadek, Brat chciał przejść przez wzgórze Tanbitches ścieżką, którą szedł Patryk w ostatnim dniu swego życia.

- Ja chcę pojechać z Bratem - oświadczyła Ruth. Zauważył, że Jane zatrzymała się, by usłyszeć, co on jej odpowie, jakby i ona chciała mu towarzyszyć. Bee jednak zaprotestowała. Brat ma na razie dość rodziny, powiedziała.

- Ale pojedzie z Eleanor! - zaprotestowała Ruth.

Brat odrzekł, że nie pojedzie. Pójdzie na spacer sam.

Unikając alei, gdzie mógłby spotkać gości zdążających do domu, poszedł przez padoki do drogi. Na jednym z padoków przy alei Eleanor ujeżdżała na lonży gniadego żrebaka. Brat stanął pod drzewami i obserwował ją; niewzruszona cierpliwość, panowanie nad spłoszonym i zbuntowanym żrebakiem; umiejętność radzenia sobie z długą liną. Zastanawiał się, czy ten doktor zna się choć trochę na koniach.

Trawa na Tanbitches zachwyciła go. Nie czuł takiej murawy pod nogami od czasów dzieciństwa. Szedł wolno pod górę

wdychając zapach trawy i patrząc na cień dużej chmury pędzonej wiatrem. Zboczył ze ścieżki w kierunku kępy buków na szczycie wzgórza. Gdyby tam dotarł, mógłby zobaczyć całą opadającą w dół okolicę aż po krawędzie nadmorskich skał. Okolicę, w której przebywał Pat Ashby i jego skowronki.

Gdy doszedł do zielonej kępy krzaków i młodych drzew przy dawnym kamieniołomie, spostrzegł starego mężczyznę, który siedział zajadając grubą pajdę chleba z dżemem. Brat pozdrowił go przechodząc.

- Zadziera pan nosa - powiedział stary zgryźliwie.

Brat obrócił się na pięcie i przystanął.

- Dziwne, jak się ludzie zmieniają.

Ugryzł następny duży kęs i przyjrzał się Bratowi spod wygiętego randa filcowego kapelusza.

- Nie widział pan chyba wielu pasterzy poza mną.

- Abel - powiedział Brat.

- No, to już coś - mruknął niechętnie stary.

- Abel - powiedział Brat i usiadł obok niego. - Cieszę się, że cię widzę.

- Leżeć! - rozkazał Abel swemu psu, który wynurzył się spod jego rozłożonej kurtki, by obwąchać nieznanego.

- Abel! - Ledwie mógł uwierzyć, że ten, o którym czytał wczoraj w gazecie z redakcyjnego archiwum znajduje się tu żywy.

Abel okazał zadowolenie wobec tak niewątpliwego wybuchu entuzjazmu i powiedział, że poznał go z daleka.

- Kuleje pan?

- Trochę.

- Złamanie?

- Tak.

- Nigdy pan nie narzekał - powiedział Abel pochwalając to lakoniczne pogodzenie się z życiowym pechem.

Brat oparł się plecami o mocne drewniane ogrodzenie chroniące owce przed wpadnięciem do kamieniołomu, i wyjął papierosnicę, gotów spędzić tu popołudnie.

W następnej godzinie dowiedział się wiele o Pacie Ashby, ale nic z tego nie wyjaśniało jego samobójstwa. Tak jak wszyscy,

stary Abel był wstrząśnięty i zaskoczony śmiercią chłopca, a teraz wiedział, że jego wątpliwości co do samobójstwa Patryka były usprawiedliwione.

Patryk nigdy nie narzekał, bez względu na to, jak źle wyglądały sprawy.

Stary pasterz doszedł z nim do buków i Brat stał tam i patrzył, jak mężczyzna i pies maleją w dali. Długo jeszcze potem, gdy już ich nie było widać, stał dalej, ukojony samotnością i ogromną ciszą, bo wiatr usnął w gałęziach drzew. Potem ruszył śladem Abla i psa z boczem zielonej doliny, aż doszedł do ścieżki, która zaprowadziła go z powrotem przez wzgórze do Clare.

Gdy schodził północnym stokiem do drogi, wiatr przyniósł mu dźwięk „klink! klink”. Przez chwilę powrócił wspomnieniem na rancho Wilsona, do paleniska kuźni rozjarzonego w rzadkim górskim powietrzu i do - jakże jej było na imię? - do Cory czekającej na niego za stajnią. Potem przypomniał sobie, gdzie tutaj jest kuźnia - w budynku u stóp wzgórza. Było jeszcze wcześniej. Pójdzie zobaczyć, jak wygląda angielska kuźnia.

Wyglądała bardzo podobnie do tamtej Wilsona, o czym przekonał się, gdy stanął w drzwiach; tylko dach miała o wiele niższy. Kowal był sam, kuł podkowy, pomocnika zatrudniał pewnie tylko na parę godzin. Podniósł wzrok, gdy Brat przesłonił światło i zrobiło się ciemniej, i pozdrowił go nie przerywając pracy. Brat obserwował go przez chwilę spokojnie, a potem podszedł i zaczął poruszać miechy. Kowal podniósł wzrok i uśmiechnął się. Skończył to, co akurat robił, i powiedział:

- Nie poznałem pana pod światło. Bardzo miło widzieć tu pana znowu, panie Patryku.

- Dziękuję, panie Pilbeam.

- Jeszcze zgrabniej to panu idzie niż kiedyś.

- Zarabiałem w ten sposób na życie od czasu, gdy ostatni raz pana widziałem.

- Tak? No ja... - Wyjął czerwoną nie dokończoną podkowę z żaru i zamierzał obrabiać ją dalej, lecz nagle zmienił zamiar i

podał ją z uśmiechem Bratowi. Brat przyjął wyzwanie i wywiązał się dobrze z roboty. Pilbeam pomagał mu, pełen krytycznej aprobaty.

- Zabawne - powiedział, kiedy Brat rzucił podkowę do wody - gdyby któryś z Ashbych miał w ten sposób zarabiać na życie, to chyba tylko pański brat.

- Dlaczego?

- Pan nigdy nie wykazywał zainteresowania w tym kierunku.

- A Simon tak?

- Był czas, kiedy prawie stąd nie wychodził. Chciał robić wszystko, począwszy od lichtarza do bramy w alei prowadzącej do Latchetts. O ile pamiętam, zrobił tylko hak pasterski, i to nie za dobrze. Ale wciąż się tu kręcił. To była jego mania przez całe lato.

- Jakie lato?

- To lato, kiedy pan nas opuścił. Pamiętam, że przyszedł tu i przyglądał się, jak zakładaliśmy obręcz na koło wozu w dniu pana ucieczki. Musiałem go przepędzić, żeby zdążył na kolację.

Brat przyglądał się podkowie, którą zrobił, a Pilbeam przygotowywał się do zakończenia swego dnia pracy.

- Powinienem to zawiesić - powiedział wskazując na dzieło Brata - z napisem: „Wykonana przez Patryka Ashby z Latchetts”. Sam nie zrobiłbym lepszej - dodał uprzejmie.

- Niech pan to da staremu Ablowi, żeby sobie przybił na drzwiach.

- Co pan mówi! Stary Abel nie chciałby mieć podkowy na swoich drzwiach. Nie lubi gości.

- Ale jest życzliwy ludziom, co?

- Sam sobie pierze i utrzymuje dom w porządku, jeśli wierzyć temu, co mówią.

- Nie posądzałbym go o to - powiedział Brat i wyruszył w drogę do Latchetts.

A więc Simon miał alibi. Simon nie był w pobliżu skał tamtego popołudnia. Nie wyszedł poza dolinę Clare.

Aha, więc to tak.

W drodze do domu w alei spotkał między padokami Jane. Wyglądało na to, że się wałęsa bez celu, i Brat zastanawiał się, czy nie po to, żeby go spotkać. Przemawiała do Pszczółki i jej źrebienią i nie schowała się jak zwykle, gdy się do niej zbliżał.

- Halo, Jane - powiedział i włączył się do rozmowy z Pszczółką, żeby dać dziewczynce czas na ochłonięcie. Jej mała, biała buzia zarumieniała się; widać było, że Jane walczy z jakimś niecodziennym uczuciem.

- Już chyba czas, żebyśmy wrócili do domu umyć się - zaproponował w końcu, kiedy uznał, że nic z rozmowy nie wyjdzie. Zdjęła rękę ze łba Pszczółki i odwróciła się do niego, zebrawszy odwagę.

- Chciałam ci coś powiedzieć. Czy mogę?

- Chcesz, żebym coś dla ciebie zrobił?

- O, nie. Nic takiego. Tylko nie byłam dla ciebie bardzo miła, kiedy wróciłeś do domu z Ameryki, więc chcę cię przeprosić.

- Och, Jane - powiedział pragnąc wziąć w ramiona małą, dzielną dziewczynkę.

- To nie dlatego, że chciałam być dla ciebie niemiła - dodała, żeby ją dobrze zrozumiał. - To dlatego., dlatego...

- Wiem dlaczego.

- Wiesz?

- Tak, oczywiście. To było bardzo naturalne.

- Tak uważasz?

- Prawdę mówiąc, przynosi ci to chlubę.

- Więc przyjmujesz moje przeprosiny?

- Przyjmuję - odrzekł z powagą Brat i uściśnęli sobie dłonie.

Nie od razu wzięła go pod rękę, jak zrobiłaby Ruth. Szła obok niego jak dorosła osoba, rozmawiając grzecznie o szansach źrebienią Pszczółki, gdyby miało iść na sprzedaż, i o tym, jak powinno się nazywać. Sprawa jego imienia była tak ciekawa i absorbująca, że po chwili Jane zapomniała o swoim skrępowaniu i nim dotarli do domu, paplała już swobodnie.

Kiedy szli przez szeroki, wysypany żwirem podjazd, w drzwiach stanęła Bee patrząc na nich.

- Spóźnicie się na kolację - powiedziała.

## Rozdział XXII

Tak więc Brat zawładnął Latchetts i wszystkimi jego mieszkańcami, z wyjątkiem Simona.

Pojechał w niedzielę do kościoła, skazany na to, że wszyscy będą się na niego gapili przez półtorej godziny w czasie nabożeństwa. Jedyными ludźmi, którzy nie przyszli tego ranka do kościoła w Clare, byli protestanci i troje dzieci chorych na odrę. A było tam nawet, jak zauważyła Bee, kilku członków kongregacji, którzy zwykle spędzali czas niedzielnych nabożeństw w murowanej malowanej na niebiesko remizie w drugim końcu wsi, ale na ten raz postanowili pogodzić się z rytuałem i episkopatem, aby móc uczestniczyć w sensacji, jaką było pojawienie się Brata. Jeśli idzie o wiernych, byli tam ludzie, jak wyjaśniła Bee, którzy nie przekroczyli progu kościoła od czasu chrztu swego ostatniego dziecka. Przyszła nawet Lana Adams, która, jak wszystkim było wiadomo, nie odwiedzała żadnego kościoła od czasu własnego chrztu w niebieskiej remizie przed dwudziestu laty.

Brat siedział między Bee a Eleanor, Simon z drugiej stron Bee, a bliźniaczki za Eleanor. Ruth pławiła się w podniosłym nastroju i śpiewała w uniesieniu hymny, Jane patrzyła na zebranych z wyrazem chłodnej dezaprobaty. Brat odczytywał w kółko epitafia członków rodziny Ashbych i słuchał spokojnego głosu pastora, dostarczającego mieszkańcom Clare cotygodniowej porcji refleksji. Pastor nie wygłaszał kazania w dosłownym znaczeniu. Mówił tak, jakby głośno myślał; wystarczyło zamknąć oczy i człowiek czuł się, jakby siedział przy kominku na probostwie. Brat przypomniał sobie przeróżnych kaznodziejów, którzy przychodzili odprawiać nabożeństwa niedzielne w sierocińcu. Byli wśród nich krzykacze, powiernicy dusz, kuglarze nastrojów, zmieniający ton i zniżający głos jak domorośli recytatorzy, szczerzy przyjaciele i afektowani esteci. I pomyślał, że George Peck korzystnie wypada w tym porównaniu. Sprawiał takie

wrażenie, jakby wcale nie myślał o sobie; jakby został duchownym bez względu na takie podniety, jak pokazywanie się ludziom na ambonie.

Po nabożeństwie Brat poszedł na lunch na probostwo, ale przedtem musiał przyjąć całą gamę życzeń od mieszkańców wsi. Bee wyszła razem z nim z kościoła, gotowa służyć mu pomocą w czasie tej ciężkiej próby, lecz zagadnęła ją pani Gloom i Brat pozostał bezbronny. Spojrzał z przestachem na pierwszą z tych nieznanymi osobami zbliżającą się ku niemu: tęgą kobietę o policzkach jak rumiane jabłka, w szerokim kapeluszu przybranym różowymi różami. Jak udawać, że ją pamięta? Tak jak i innych, którzy wyraźnie ociągają się z odejściem?

- Pamiętasz Sarę Godwin, która przychodziła w dni prania  
- usłyszał obok siebie głos Eleanor. Przechodziła z nim od grupy do grupy i jak sprawna sekretarka objaśniała go krótko szeptem przy każdej nowej twarzy. - Harry Watts. Naprawiał nam rowery. Panna Marchant, nauczycielka ze szkoły na wsi. Pani Stapley, położna. Tommy Fitt. Był pomocnikiem ogrodnika. Pani Stack, sklep z artykułami rolnymi.

Przeprowadziła go bezpiecznie do żelaznej furtki prowadzącej do ogrodu probostwa, otworzyła ją i powiedziała:

- Teraz jesteś bezpieczny. To schowanko.

- Co takiego?

- Nie mów, że o tym zapomniałeś. W naszych zabawach w chowanego bezpieczna kryjówka nazywała się zawsze schowankiem.

Pewnego dnia, Bracie Farrar, myślał idąc ścieżką w kierunku domu pastora, staniesz wobec czegoś, czego nie powinieneś był zapomnieć.

W czasie lunchu siedzieli z gospodarzem w milczeniu, a Nancy zabawiała ich rozmową; potem Brat spacerował po ogrodzie z pastorem i odpowiadał na pytania dotyczące życia, jakie wiódł w ostatnich ośmiu latach. Jednym z niezaprzeczonych uroków George'a Pecka była umiejętność słuchania.

W poniedziałek Brat pojechał do Londynu i siedział w

fotelu oglądając bele materiałów, które przed nim rozwijano i pozwalano dotykać, aby mógł sprawdzić ich grubość, fakturę i gatunek. Gore i Bowen dobrali materiał, Walters wziął mu miarę, a wszyscy zapewniali, że w rekordowym czasie zostanie wyekwipowany tak, że żaden Anglik by się tego nie powstydził. Ze zdumieniem dowiedział się, że koszule szyje się na miarę. Był zadowolony mogąc pokazać się krawcom Ashbych w przyzwoitym ubraniu uszytym przez krawca pana Sandała, i z prawdziwym zdumieniem usłyszał wyrazy ubolewania z powodu ładnej czystej niebieskiej amerykańskiej koszuli, którą miał na sobie. No cóż, kiedy wejdiesz między wrony... Wzięto mu więc miarę także i na koszule.

Lunch zjadł z panem Sandałem, który zaprowadził go potem do banku i przedstawił dyrektorowi. Zrealizował tam czek, kupił kopertę na list polecony i wysłał gruby plik banknotów Alekowi Lodingowi. Taka była umowa. Banknoty - bez słowa, powiedział Loding. Żadnych telefonów. Nie powinni się nigdy porozumiewać, jedynym łącznikiem między nimi będą anonimowe banknoty przesyłane listem poleconym.

Ta pierwsza wpłata, przesłana współnikowi przestępstwa, pozostawiła mu niesmak, nie tylko z powodu kleju na krawędzi koperty, którą polizał. Poszedł napić się piwa, by ten smak spłukać, lecz nic to nie pomogło. Wsiadł w autobus 24 i pojechał spojrzeć na swoje dawne mieszkanie w Pimlico; od razu poczuł się lepiej.

Wyjechał pociągiem odchodzącym z miasta o 4,10. Eleanor czekała na niego w Guessgate z „pluskwą” Nie czuł już przykrego smaku w ustach, Eleanor też nie była już abstrakcją ani wrogiem.

- Wstyd byłoby pozwolić ci czekać na autobus, kiedy miałam czas po ciebie wyjechać - powiedziała. Usiadł obok niej i pojechali do domu.

- Teraz nie będziesz musiał wyjeżdżać przez dłuższy czas - powiedziała.

- Nie. Tylko do przymiarki i do dentysty.

- Tak. Na dzień. A może trzeba będzie wyjechać po stryja Charlesa. Ale tymczasem możemy siedzieć spokojnie,



prowadząc regularny tryb życia.

Więc zaczął prowadzić regularny tryb życia.

Rankami ujeżdżał konie albo uczył je skakać przez przeszkody na padoku. Jeździł z Eleanor i z dziećmi z Clare Park. Zaspokoił romantyczną duszę Antony'ego Toselli, który pewnego ranka przyjechał na lekcję w kompletnym „dziecinnym stroju do konnej jazdy”, przysłanym Bratowi na skutek telegramów, których wymowność i długość stała się wydarzeniem w życiu urzędu pocztowego w Clare. Trenował roczniaki dla Eleanor i obserwował, jak uczyła młodego konia pełnej krwi ze stajni wyścigowej chodzić spokojnie i trzymać dumnie głowę. Prawie całe dnie spędzał z Eleanor, a gdy wracali wieczorem do domu, robili plan pracy na następny dzień.

Bee obserwowała tę przyjaźń z zadowoleniem, lecz pragnęła, żeby i Simon ją dzielił. Simon zaś wynajdywał coraz więcej pretekstów, aby przebywać przez cały dzień z dala od domu. Rano ujeżdżał Kłoca lub Scape, a potem zawsze wymyślał jakiś powód, żeby jechać na lunch do Westover. Od czasu do czasu, kiedy zjawiał się na kolacji po całym dniu spędzonym poza domem, Bee zastanawiała się, czy jest całkiem trzeźwy. Pił teraz dwa drinki, zamiast, jak dawniej, jednego, ale w domu pił mało, więc stwierdziła, że musiała się pomylić. Jego zmienne nastroje nie były niczym nowym; zawsze był zmienny. Bee uznała, że nieobecność Simona w domu ma na celu zmniejszenie napięcia w tej trudnej sytuacji, i miała nadzieję, że niebawem dołączy on do Eleanor i Patryka, których zażyłość tak pięknie się rozwijała.

- Będziesz musiał z czymś wystąpić na pokazie w Bures - powiedziała pewnego dnia Eleanor, kiedy zmęczeni wrócili ze stajni. - W przeciwnym razie ludzie będą się bardzo dziwili.

- Mógłbym wziąć udział w wyścigu, jak proponowała Ruth.

- To po prostu śmieszne. Nikt nie traktuje tego poważnie. Powinieneś zaprezentować jednego z koni. Będziesz miał już wtedy własny strój jeździecki, więc nie ma powodu, żebyś nie wystąpił.

- Nie.

- Poznałam już tę twoją monosylabę.  
- To nie mój monopol.  
- Nie. Tylko twoja specjalność.  
- Na czym mógłbym pojechać w wyścigu?  
- Po Klocu najszybsza z naszych koni jest Chevron.  
- Ale Chevron to koń Simona.  
- O nie! Chevron kupiła Bee z pieniędzy zarobionych na stajniach. Czy brałeś już udział w wyścigach konnych?  
- Tak. Często. Oczywiście w miejscowych. O małe nagrody.  
- Sądzę, że Bee ma zamiar pokazać Chevron jako konia wierzchowego, ale to nie powód, żeby pod koniec dnia ta klacz nie mogła wziąć udziału w wyścigach. Jest bardzo pobudliwa i nerwowa, ale skacze czysto i jest bardzo szybka.  
W czasie kolacji przedstawili ten projekt Bee, która się zgodziła.

- Pod jaką wagą jeździsz, Brat?

- Sto dwadzieścia funtów.

Bee przyglądała mu się w zamyśleniu, gdy jadł kolację. Był zbyt szczupły i wymizerowany. Żaden z Ashbych w dwóch ostatnich pokoleniach nie miał przepisowej wagi, ale ten chłopiec wyglądał na wyczerpanego. Jak tylko skończą się uroczystości pełnolecia, trzeba będzie coś zrobić z jego nogą. Może ona tłumaczy ten bolesny wyraz twarzy Brata, podkreślany jeszcze przez szczupłość. I fizycznie, i psychicznie musi mu być z tym ciężko. Trzeba zapytać Petera Spence'a o dobrego chirurga.

Bee była zachwycona stwierdziwszy, że Brat posiada to, czego tak wyraźnie brakowało Simonowi: teoretyczne zainteresowanie końmi. Simon znał się na hodowli na tyle, na ile wiązało się to z jego interesami, ale teoretyczna wiedza na ten temat ograniczała się u niego do dzieła „Nowoczesne wyścigi konne”. Brat natomiast pasjonował się wertowaniem ksiąg stadnych, tak jak niektórzy ludzie pasjonują się kryminalistyką. Bee pewnego wieczora poszła zgasić światło, które, jak sądziła, ktoś zostawił zapalone w bibliotece, i zastała tam Brata zagłębionego w studiowaniu księgi stadnej. Powiedział, że próbuje ustalić rodowód Pszczółki.

- To nie ten tom - powiedziała Bee i wręczyła mu właściwy. Ponieważ miała coś innego do roboty, zostawiła go i zapomniała o nim. Lecz w dwie godziny później zauważyła, że w bibliotece nadal pali się światło. Brat siedział obłożony najrozmaitszymi tomami, głuchy na wszystko, co się wokoło dzieje, tak dalece, że nie usłyszał nawet, jak weszła.

- To fascynujące, Bee - powiedział. Wpatrywał się w fotografię konia o nazwie Bend Or. Różne inne tomy leżały porozkładane i otwarte na zdjęciach, które mu się szczególnie podobały, tak że duży stół wyglądał jak stoisko w antykwariacie, prezentujące ilustracje dla przywabienia nabywcy.

- Nie masz tu jeszcze mojego faworyta - powiedziała Bee obejrzawszy rozłożone fotografie i zdjęła inny tom z półki. A potem, stwierdziwszy, że Brat się zupełnie nie orientuje, pokazała mu podwaliny otrzymanej rasy - konia arabskiego, tureckiego, berberyjskiego. Około północy na podłodze leżało więcej książek, niż stało ich na półkach, a oni cudownie spędzali czas.

Od tej pory gdy Brat znikał, można go było zawsze znaleźć w bibliotece - albo szukającego w księdze stadnej, albo przeglądającego powoli zdjęcia koni godnych szczególnej uwagi.

Siadał otwarcie u stóp Gregga, który okazywał mu szacunek, jakiego nie przejawiał wobec Simona. Bee zauważyła, że do Simona zwracał się „panie Simonie”, a Brata tytułował „sir”. Główny stajenny nie okazywał nigdy niechęci w stosunku do przybysza, który był też jego zwierchnikiem. Rozpoznał w nim entuzjastę, gotowego chłonąć dalsze informacje na interesujący go temat. Bee uśmiechała się, kiedy przechodząc koło siodłami słyszała długie, monotonne wywody Gregga, przerywane monosylabami Brata.

- Zastrzelić go? Nie zrobię nic podobnego, powiedziałem, ten koń wyjdzie stąd za miesiąc na własnych nogach, a wasze przekłete ogary mogą zdechnąć z głodu, powiedziałem, zanim dorwą się do mięsa z najlepszego konia, jaki kiedykolwiek nosił uzdę, więc jak pan myśli, co zrobiłem?

- Co?

Bee była głęboko wdzięczna losowi nie tylko za powrót bratanka, ale i za to, jaki wrócił. Wyobrażając sobie wszelkie możliwe wcielenia Patryka zdumiewała się, że to obecne tak dobrze pasuje do jej marzeń. Brat był taki, jakim by go chciała widzieć, gdyby mogła wybierać. Zbyt może milczący, zbyt powściągliwy, niewątpliwie. Ale w jego towarzystwie człowiek czuł się spokojny, choć go nie znał. Jego stałość była z pewnością, łatwiejsza we współżyciu od zmienności Simona.

Bee napisała do stryja Charlesa długi list, który miał czekać na niego w Marsylii, opisując mu nowego bratanka i donosząc o tym wszystkim, czego nie można było zamieścić w depeszach. Charles nie cierpiał koni, więc użyteczność Brata w stajniach nie mogła zrobić na nim wrażenia. Charles uważał konie za zwierzęta niesłychanie głupie, narowiste i pozbawione zdolności kojarzenia. Twierdził, że trzymiesięczne dziecko, nie cierpiące na zapalenie opon mózgowych i bez żadnej wrodzonej wady, jest zdolniejsze do poprawnego wyciągania wniosków niż najinteligentniejszy i najbardziej idealnie hodowany rasowy koń. Charles lubił koty; i jeśli czasem wbrew swoim poglądom dawał się skusić na wejście do stajni, zaprzyjaźniał się ze stajennym kotem i razem z nim zaszywał się w jakiś spokojny kąt do czasu zakończenia prezentacji koni. Sam przypominał kota; był tęgim, łagodnym mężczyzną, z miękką krągłą twarzą, która marszczyła się tylko na tyle, by utrzymać monokl w oku jednym lub drugim, w zależności od tego, którą rękę miał w danej chwili wolną. I choć mierzył ponad sześć stóp wzrostu, stąpał tak lekko na swoich dużych stopach, jakby był napompowany powietrzem.

Charles był przywiązany do swego starego domu i do rodziny, lecz z upodobaniem twierdził, że jest okazem z dawnej, bardziej męskiej epoki, kiedy koń był po prostu środkiem transportu, zdolnym udźwignąć nie zgorszy ciężar, a człowiek nie potrzebował natężyć słabych mięśni namawiając kruche rasowe wierzchowce do pokonywania zbytecznych przeszkód.

Zresztą nawet na pół zagłodzony kot potrafi skakać lepiej od

konia; i w dodatku nie potrzeba go tego uczyć.

Lecz wnuki brata były jego oczkiem w głowie; kochał je bez zastrzeżeń. I właśnie przed tym Charlesem chwaliła Bee nowego bratanka.

*W ciągu krótkich dwóch tygodni, od kiedy jest tutaj, z kompletnie obcego przybysza tak dalece stał się częścią Latchetts, że się go po prostu nie zauważa. Potrafi w sposób szczególny wkomponować się w krajobraz, co nie znaczy, że się usuwa w cień. Po prostu wtopił się w Latchetts. Spostrzegam, że nawet ludzie ze wsi, dla których powinien być jeszcze kimś obcym, oglądanym ciekawie z boku, traktują go tak, jakby tu był zawsze. Jest bardzo małomówny i rzadko z własnej woli się odzywa, lecz umysł ma niezwykle żywy, a jego uwagi można by czasem uznać za kąśliwe, gdyby nie wypowiadał ich uprzejmie. Mówi bardzo poprawnie po amerykańsku - to znaczy, drogi stryju, jest to bardzo poprawny angielski - i przeciąga trochę słowa. Zupełnie jednak inaczej, niż robi to czasem Simon. Nie jest to u niego świadome akcentowanie własnego zdania, tylko po prostu taki sposób mówienia.*

*Jego największy sukces to zdobycie Jane, która ze względu na Simona czuła do niego głęboką urazę. Obchodziła go dość długo z daleka, wreszcie skapitulowała. Ruth z kolei okropnie kręciła się koło niego, ale nie bardzo ją do tego zachęcał - sądzę, że czuł jej nielojalność wobec Simona i teraz trzyma się trochę „z boku”.*

*George Peck chyba go lubi, ale jak mi się zdaje, z trudem wybacza mu to długotrwałe milczenie. Ja oczywiście także. Uważam je za rzecz niewy tłumaczalną. Można tylko starać się zrozumieć ogromny wstrząs psychiczny, który oddalił go od nas.*

*Simon zachowuje się bez zarzutu. Przyjął swoje usunięcie na drugi plan ze wzruszającym hartem ducha i wdziękiem. Myślę, że czuje się bardzo nieszczęśliwy i trudno mu skojarzyć*

*tego nowego Patryka z dawnym. Największą krzywdę wyrządził Patryk swoim milczeniem Simonowi. Mogę jedynie przypuszczać, że nie zamierzał w ogóle wracać. Próbowałam się czegoś na ten temat dowiedzieć, ale nielatwo coś z niego wyciągnąć. Był powściągliwy jako dziecko, a dziś jest jeszcze bardziej. Może porozmawia z tobą, jak przyjedziesz.*

*Jesteśmy zajęci przygotowaniem do pokazu w Bures, który - co ci z pewnością sprawi przyjemność - odbędzie się na jakieś trzy dni przed twoim przewidywanym przyjazdem do Anglii. Mamy nadzieję, że Latchetts zyska pewien rozgłos, gdy nasze trudy uwieńczone zostaną powodzeniem. Mamy trzy nowe konie, na poziomie o wiele wyższym niż przeciętny, i spodziewamy się, że przynajmniej dwa z nich odpowiadają wymoganiom występu w „Olimpii”. Zobaczymy, jak zachowają się na torze, gdy zaprezentujemy je w Bures. Patryk odmówił jakiegokolwiek udziału w tegorocznym pokazie, pozostawiając całą chwałę Simonowi i Eleanor, którym oczywiście się ona należy. Uważam, że to bardziej niż cokolwiek innego charakteryzuje tego Patryka, który do nas wrócił.*

## **Rozdział XXIII**

Simon miał prezentować Kłoca i skakać na nim, więc Brat pozostawił mu całkowicie trenowanie go, a sam zajmował się innymi końmi. Lecz zdarzały się dni, zwłaszcza teraz, gdy Simon był coraz częściej nieobecny, że ktoś inny musiał trenować Kłoca. Brat cieszył się na te dni bardziej, niż się nawet sam przed sobą przyznawał. Lubił większość koni w Latchetts, kilka z nich lekceważył, miał sentyment do wesołej Chevron, do miłej, wrażliwej Scapy i do wierzchowca Eleanor, Dojeżdżacza; rozczarowanego, lecz sympatycznego starego dżentelmena. Ale Kłoc to było zupełnie coś innego. Kłoc to była próba sił, emocja, satysfakcja. Kłoc to była niepewność i triumf.

Zamierzał oduczyć go od zrzucania jeźdźców, choć jeszcze

nie teraz. Jeśli Kloc ma skakać w Bures, ważne jest, żeby nie osłabiło jego pewności siebie. Kiedyś, jeśli Brat będzie miał możliwość do tego się zabrać, Kloc poczuje własną małość, ale na razie niech Simon kieruje każdą cząstką tej dumnej osobowości. Brat trenował go więc łagodnie i jeżdżąc na nim po okolicy upatrywał miejsc odpowiednich do wyleczenia Kłoca z jego narowu, kiedy przyjdzie na to pora. Brzozy na wzgórzu Tanbitches miały gałęzie za wysoko do tego celu, a na szczycie było za mało miejsca do rozwinięcia stosownej szybkości. Potrzebował otwartej przestrzeni ze stojącymi samotnie drzewami lub kępami drzew o najniższych gałęziach na takiej wysokości od ziemi, aby skusić Kłoca do tego, co miało stać się jego klęską. Pamiętał, że najbardziej efektowny jego wyczyn nastąpił w Lerridge Park, ale było jeszcze Clare Park z otaczającymi go pastwiskami i drzewami.

- Czy mieszkańcy Clare Park będą nam mieli za złe, jeśli przejedziemy przez park? - spytał pewnego dnia Eleanor, gdy już tylko tydzień dzielił ich od pokazu w Bures.

Eleanor odpowiedziała, że nikt za złe tego nie weźmie, jeśli będą się trzymali z daleka od boisk.

- Nie grają w nic, bo mecze to straszna rzecz, chyba że organizują je Rosjanie u siebie, ale w Clare Park boiska mają porządne, bo to dobrze wygląda w prospekcie.

Brat pojechał więc na Kłocu w drugą stronę doliny i ruszył na nim galopem po stuletnim trawniku Clare Park, trzymając się z daleka od drzew. Objeżdża! potem różne kępy drzew, oceniając odległość od ziemi ich najniższych gałęzi. Kloc przyjął ten manewr z żywym zainteresowaniem, choć zaintrygowany. Było niemal widoczne, jak próbuje sobie tę rzecz wytłumaczyć. Po co to wszystko? Po co ten człowiek przyjechał i ogląda duże drzewa? Mając niezwykłą końską pamięć, kojarzył sobie duże drzewa z własną przyjemnością, ale jako koń nie był zdolny wyciągnąć żadnego sensownego wniosku z zainteresowania nimi swojego jeźdźcy.

Podchodził do każdej kępy drzew z wdziękiem, dopóki nie podjechali do dużego dębu, który od pięciuset lat był dumą

Clare Park. Gdy znaleźli się w jego rozległym cieniu, Kloc stanął nagle dęba i parsknął ze strachu. Brat zdziwił się. Jakie wspomnienie związane z tym drzewem wywołało tak silną reakcję? Popatrzył na uszy stojące sztywno jak rogi. Może to nie wspomnienie. Może zobaczył coś w trawie.

- Czy pan zawsze podkrada się do dziewcząt siedzących pod drzewami? - zapytał głos z cienia i z trawy uniosła się focza sylwetka panny Parslow. Oparta na łokciu, przyjrzała się jeźdźcowi na koniu. Brat był trochę zdziwiony, że widzi ją samą. - Czy pan nigdy nie I jeździ na innym koniu, poza tym czarnym diabłem?

Brat odrzekł, że owszem, nawet często.

- Przypuszczam, że byłoby przesadą spodziewać się że pan szukał tu mnie?

Brat odrzekł, że szuka miejsca, żeby nauczyć Kłoca dobrego zachowania.

- A on się źle zachowuje?

- Ma zwyczaj dawać nagle nura pod drzewo, tak żeby gałęzie zgarnęły jeźdźca z siodła.

Panna Parslow oparła się mocniej na łokciu i z nowym zainteresowaniem przyjrzała się koniowi.

- Naprawdę? Nigdy nie myślałam, że zwierzęta mają tyle rozumu. Jak pan go tego oduczy?

- Zrobię tak, że przejeżdżanie pod drzewami stanie się dla niego bolesne.

- Będzie go pan bił, kiedy spróbuje to zrobić?

- O nie! To by niewiele pomogło.

- A więc potem?

- Nie. Nie powinien wcale kojarzyć bicia z drzewem. - Potarł szpicrutą ciemną grzywę Kłoca, który schylił łeb. - Nie uwierzy pani, jakie dziwne rzeczy sobie kojarzą.

- Nie zdziwi mnie nic, jeśli chodzi o te zwierzęta. Więc jak pan to zrobi?

- Pozwolę mu galopować ile sił do upragnionego drzewa, a kiedy skręci pod nie, dam mu w bok taką ostrogę, że zapamięta to na całe życie.

- O nie! To bardzo źle. Biedne zwierzę!



- Byłoby jeszcze gorzej, gdybym nie zdążył uchylić się w siodle - odrzekł sucho Brat.

- I to go wyleczy z narowu?

- Mam nadzieję. Kiedy następnym razem zobaczy podobne drzewo, przypomni sobie, że poczuł wściekły ból, próbując swojej sztuczki.

- On pana znienawidzi.

Brat uśmiechnął się.

- Bardzo bym się dziwił, gdyby skojarzył to ze mną. Albo nawet ze szpicrutą. Konie nie rozumują tak jak ludzie.

- Więc co uzna za źródło bólu?

- Prawdopodobnie drzewo.

- Zawsze uważałam, że konie to okropnie głupie zwierzęta.

Brat przypomniawszy sobie, że panna Parslow nie brała udziału w lekcjach jazdy konnej, w czasie których towarzyszył Eleanor. I że ostatnio nie widuje jej w pobliżu stajen. Zapytał, jak jej idzie konna jazda.

- Zrezygnowałam.

- Zupełnie?

- Mhm.

- Ale przecież dobrze pani szło. Eleanor mówiła, że nauczyła się pani anglezować.

- Bardzo trudno nazwać anglezowaniem ślizganie się w siodle. Odczuwam to o wiele boleśniej niż koń. - Zerwała długie źdźbło trawy i zaczęła je żuć, patrząc na Brata z szelmowską miną. - Nie potrzebuję już zresztą kręcić się koło stajni. Kiedy chcę zobaczyć Simona, wiem, gdzie go znaleźć.

- Gdzie? - spytał Brat, zanim zdążył się ugryźć w język.

- „Pod Aniołem”, w barze na piętrze.

- W Westover? A czy wolno pani jeździć do Westover, kiedy pani zechce?

- Jeżdżę tam do dentysty. - Roześmiała się. - A raczej pojechałam. Na pierwszą wizytę. Szkoła umówiła mnie po raz pierwszy, oczywiście, a potem zawiadamiała ich po prostu, kiedy wyznaczył mi następną. Obliczyłam, że mam około trzydziestu zębów, więc powinno to wystarczyć do końca semestru. - Otworzyła różowe usta i roześmiała się. Miała

wspaniałe zęby. - Właśnie w tej chwili czekam na autobus do Westover. Mogłam pojechać wcześniejszym, ale tym jeździ bardzo przystojny konduktor. Posunął się już do tego, że zaprosił mnie do kina w przyszłym tygodniu. Gdyby Simon dalej postępował tak jak przez te wszystkie minione miesiące, to znaczy ignorując mnie zupełnie, to może bym spróbowała z tym konduktorem - ma rzęsy długie na cal - ale teraz Simon przestał zadzierać nosa, więc myślę, że odstawię konduktora. - W sposób prowokujący żuła dalej źdźbło trawy. - Simon zrobił się całkiem miły.

- O!

- Odbił mu pan pannę Gates, tak jak proponowałam?

- Nie.

- To zabawne. Wyraźnie jej unika. A pana niezbyt kocha, jak się już o tym zgadało. Myślałam więc, że pan mu odbił Peggy. Chodzi jednak pewnie o to, że pan go wysiadał z Latchetts.

- Spóźni się pani na autobus.

- Potrafi pan być równie niemiły jak Simon.

- Po prostu zwróciłem uwagę pani na to, że autobus dojeżdża już prawie do kuźni. Będzie koło bramy za...

- Co?! - wrzasnęła zrywając się z trawy tak gwałtownie, że Kloc zatańczył w kółko w obłądnym strachu. -

O rany! Na litość boską!...

Popędziła przez park do bramy przy wjeździe w aleję, wykrzykując cały czas coś po drodze. Brat patrzył, jak zielony autobus sunął drogą, minął białą bramę Latchetts i zwolnił przy bramie do Clare Park. Dziewczyna wsiądzie w końcu i nie zmarnuje dnia. Odnajdzie Simona. „Pod Aniołem”. W barze na piętrze.

To, że Simon spędza czas w Westover, w barze „Pod Aniołem”, było smutne, ale nie dziwne w obecnych okolicznościach. Dziwny natomiast wydawał się Simon w roli przyjaciela Sheili Parslow. W jego oczach ta dziewczyna nie zasługiwała dotąd nawet na pogardę. Uważał ją za stwór niższego rzędu. Gdy wymieniano jej imię, kwitował to drwiną, a jej obecność ignorował całkowicie, co sama

przyznawała. Co mu się stało, że nie tylko znosi jej towarzystwo, ale się z nią „przyjaźni”? Dziewczyna przecież nie kłamie. Jeśli to, że promieniała zadowoleniem, nie było wystarczającym dowodem, to był nim bezsporny fakt, że Simon mógł jej unikać zmieniając bar. Barów w Westover nie brakowało; większość z nich były to lokale chętniej odwiedzane przez mężczyzn niż bardzo zatłoczony i pozbawiony kobiet bar „Pod Aniołem”.

Brat próbował wyobrazić sobie Simona z Sheilą, lecz mu się to nie udało.

Co się stało Simonowi, wybrednemu, krytycznemu Simonowi, że znosi taką dziewczynę? Spędza całe godziny w jej towarzystwie?

Czy to ma być rodzaj, „nauczki” dla rodziny za rozczarowanie, jakiego doznał? Czy chce im dać do zrozumienia: nie lubicie mnie, więc będę się zadawał z Sheilą Parslow? Czy to reakcja obrażonego? To bardzo dziecinne ze strony Simona.

Ale z tego, co Brat słyszał, miało to i stronę nader praktyczną, bo Sheila Parslow posiadała pieniądze, których Simon potrzebował. Jakoś trudno jednak było uwierzyć, żeby nawet w najtrudniejszej sytuacji Simon mógł się sprzedać kretynce i nimfomance.

Wracając do domu rozmyślał nad dziwnym charakterem i zachowaniem Simona, ale jak zwykle nie doszedł do żadnych wniosków.

Oddał konia do wytarcia Arturowi i poszedł z Eleanor obejrzeć nowe źrebię Reginy.

- To fenomenalna staruszka - powiedziała Eleanor patrząc na chwiejącego się na nieproporcjonalnie długich nogach malca. - Następną doskonały źrebak. Nic dziwnego, że jest zadowolona z siebie. Ile to już lat ludzie przychodzą podziwiać jej dzieci! Stara księżna Sądzę, że te źrebięta są dla niej po prostu okazją do odbierania corocznego hołdu. Bo przecież nie dba o nie ani trochę.

- Wcale nie jest lepszy od źrebięcia Pszczółki - powiedział Brat przyglądając się źrebakowi bez entuzjazmu.

- Ach, ty z tą swoją Pszczółką!

- Zaczekaj, to zobaczysz, co Pszczółka wyda na świat w przyszłym roku. Żrebaka, który przejdzie do historii.

- Twój entuzjizm dla Pszczółki graniczy z nieprzyzwoitością.

- Słyszałaś, jak Bee to mówiła.

- Skąd wiesz?

- Bo i ja słyszałem.

Roześmieli się, a potem Eleanor powiedziała:

- Tak miło, że tu z nami jesteś, Brat. - Zauważył, że nie powiedziała: „Tak miło, że wróciłeś, Patryku”, ale stwierdził, że ona sama nie zdaje sobie sprawy z dziwności tej formy.

- Czy ten doktor przyjedzie do Bures na pokaz?

- Nie sądzę. Jest bardzo zajęty. Skąd ci to przyszło do głowy?

Brat sam nie wiedział

Chodzili po padokach tak długo, że spóźnili się na podwieczorek i jedli go sami. Jane bębniąca na fortepianie Szopenowskiego walca z sumienną dokładnością urwała z nie skrywaną ulgą, kiedy weszli do pokoju.

- Czy mogę zaliczyć dwadzieścia pięć minut jako pół godziny, Eleanor? - spytała. - Dokładnie dwadzieścia pięć i pół minuty.

- Możesz zaliczyć, co chcesz, byleśmy nie byli zmuszeni wysłuchiwać tego walca w czasie jedzenia.

Jane zsunęła się z taboretu, zdjęła okulary, które upodabniały ją do sowy, włożyła je do kieszeni spodni i pełna wdzięczności znikła za drzwiami.

- Ruth wydobywa z nut wszystkie niuanse i nastrój, nie zważając na to, że fałszuje, ale Jane uznaje dokładność albo nic - powiedziała Eleanor szykując sobie grubą pajdę chleba z masłem na miarę swego apetytu.

Brat patrzył z przyjemnością, jak nalewa herbatę precyzyjnymi, niespiesznymi ruchami. Pewnego dnia fundamenty, na których wspiera się jego życie, runą; Simon urzeczywistni plan, jaki knuje, żeby go zgubić, lub też jakieś jego własne niebaczone słowo sprawi, że cała budowla się zawali. I wtedy nie będzie już Eleanor.

Nie była to najblihsza z jego obaw o przyszłość.

Jedli w przyjaznym milczeniu, od czasu do czasu rzucając luźne uwagi.

Po chwili Eleanor spytała:

- Czy mówiłeś z Bee o kurtkach na wyścig w przyszłym tygodniu?

Brat odpowiedział, że zapomniał.

- Chodźmy je obejrzyć. Są w szafce w siodłami.

Wrócili do stajni. W siodłami nie było nikogo, Gregg poszedł do domu na kolację. Ale Eleanor wiedziała gdzie jest klucz.

- Te kurtki są już właściwie w strzępkach ze starości - mówiła rozkładając je na stole. - Zostały uszyte na ojca, a potem zwięzono je trochę na Simona, kiedy był szczuplejszy niż obecnie. Poszerzono znowu, jak utył Wiszą tu wszystkie razem. Może teraz będziemy mogli pozwolić sobie na... - Urwała.

- Tak. Zamówimy nowe.

- Myślę, że fioletowy i żółty to ładne kolory, nie uważasz? Ale bardzo płowieją. Simon sinieje zimą i mówi, że te kolory zostały wybrane umyślnie, żeby harmonizowały z jego twarzą.

Szperali w szafie, odnajdując pamiątki po dawnych wyścigach. Chodzili po siodłami i oglądali długi rząd rozetek; pod każdą znajdowała się tabliczka objaśniająca, gdzie i jak rozetka została zdobyta.

Na koniec Eleanor zamknęła szafę ze słowami:

- Czas już przygotować się do kolacji. - Przekręciła klucz w zamku i powiesiła. - Weźmiemy te kurtki z sobą. Mam nadzieję, że będą na ciebie pasowały, bo ostatnio nosił je Simon. Ale wymagają odprasowania.

Wzięła naręczce kurtek i wyszli razem z siodłami wprost na Simona.

- O, Simon, wróciłeś... - zaczęła Eleanor i urwała spostrzegłszy wyraz jego twarzy.

- Kto jeździł na Klocu? - spytał Simon z furią.

- Ja - odrzekł Brat.

- Kloc to mój koń i nie masz prawa jeździć na nim, kiedy mnie nie ma.

- Ktoś musiał potrenować go dzisiaj - odpowiedział spokojnie Brat.

- Nikt nie będzie trenował Kloca poza mną. Nikt. Jeśli mam odpowiadać za to, jak będzie skakał, to ja decyduję, kiedy i kto ma go trenować.

- Ależ, Simon, to bzdura - przerwała mu Eleanor. - Są...

- Milcz! - wycedził przez zaciśnięte zęby.

- Nie będę milczała! To są konie Brata i jeśli mówisz, kto ma coś robić i kiedy, to...

- Milcz, mówię ci! Nie pozwolę, żeby prostak z głębokiej prowincji dotykał swoimi łapskami takiego konia jak Kloc.

- Simon! Doprawdy!

- Przyjechał nie wiadomo skąd i wtrąca się do stajni, jakby spędził tu całe życie!

- Upiłeś się widocznie, jeśli tak mówisz o własnym bracie.

- Własnym bracie! To ma być mój brat! Ty idiotko, to nie jest nawet Ashby. Bóg raczy wiedzieć, kto to jest. Jakiś stajenny co najwyżej. I do tego się tylko nadaje: do zamiatania naszych stajen. A nie do tego, żeby rozjeżdżać po okolicy na moich najlepszych koniach. Odtąd, chłystku, nie będziesz mszał koni, które ja zamierzam ujeżdżać, będą stały, dopóki nie powiem, że wolno je wziąć, a kiedy pozwolę, i tak nie ty będziesz je ujeżdżał. Mamy dość innych stajennych.

Jego wysunięta broda znajdowała się o dwie stopy od twarzy Brata, który jednym kopniakiem mógł wyrzucić go do połowy wysokości siodłami. Marzył o tym, lecz nie mógł zrobić czegoś podobnego w obecności Eleanor. I nie teraz. Lepiej nie robić nic, czego skutków nie da się przewidzieć.

- No? Słyszałeś, co powiedziałem?! - wrzasnął Simon rozwścieczony jego milczeniem.

- Słyszałem - odpowiedział Brat.

- Więc zapamiętaj to sobie. Kloc to moja sprawa i nie wsiądziesz na niego, póki ci nie pozwolę. - Odwrócił się i pobiegnął w kierunku domu.

Eleanor była zgnębiona.

- Tak mi przykro, Brat. Tak mi przykro. On sobie ubzdurał, że nie jesteś Patrykiem, zanim cię jeszcze zobaczył, a teraz,

gdy wypił, w złości wyrzucił to z siebie. Jak jest zły, zawsze mówi wiele rzeczy, których naprawdę nie myśli.

Brat wiedział z doświadczenia, że w złości ludzie mówią właśnie to, co myślą. Ale nie powiedział tego Eleanor.

- On wypił, wiesz - ciągnęła dalej. - Nie wygląda na to, ale ja poznaję po jego oczach. Nigdy by się tak nie zachował, gdyby był trzeźwy, nawet w złości. Przepraszam cię za niego.

Brat odparł, że każdy od czasu do czasu zbłądzi się, jak wypije, więc nie ma się czym przejmować.

Poszli spokojnie do domu za Simonem, lecz zadowolenie ze wspólnie spędzonego długiego popołudnia znikło.

Przebijając się w ubranie, które wciąż uważał za „galowe”, Brat pomyślał, że jeśli skazy, które ukazują się w charakterze Simona, pogłębią się dostatecznie, to może pewnego dnia dowie się, jakie żywi on wobec niego zamiary. Zastanawiał się, czy będzie on na tyle trzeźwy, żeby zachowywać się normalnie przy stole.

Lecz Simona nie było na kolacji, a kiedy Eleanor spytała, gdzie jest, Bee odpowiedziała, że pojechał do Guessgate spotkać się w barze ze znajomym. Ktoś zatelefonował do niego tuż przed kolacją.

Bee była spokojna, Brat wywnioskował więc, że Simon musiał wydać jej się zupełnie normalny i że uwierzyła w historię o znajomym, który zatrzymał się na noc w zajeździe w Guessgate.

A rano Simon zszedł na śniadanie w zwykłym pogodnym nastroju.

- Byłem wczoraj zalany - powiedział. -I nie bardzo miły. Szczerze za to przepraszam.

Popatrzył przyjaźnie i ufnie na Brata i Eleanor, którzy jako jedyni zostali przy stole. - Nie powinienem w ogóle pić dżinu - dorzucił. - Zaćmiewa rozum i niszczy duszę.

- Zachowałeś się okropnie - powiedziała chłodno Eleanor.

Atmosfera oczyściła się jednak i dzień upłynął jak każdy inny. Bee przysłała ze dworu na drugą filiżankę kawy. Jane zjawiała się przyciskając do piersi miseczkę z owsianką, którą przyniosła sobie z kuchni, zgodnie ze zwyczajem panującym w Latchetts. Ruth wpadła bardzo późno z „brylantową”

klamerką we włosach i została odesłana z poleceniem, żeby ją zdjęła.

- Skąd ona wzięła takie paskudztwo? - spytała Bee, kiedy Ruth wyszła wykrzykując głośno, że przez nią spóźni się na lekcję.

- Kupiła tę klamerkę u Woolwortha, kiedy byliśmy ostatnim razem w Westover - odrzekła Jane. - To nie są prawdziwe brylanty, wiesz ciociu, ale to chyba dobry zakup jak na szylinga i sześć pensów.

- To dlaczego ty sobie takiej nie kupiłaś, Jane? - spytała Bee patrząc na zniszczoną spinkę przytrzymującą włosy Jane nad czołem.

- O, ja nie jestem „brylantowym” typem - odpowiedziała Jane.

Tak więc dom Ashbych powrócił do dawnego spokojnego trybu i przygotowań do dnia w Bures, który miał zmienić życie ich wszystkich.

## **Rozdział XXIV**

Bures było to targowe miasteczko, położone na północ od Westover i prawie w środku hrabstwa. Nie różniło się wyglądem od innych miasteczek w południowej Anglii, poza tym, że leżało w trochę bogatszej od innych części kraju. Z tego powodu wystawa rolnicza w Bures, choć była imprezą lokalną, miała reputację i znaczenie stosunkowo większe, niż uzasadniały to jej rozmiary. Co roku pojawiały się tam zwierzęta, dla których był to tylko etap na drodze do większych triumfów i było rzeczą normalną, że ktoś oglądając okaz prezentowany na poważniejszej wystawie, mówił: „Pamiętam, jak pierwszy raz pokazano go trzy lata temu w Bures”.

Było to miłe, cywilizowane miasteczko z katedrą, paru pięknymi starymi gospodami, z wesołą, szeroką główną ulicą; i bardzo pewne siebie. Rolnicy, którzy tu przywozili produkty na sprzedaż, zirytowaliby pana Macallana zadowoleniem z siebie i



wyraźną nieświadomością tego, że istnieją jeszcze inne rynki do zdobycia. Atmosfera dostatku emanowała z ulic Bures niczym odbite od nich promienie słońca. Mogły zdarzać się niepomysłne lata zarówno dla rolników, jak dla kupców, ale było to normalne ryzyko w życiu dostatnym i dającym zadowolenie.

Doroczna wystawa odbywająca się na początku lata była zarówno spotkaniem towarzyskim, jak imprezą handlową, a dzień ten kończył „bal” w sali zebrań w gospodzie „Pod Szachownicą”, gdzie żony farmerów, które nie widziały się od Nowego Roku, wymieniały plotki, a młode zuchy, które nie spotkały się od dnia balu kótek myśliwskich, wymieniały konie. Kółka myśliwskie obejmowały pierścieniem miasto: na południu po Lerridge i po dolinę Kenley na północy. I miały niemały wpływ na to, że konie wystawione w Bures zasługiwały na coś więcej niż przelotne spojrzenie.

A ponieważ prawie każdy farmer na tyle zamożny, aby posiadać konia i traktor, należał do tego czy innego kółka myśliwskiego, nie brakło nigdy współzawodnictwa.

W początkowym okresie wystaw w Bures, kiedy transport odbywał się jeszcze końmi, istniał zwyczaj nocowania w mieście; w gospodach pakowano gości po trzech do jednego łóżka. Rozwój motoryzacji wszystko zmienił. Zabawniej było wracać o letnim świcie do domu samochodem w dziewięciu, niż spać we trzech w jednym łóżku w gospodzie. Nie zawsze oczywiście taki powrót kończył się dobrze, niejeden młody farmer po wystawie w Bures spędzał lato w szpitalu, lecz młodszemu pokoleniu wydawało się teraz rzeczą niepojętą, że mogliby nocować w gospodzie mając dom w odległości niecałych czterdziestu mil. Tylko starsi wystawcy, wierni tradycji, lub ci, co mieszkali daleko od Bures, albo tacy, którzy z powodu trudności komunikacyjnych nie mogli zabrać po wystawie swoich zwierząt do domu, spędzali nadal noc w Bures. Większość zatrzymywała się w gospodzie „Pod Szachownicą”.

Rodzina Ashbych miała tam pokoje zarezerwowane na noc po wystawie, te same od czasów Williama Ashby VII, który

przyłączył się do żołnierzy obrony krajowej w Westover, aby stawić opór oczekiwanej inwazji Napoleona I. Nie były to pokoje najlepsze, bo w tamtych czasach najlepsze przydzielano Ledinghamom z Clare, którzy naturalnie rezerwowali je rokrocznie. Te pokoje, których nie zajęli Ledinghamowie, dostawali Shirleyowie z Penbury i Hallandowie z Hallands House. Hallandowie, użyczający swoich terenów na peryferiach miasta pod wystawę, zamawiali pokoje tylko dla gości, których nie mogli u siebie pomieścić, ale gość Hallandów ceniony był oczywiście o wiele wyżej od każdego z Ashbych.

Ashby'owie od dawna mogliby mieć „Pod Szachownicą” jakieś lepsze pokoje, ale myśl taka nie przysłała im nigdy do głowy. Różnica między pokojem nr 3 a nr 17 nie polegała na tym, że jeden był ładny, miał piękny widok z okna i przyzwoite meble, a drugi, położony „od kuchni”, miał widok na dach nad salą zebrań, lecz na tym, że jeden nie był „ich” pokojem, a drugi był. Zajmowali więc nadal trzy pokoiki w starszym skrzydle, które wraz z łazienką na końcu korytarza stanowiły praktycznie apartament Ashbych.

Gregg zaprowadził konie do Bures we wtorek wieczorem. Artur we środę rano ruszył w jego ślady z kucami i wierzchowcem Eleanor, Dojeżdżaczem, który nie znosił innych boksów poza własnym i mógłby roznieść obcą stajnię w kawałki. Simon, bliźniaczki i Bee pojechali samochodem, a Brat „pluskwą” z Eleanor i Tonym Tosellim, który błagał, aby pozwolono mu wziąć udział w wyścigu o tytuł najlepszego jeźdźca w konkurencji dzieci. („Mój ojciec popełni samobójstwo, jeśli nie dacie mi spróbować.”)

Brat był zły, że ten kijankowaty stwór siedzi między nim a Eleanor. Czuł, że wkrótce straci Eleanor, i wobec tego każda spędzona z nią chwila miała dla niego ogromne znaczenie. Ale Eleanor wydawała się na tyle szczęśliwa, że stać ją było na życzliwość w stosunku do Tony'ego Toselli.

- Pogoda będzie cudowna - powiedziała patrząc na wysoko sklepienie bezchmurne niebo. - Pamiętam tylko jedną porządną ulewę w Bures dobre parę lat temu. Czy włożyłam

moje niciane rękawiczki do kieszonki?

- Ta.

- Co masz zamiar zrobić przez cały ranek? Oglądać wystawę dzemów pani Godwin?

- Przejadę się po torze.

- To mądrze, Brat — pochwaliła go. — Masz zupełną rację.

- Inni prawdopodobnie znają każdy cal tego toru.

- O tak. Dla większości to coroczna impreza. Właściwie gdyby wypuścić konie ze startu, obiewałyby prawdopodobnie same tor, tak są do tego przyzwyczajone. Czy Bee pamiętała, żeby dać ci bilet na trybunę?

- Tak.

- Masz go przy sobie?

- Mam.

- Gadam tak dzisiaj chaotycznie, co? Ale przy tobie człowiek się uspokaja. Czy ty się nigdy nie denerwujesz, Brat?

- Owszem.

- Ale gotujesz się w środku?

- Rozważam sobie wszystko w duchu.

- To ciekawe. Zupełnie tego nie widać.

- Mam nadzieję.

- Masz bardzo dobrą twarz. Ja dostaję od razu okropnych, niezdrowych rumieńców, jak możesz zauważyć.

Pomyślał, że ciepły, dziecinny rumieniec na jej chłodnej zwykle twarzy jest wzruszający i bardzo ładny.

- Jak słyszę, Peggy Gates ma nowy strój na tę okazję. Nie pamiętam, czy widziałeś ją już na koniu?

- Nie.

- Ładnie wygląda - stwierdziła Eleanor z aprobatą. - Jeździ konno doskonale. Sądzę, że dobrze zaprezentuje tego konia Dicka Pope'a.

Charakterystyczną cechą Eleanor było to, że jej sądy pozostawały niezależne od uczuć.

Główna ulica w Bures lśniła we wczesnym rannym słońcu. Duże znaki drogowe dodawały podróżnemu odwagi, a porozwieszane ogłoszenia kusily. „Mieszanka Carra dla cieląt” - głosił transparent. „Saffo, bezpieczny środek

odkazający!" - obwieszczał napis umieszczony na taśmie rozpiętej między dwoma kominami.

W ciemnym hallu „Pod Szachownicą” czekała na nich Bee. Powiedziała, że Simon poszedł do stajni.

- Mamy pokoje numer siedemnasty, osiemnasty i dziewiętnasty, Brat. Ty zajmiesz siedemnastkę z Simonem, my z Neli osiemnastkę, a bliźniaczki zamieszkają obok w dziewiętnastce.

Nie przypuszczał, że będzie dzielił pokój z Simonem, lecz nic na to nie mógł poradzić. Wziął torbę Eleanor i swoją i poszedł z nimi na górę, bo w hallu było pełno gości. Eleanor poszła z nim i pokazała mu pokoje.

- Kiedy przyjechałam pierwszy raz i pozwolono mi spędzić tutaj noc, myślałam, że nie ma już większej przyjemności w życiu - powiedziała. - Postaw to tu, Brat. Dziękuję ci. Muszę się zaraz rozpakować, bo suknia będzie na nic.

W siedemnastce rzeczy Simona wały się wszędzie, nawet na drugim łóżku. Dziwne, że te martwe przedmioty i w czasie nieobecności właściciela, miały coś z jego arogancji.

Brat poprawił pościel na swoim łóżku i rozpakował się, wieszając starannie nowe wieczorowe ubranie w pustej jeszcze szafie. Dziś miał je włożyć po raz pierwszy.

- W razie gdybyś się zgubił, Brat - powiedziała Bee, kiedy zszedł na dół - lunch jest o wpół do pierwszej w namiocie rozbitym specjalnie w tym celu. Ostatni stolik na lewo od wejścia. Co zamierzasz robić rano? Jakies zakupy?

- Nie, on chce pospacerować po torze - rzekła Eleanor.

- Dobrze. Nie zabłąkaj się do przybytków rządowych, bo cię zaaresztują.

Tony został powierzony pani Stack, która zainteresowana jedynie produktami rolnymi, stanowiła jedyny punkt stały w zmiennej aurze wystawy rolniczej.

- Jeśli powie ci, że jego ojciec jest umierający i musi wracać do domu, nie wierz mu - powiedziała Eleanor.

- A jego ojciec choruje?

- Nie, ale Tony może się tu znudzić jeszcze przed wpół do pierwszej. Przyjdę i zabiorę go na lunch.

Brat wyszedł na główną ulicę Bures z uczuciem, że wy dostał się na wolność. Po raz pierwszy od blisko miesiąca mógł być sobą. Zapomniał już, co to znaczy iść bez troski przed siebie. Przez trzy godziny może spacerować, gdzie zechce, pytać, o co zechce, i mówić swobodnie.

„Hallands Park” - głosił napis na autobusie, wszedł więc i pojechał. Nigdy w życiu nie był na wiejskiej wystawie; krążył wokół eksponatów ze świeżym, krytycznym spojrzeniem, porównując to, co widzi, z podobnymi rzeczami oglądanymi gdzie indziej: z samodziłami w Arizonie, narzędziami rolniczymi w Normandii, baranami w Zacatecas, wyrobami garncarskimi w Nowym Meksyku, porównując atmosferę hrabstwa Hereford z atmosferą amerykańską. Od czasu do czasu ktoś spoglądał na niego ciekawie i niejedną ręką wznosiła się już prawie do powitania, ale opadała. Był zbyt podobny do Ashbych, by czuć się całkiem swobodnie w Bures. Lecz na ogół ludzie byli tak pochłonięci eksponatami i własnymi sprawami, które chcieli rano załatwić, że niewiele zważali na przechodnia.

Obejrzał wystawę i wszedł do parku, gdzie czerwone chorągiewki wyznaczały trasę prowizorycznego toru wyścigowego. Był to prosty tor do szybkiego galopu i skoków przez przeszkody, który na przestrzeni pół mili biegł przez teren parku, a potem szerokim łukiem na milę czy więcej wychodził w pole i zwracał znów do parku, do punktu odległego o pół mili od trybun, skąd zaczynała się druga seria przeszkód kończących się przed trybunami. Poza ostrymi zakrętami i kilku bardzo zamaskowanymi przeszkodami w polu - nie był to trudny tor. Przeszkody w parku ustawiono przepisowo, a trawa wyglądała wspaniale. Serce Brata rosło.

Na otwartej przestrzeni było tak spokojnie, że niechętnie wrócił na teren wystawy. Stwierdził jednak zdziwiony, że z radością wita znajome twarze wokół stołu, gdy wszedł do namiotu, gdzie podano lunch. Z prawdziwą przyjemnością usiadł na pozostawionym dla niego miejscu i stał się znów częścią tej rodziny.

Ludzie podchodzili i witali go w Bures, w Anglii. Ludzie,

którzy znali Billa i Norę Ashbych i jeszcze nawet ojca Billa. Nikt z nich nie oczekiwał, że on będzie ich pamiętał; wystarczyło być uprzejmym.

## Rozdział XXV

Jest mi niedobrze - powiedziała Ruth, gdy zostali sami z Bratem na trybunie.

- Wcale się nie dziwię.

- Dlaczego? - Była zaskoczona, bo oczekiwała zupełnie innej reakcji.

- Po trzech porcjach lodów z galaretką...

- To nie z powodu tego, co zjadłam - zaprotestowała - ale dlatego, że mam wrażliwy system nerwowy. Jestem po prostu chora. Mdli mnie.

- Na twoim miejscu poszedłbym i sobie ulżył - poradził Brat.

- Masz na myśli rzyganie?

- Tak. Po tym człowiek świetnie się czuje.

- Będę siedziała bardzo spokojnie, to może poczuję się lepiej - oświadczyła Ruth z rezygnacją.

Czuła się dziś zupełnie nieważna. Zbyt konsekwentnie unikała koni przez cały rok, żeby rościć sobie prawo do prezentowania któregoś z nich w ten jeden jedyny dzień w Bures, siedziała więc na trybunie w eleganckich szarych flanelowych spodniach i przyglądała się.

Trzeba przyznać, że nie zazdrościła siostrze bliźniacze zasłużonej pozycji, i pragnęła gorąco, żeby Jane zajęła pierwsze miejsce w swojej konkurencji.

- Tam stoi z Eleanor Roger Clint.

Brat poszukał wzrokiem tych dwojga.

- Kto to jest Roger Clint?

- Ma tu w pobliżu duży majątek.

Roger Clint, młody człowiek o czarnych brwiach, sprawiał wrażenie bardzo zaprzyjaźnionego z Eleanor.

- On się kocha w Eleanor - powiedziała Ruth, którą próba

zwrócenia na siebie uwagi zawiodła.

- Odpowiedni obiekt do zakochania - odrzekł Brat, ale serce mu się ścisnęło.

- Byłoby bardzo dobrze, gdyby za niego wyszła. Ma kupę pieniędzy, ładny, duży dom i mnóstwo koni.

Wbrew woli Brat spytał, czy Eleanor myśli o małżeństwie z Rogerem.

Ruth rozważała dodatnie i ujemne strony tej możliwości, dopasowując je do własnej dramaturgicznej koncepcji.

- Musi odczekać swoje siedem lat. Wiesz, tak, jak biblijny Jakub. Biedny Roger szaleje, ale ona to La Belle Dame Sans Merci.

La Belle Dame Sans Merci pożegnała się na razie z panem Clintem i przyszła do nich na trybunę w momencie, gdy młodzi jeźdźcy poniżej lat dziesięciu wyjeżdżali na tor.

- Wiecie, że Tony z trudem się dostał do tej grupy - powiedziała siadając obok Brata. - Skończy dziesięć lat pojutrze.

Nowicjuszy było jedenastu, najmłodszy czteroletni tłusty chłopczyk w aksamitnej czarnej dżokejce, który objął się na grubym koniu, zupełnie nad nim nie panując.

- No, Tony nawet w swoich najgorszych chwilach nie wyglądał tak okropnie jak ten - stwierdziła Eleanor.

- Tony wygląda wspaniale - powiedziała Ruth i była to prawda; jak stwierdziła kiedyś Eleanor, Tony miał żyłkę do konnej jazdy.

Nowicjusze jeździli stępa, klusa i galopowali pod wyrozumiałym okiem sędziów, a potem zaczął się odsiew. Nawet z trybuny widać było wyraźnie fanatyczną determinację w ciemnych oczach Tony'ego. Postanowił wygrać albo umrzeć z wysiłku. Z sześciu kandydatów mających widoki na zwycięstwo pozostało już tylko czterech, ale tych czterech wprawiało sędziów w zdumienie. Wciąż od nowa wypuszczano ich każąc galopować, przywoływano na przegląd i znów wysyłano na tor. Nagrody były tylko trzy, więc jeden musiał odpaść.

W tym momencie Tony rozegrał swój, jak mu się zdawało,

atut. Galopując przed trybuną, ukląkł na siodle, a potem gramoląc się niezgrabnie stanął dumnie wyprostowany.

- O Boże! - powiedziała z uznaniem wzruszona Eleanor.

Po trybunie przeszedł śmiech. Tony miał w pogotowiu inny numer. Opadł znów na kolana, schwycił przednią krawędź siodła i stanął na głowie, wymachując dość niepewnie w powietrzu cienkimi pajęczymi nogami.

Wybuchła na to burza oklasków i śmiechu, a Tony, szczęśliwy, usiadł znów na siodle i popędził do galopu zdumionego konia, który zwolnił do truchtu.

To rzeczywiście zadecydowało o werdykcie sędziów i Tony upokorzony patrzył, jak jego rywale otrzymują trzy rozetki. Lecz wstyd Tony'ego był niczym w porównaniu z tym, co przeżywała jego nauczycielka.

- Wolałabym nie widzieć tego chłopca, dopóki nie ochłone - powiedziała - bo gotowa jestem go zamordować.

Tony oddał kuca Arturowi i podszedł do niej z wesołą miną.

- Tony, ty idioto - powiedziała Eleanor - co ci przyszło do głowy, żeby zrobić coś podobnego?

- Chciałem pokazać, jak umiem jeździć, Eleanor.

- A gdzie nauczyłeś się tych cyrkowych sztuczek?

- Ćwiczyłem na kucu, który kosi trawnik. W szkole, wiesz. On ma dużo szerszy grzbiet od Mazgaja i dlatego nie bardzo mogłem utrzymać dziś równowagę. Uważam, że ci ludzie nie umieją docenić dobrej jazdy - dodał wskazując sędziów ruchem głowy.

Eleanor zaniemówiła.

Brat dał mu pieniądze i powiedział, żeby poszedł na lody.

- Gdyby nie to, że chcę zobaczyć, jak pojedzie Jane - powiedziała Eleanor - poszłabym ukryć mój wstyd w toalecie. Jestem upokorzona.

Jane na Radzy, w swoim najlepszym jeździeckim stroju, przedstawiała miły widok. Brat widział ją dotąd zawsze w wyświechtanych spodniach i rozciągniętym swetrze, które nosiła po domu, więc zdumiała go schludna mała sylwetka.

- Jane ze wszystkich Ashbych trzyma się najlepiej na koniu - powiedziała Eleanor z czułością, obserwując, jak



dziewczynka poważnie i skutecznie nakłania Radzę do zmiany kroku. - Jedyne jej rywal, to ta wysoka dziewczyna na siwym koniu.

Wysoka dziewczyna miała piętnaście lat, a siwek był bardzo ładny, lecz sędziom podobali się bardziej Jane i Radża. Jane mało nie przegrała z powodu widocznego zdenerwowania, ale Ruth była zachwycona.

- Kochana Jane - powiedział Simon podchodząc do nich. - Dziewięcioletni weteran.

- Och, Simon, widziałeś!? - odezwała się Eleanor, znów pełna udręki na wspomnienie tego, co się stało.

- Pociesz się, Neli, tym, że mogłoby być gorzej - odrzekł kładąc jej ze współczuciem rękę na ramieniu.

- Jak to?

- Tony mógłby jeszcze jodłować - wyjaśnił Simon.

Zaczęła się śmiać.

- To bardzo śmieszne - powiedziała ocierając oczy- i chyba będę się z tego jeszcze długo śmiała, ale na razie wolałabym się zapaść pod ziemię.

- Chodź, Neli - powiedział Simon - już czas odebrać konie - i odeszli razem, a Jane usiadła na trybunie.

- Teraz będzie ciekawa grupa. To drobiazg wygrać z piętnastolatkami i młodszymi - wyjaśniła w odpowiedzi na gratulacje Brata. - Kiedyś pojedę z tamtymi. Z ciocią Bee, z Eleanor, z Simonem, z Peggy, z Rogerem Clintem, z nimi wszystkimi.

Tak, Roger Clint. Eleanor dosiadała długiej gniadej Scapy, a Roger siedział obok niej na kasztanie, który miał cztery najdłuższe i najbielsze pończochy, jakie Brat w życiu widział. Sędziowie schodzili z trybuny, a oni rozmawiali spokojnie.

- Kto twoim zdaniem będzie pierwszy? - spytała Jane.

Brat oderwał wzrok od Eleanor i Clinty i zmusił się do skupienia uwagi na uczestnikach zawodów. Sędzia polecił Bee, żeby przegalopowała na Chevron, na której Brat miał jechać po południu, i Bee przejeżdżała teraz przed trybunami. Brat nie widział jej nigdy w stroju do konnej jazdy i zdziwił się tak jak na widok Jane. Była to nowa, poważna, trochę

onieśmielająca Bee.

- No, co myślisz, Brat? - powtórzyła pytanie Jane.

- Kloc oczywiście.

- Nie koń Peggy? Ten, którego miał Dick Pope?

- Piorun? Nie. Może wygrać w skokach, ale nie w tym biegu.

Miał rację. Sędziowie po raz pierwszy ujrzeni Kłoca i zrobił na nich zbyt duże wrażenie, żeby dali się zwieść nawet wyglądem i reputacją Pioruna.

Było to zdanie powszechne. Kiedy po otrzymaniu zwycięskiej rozetki Simon galopowa! na Klocu przed trybunami, oklaski zmieniły się w owacje.

- Czy to nie ten sam bydlak, który zabił starego Feliksa? - spytał jakiś głos z tyłu. - Powinni go zastrzelić, a nie dawać mu nagrodę.

Druga była Peggy na Piorunie, zarumieniona i szczęśliwa. Rozrzutność ojca okazała się usprawiedliwiona. Trzecia, dość nieoczekiwanie, wygrała Bee na Chevron.

- Ashby'owie jak zwykle finiszują - odezwał się ten sam głos i został od razu uciszony, przypuszczalnie z powodu bliskości Ashbych.

Największe podniecenie wywołało rozpoczęcie skoków. Bee zasiadła na trybunie, by przeżywać te emocje wspólnie z innymi.

- Numer pierwszy, proszę - rozległo się z głośnika i Eleanor wyjechała na tor na Scapie. Scapa skakała spokojnie i uważnie, ale nigdy nie dała się namówić na to, żeby nie najeżdżać za blisko na przeszkody. Po cierpliwym treningu za pomocą zabezpieczającej bariery Eleanor miała nadzieję, że nauczyła ją lepszego zachowania. Wszystko było dobrze przez pół okrążenia, póki Scapa nie spostrzegła, że nie ma nieznośnej zawady, na którą trzeba uważać przy skokach, i zaczęła znów najeżdżać na przeszkody; rezultat był do przewidzenia. Mimo wszelkich swoich wysiłków Eleanor nie zdołała jej nakłonić do tego, żeby skoczyła we właściwym momencie. Wzięła w końcu przeszkodę, jakby chciała wylądować na księżycu, ale opadła w niewłaściwym miejscu i mała biała poprzeczka opadła wraz z nią.

- Biedna Neli - powiedziała Bee. - Po takim treningu...

Dwójka i trójka nie wykazały się niczym.

- Numer czwarty, proszę - zabrzmiało z głośnika i ukazał się Piorun.

Nowy ekwipunek Peggy składał się z ciemnotabaczkowej kurtki, trochę za obcisłej w talii, i żółtych spodni, trochę za jasnych, ale wyglądała dobrze na gniadym koniu i panowała nad nim doskonale. Lub raczej siedziała spokojnie i pozwalała Piorunowi pokazywać, co potrafi. Był to znakomity skoczek; brał przeszkody z łatwością, płynął długim, swobodnym lukiem, podkulając tylne nogi jak kot. Wziął gładko wszystkie przeszkody.

- Numer piąty, proszę - wołano z głośnika.

Numer piąty był to wierzchowiec Rogera Clinta, ten z białymi pończochami.

- Wiesz, jak on się nazywa? - spytała Bee. - Pończocha.

- Jest bardzo brzydki - stwierdził Brat. - Wygląda, jakby przeszedł przez rów pełen wapna.

- Ale umie skakać.

Umiał rzeczywiście, lecz chorobliwie bał się wody.

- Biedny Roger - roześmiała się Bee, patrząc, jak Pończocha odmawia skoku przez rów z wodą. - Roger skakał na nim bez końca przez stawek dla kaczek w nadziei, że wyleczy go z tego strachu, ale nic nie pomogło.

Pończocha dalej się opierał i Clint musiał wycofać go wśród pełnych współczucia oklasków.

Szóstka i siódemka miały po jednym błędzie.

Numer ósmy to był Simon na Klocu.

Kary koń wyszedł na tor tak samo, jak z boksu tego dnia, kiedy Brat zobaczył go po raz pierwszy, zadowolony z siebie i gotów zbierać hołdy. Zastrzygł ruchliwymi uszami na widok przeszkód. Simon wypuścił go w galop i podszedł do pierwszej. Nawet z miejsca, gdzie siedział, Brat wyczuł płynność skoku. Tę samą płynność, która go tak zachwyciła, kiedy pierwszego dnia w Latchetts wjeżdżał na szczyt płaskowzgórza. Kloc skoczył lekko w górę i opadł daleko za przeszkodą, prawie tak pięknie jak kot, co wywołało szmer podziwu wśród zebranych. Brat ze

szczerym uznaniem przyglądał się, jak ciało Simona przy skokach konia unosiło się w górę i opadało, jakby stanowili jedną całość. To słusznie, że Simon jedzie na tym koniu. On sam nie osiągnąłby takiej doskonałości, choćby żył sto lat. Tłumy zamarły w milczeniu, gdy przeszkody, jedna po drugiej, zostawały za Klocem. Byłoby straszne, gdyby ten piękny koń zawiódł albo gdyby wykryto jakiś błąd w jego skoku. Kiedy zbliżył się do rowu z wodą, zapanowała taka cisza, że słycać było tylko krzyk gazeciarza gdzieś daleko na głównej ulicy. A kiedy Kloc opadł łagodnie i zgrabnie daleko za brzegiem rowu, westchnienie ogromnej ulgi uniosło się z trybun. Ludzie byli świadkami rzeczy wspaniałej. Nie oszukano ich tu w końcu.

Byli tak poruszeni, że Simon zjechał już prawie z toru, a dopiero wtedy wybuchły oklaski.

Trzej ostatni uczestnicy zostali wycofani i rundę zakończył występ Simona; druga rozpoczęła się, gdy tylko opuścił tor.

Znów wjechała na Scapie Eleanor i głosem i ostrogą skłoniła niechętną klacz do skoku z właściwego miejsca, ratując w ten sposób trochę własną ambicję. Widzowie, zdając sobie sprawę z niepowodzenia w pierwszym występie i z obecnego jej sukcesu, wyrazili swoje uznanie.

Dwójka wykonała szalone, lecz szczęśliwe okrażenie, a Trójka szalone, lecz niefortunne. A potem wjechała znów Peggy, wciąż jeszcze promienna po doskonałej poprzedniej rundzie.

Znowu siedziała bez ruchu, jak nakazywał rozsądek, a Piorun unosił ją w powietrze siłą swych potężnych kończyn, przepływał ponad przeszkodą i ruszał do następnej, z nastawionymi ufnie uszami. Miało się wrażenie, że mógłby tak skakać przez cały dzień. Jedynym zastrzeżeniem było trochę nadmierne zrutynizowanie: wszystko przychodziło mu zbyt łatwo. Nie ulegało wątpliwości, że doskonale zakończy następną rundę. Jego wyczucie odległości było bezbłędne. Nie potrzebował przystawać, żeby wybrać właściwy moment odbicia się do skoku; dobiegał do tego miejsca wyliczając je sobie sam, przeskakiwał przeszkody, jakby to były płoty. Zbliżał się teraz do muru i wszyscy czekali, żeby zobaczyć, czy i tę

przeszkodę potraktuje jak płot.

„Bum! Bum! Bum! - rozległ się głos bębna Srebrnej Orkiestry z Bures jako wstęp do melodii „Pułkownik Bogey”, którą miała grać wkraczając w główną bramę wystawy na występ popołudniowy. Piorun zastrzygł pytająco uszami. To oderwało jego uwagę od muru, który nagle przed nim wyrósł. Koń postawił trwożnie uszy, skrócił krok, próbując go dopasować do odległości, jaka mu jeszcze pozostała, ale wyliczył błędnie. Uniósł się z determinacją nad przeszkodą i opadł po drugiej stronie, wyrzucając nogi w górę, żeby uniknąć potrącenia przeszkody, która znajdowała się teraz tuż pod nim. Lecz podkova na lewej przedniej nodze dotknęła muru, a poprzeczka zsunęła się i chwiała się przez moment na krawędzi, aż w końcu spadła na ziemię.

- Aaach! - rozległ się z trybun okrzyk współczucia. Peggy obejrzała się, żeby zobaczyć, co się stało. Dojrzała puste miejsce po poprzeczce na szczycie muru, ale się tym nie spieszyła. Uspokoila Pioruna, poklepała go po szyi i ruszyła do następnej przeszkody.

- Dzielna dziewczyna ta Peggy - wyszeptala Bee.

Orkiestra w dali grała teraz „Pułkownika Bogeya”, ale Piorun nie zwracał już na to uwagi; znał orkiestry. Akompaniowały paru jego najlepszym popisom. Zaczął znów normalny bieg i zakończył go skokiem przez rów z wodą tak ryzykownym, że widzom zabrakło na chwilę tchu.

- Simon nigdy nie pokona tego konia - powiedziała Bee. - Doskonała runda Kloca to był cud.

Cztery długie pończochy konia Rogera Clinta migały na torze zwawo i ochoczo, póki nie dotarli do wody. Wobec długiego dystansu przed ostatnim skokiem Pończocha zatrzymał się i zaczął zastanawiać. Clint perswadował mu łagodnie, lecz koń nie chciał o niczym słyszeć., „Wiem doskonale, co jest za tą przeszkodą, i nie podoba mi się to” - zdawał się mówić. A potem z nieodmiennym końskim brakiem konsekwencji postanowił spróbować. Z własnej woli skierował się galopem ku przeszkodzie. Roger prowadził go, a Pończocha gnał, dążąc niepowstrzymanie do celu. W ostatniej sekundzie zmienił

zamiar równie nagie, jak go powziął, zarył się kopytami w ziemię i zatrzymał tuż przed przeszkodą.

Widzowie się roześmieli. Roześmiał się i Roger Clint. Opadł znów na siodło zsunawszy się z szyi konia. Skierował go na drugą stronę przeszkody i pokazał mu wodę. Podjechał jeszcze kawałek i pozwolił mu ją zbadać z bliska. Potem dał mu obejrzeć drugą stronę przeszkody, a następnie skierował go na skraj toru i nakierował do skoku. Z miną, która mówiła: „Och, skończmy już z tym!”, Pończocha ruszył z kopyta i przeskoczył rów z wodą lądując o parę jardów dalej, niż było trzeba.

Widzowie roześmieli się radośnie, a Clint ukazał białe zęby w uśmiechu, który rozjaśnił smagłą twarz. Uniósł kapelusz w odpowiedzi na oklaski, nie patrząc na publiczność, jak gracz w krykieta unosi czapkę, i zjechał z toru, wyraźnie zadowolony z tego, że ignorował dyskwalifikujące spojrzenie sędziego tak długo, aż udało mu się skłonić Pończochę do wzięcia znienawidzonej przeszkody.

Szóstka popełniła dwa błędy. Siódemka dwa i pół.

- Numer ósmy, proszę - zabrzmiał głos z głośnika i Jane zadrżała wkładając rękę w dłoń Bee. Przynajmniej raz Ruth nie musiała „dramatyzować” sztucznie sytuacji; z ustami rozchyłonymi w napięciu, zapomniała zupełnie o istnieniu Ruth Ashby.

Kloc nie miał ani rutyny, ani żelaznej siły Pioruna. Trzeba nim było kierować. Od rozsądku Simona i sił Kłoca zależało teraz, czy zdołają przewyższyć niemal bezbłędny występ konia Peggy Gates. Brat dostrzegł, że Simon ma zbielełe wargi. Dla niego było to coś więcej niż wygranie pucharu w prowincjonalnych zawodach. On zamierzał odebrać nagrodę dziewczynie, która próbowała zemścić się na nim, wprowadzając wypróbowanego zwycięzcę, aby pokonał jego konia jeszcze nie sprawdzonego.

Kloc wyglądał na zdziwionego. Jakby mówił: „Ja już to robiłem”. Postawił uszy na widok przeszkód, a potem zastrzygł nimi pytająco. Nie okazywał zapału jak wtedy, kiedy była to dla niego nowość. Ale podszedł poprawnie do pierwszej przeszkody i wziął ją gładko, bez wysiłku. Bratowi

wydawało się, że słyszy bicie serc rodziny Ashbych. W każdym razie słyszał swoje własne: biło głośno jak bęben Srebrnej Orkiestry. Simon był w połowie okrążenia. Ruth zamknęła usta i oczy i wyglądała, jakby się modliła. Uniosła powieki w porę, by zobaczyć, jak Kloc skacze przez poprzeczkę; gładka czarna smuga płynęła nad białym drażkiem.

- Dzięki ci, Boże - powiedziała Ruth.

Pozostały jeszcze tylko mur i rów z wodą.

Kiedy Kloc zawrócił w daleki koniec toru, aby podejść do rowu, podmuch wiatru zerwał Simonowi z głowy czapkę, która potoczyła się za nim po ziemi. Brat uznał, że Simon tego nie zauważył. Nawet Tony Toselli nie był tak skoncentrowany jak Simon. Bo dla Simona najwyraźniej nie istniało na świecie nic poza nim samym, karym koniem i przeszkodami. Nikt, nikt nie stanie bezkarnie na drodze Simonowi Ashby.

Cała umiejętność jazdy konnej, jaką posiadał, wszystko, czego się nauczył, od kiedy po raz pierwszy siadł na kuca w wieku dwóch lat, wykorzystał teraz, by skłonić Klocą do udanego skoku przez mur. Kloc nie lubił twardych, nie osłoniętych przeszkód.

Rozpoczął galop do muru, gdy wtem biały terier zeskoczył z trybuny w pogoni za unoszoną w dali przez wiatr czapką i przemknął przez tor tuż przed Klocem, niczym mocno kopnięta piłka, wyrażając swoje podniecenie głośnym skowytom, tak jak to tylko teriery potrafią.

Kloc ze strachu rzucił się w bok i oblał się potem.

Ruth znowu zamknęła oczy i zaczęła się modlić. Simon cierpliwie uspokajał konia, galopując na nim w koło, a tymczasem ktoś złapał psa i odniósł go właścicielowi, który powiedział:

- Moje biedactwo, mogłeś zostać zabity!

Mijały bezlitosne sekundy, a Simon z całą cierpliwością pracował nad uspokojeniem Klocą. Musiał zdawać sobie sprawę, że czas upływa, że incydent z psem już się skończył i że każda dodatkowa sekunda zwłoki gra na jego niekorzyść.

Brat często podziwiał opanowanie Simona, ale nigdy jeszcze

nie widział tak niezwykłego przykładu tego opanowania. Pokusa, by skierować Kłoca na przeszkodę, musiała być ogromna. Lecz Simon nie chciał ryzykować. Poświęcał czas, żeby dać koniowi trochę lepszą szansę.

I wreszcie, wyliczywszy widocznie ten czas jak najdokładniej, skierował znów na mur Kłoca, spoconego jeszcze, lecz już spokojnego. Tuż przed przeszkodą koń zawahał się chwilę.

A Simon siedział spokojnie.

Gdyby Brat mógł lubić Simona Ashby, toby go lubił właśnie w tej chwili.

Koń, którego uwagi nic w tym momencie nie odwracało od stojącego przed nim zadania, zebrał się w sobie i przeskoczył gwałtownie znieawidzoną przeszkodę. A potem, zadowolony, że ma to już za sobą, pogna! z zapalem w stronę rowu z wodą i przemknął nad nim jak błyskawica.

Simon zwyciężył.

Jane wyjęła dłoń z dłoni Bee i wytarła ręce zwiniętą w kłębek chusteczką.

Bee ścisnęła ramię Brata.

Głośna owacja uniemożliwiła jakąkolwiek rozmowę.

W ciszy, która potem zaległa, Ruth powiedziała, jak ktoś, kto przypomniał sobie niewygodne zobowiązanie

- Och, założyłam się o całą moją miesięczną pensję.

- Z kim? - spytała ciotka.

- Z Panem Bogiem.

## **Rozdział XXVI**

Brat przeglądał się uważnie w małym pękniętym lustrze w prowizorycznej ubieralni dla panów i stwierdził że w kolorze żółtym i fioletowym tak samo mu niedobrze jak Simonowi. Trzeba by mieć ciemną twarz Rogera Clinta do tych wiosennych barw: wyglądałby w nich prawdopodobnie olśniewająco. Ale nie potrafili w tej chwili przychylnie spojrzeć na Rogera Clinta. Ile razy widział tego popołudnia Eleanor, zawsze była w jego towarzystwie, i co więcej



wydawała się z tego zadowolona.

Brat naciągnął głębiej na oczy żółty daszek czapki Cierpiał wewnątrz, przeżywał duchowe katusze.

„Co cię to obchodzi? - odezwał się w nim głos. - Jesteś jej bratem. Pamiętasz?”

„Milcz!”

„Nie dla psa kielbasa.”

„Milcz!”

Wyszedł z pustej prawie ubieralni i poszedł poszukać Chevron. Wszystkie poważne sprawy na ten dzień zostały zakończone, wyczuwało się atmosferę odprężenia. W cieniu drzew zawodnicy przeprowadzali teraz kuce i siedzieli w kawiarni czekając na wyścig po torze kolistym. Przez chwilę samotna Peggy Gates na krępym ciemnogniadym koniu szukała wzrokiem kogoś w tłumie. Wydawała się zmęczona i zniechęcona. Zrównawszy się z nią Brat przystanął i powiedział:

- To był paskudny pech.

- O, dzień dobry panu! Co takiego?

- Ten głośny bęben.

- Ach, to! - powiedziała i uśmiechnęła się do niego. - Właśnie, to się czasem zdarza.

Wyrzekła to filozoficznym tonem, ale Brat byłby przysięgł, że gdy podszedł, miała łzy w oczach.

- Powodzenia w wyścigu - powiedziała.

Brat podziękował jej i chciał już odejść, kiedy zagadnęła:

- Czy pan uważa, że zrobiłam coś, czym mogłam obrazić Simona?

Brat odparł, że nie wie o niczym.

- Wydaje mi się, że ostatnio mnie unika, a ja nie zrobiłam nic... nic, co mogłoby go...

Teraz bez wątpienia miała oczy pełne łez.

- Pan rozumie... - dodała i próbowała się uśmiechnąć, co jej się nie udało; oddaliła się skinąwszy mu ręką.

A więc nie pragnienie zostania panią na Latchetts kierowało piękną Peggy, lecz miłość do Simona. Biedna Peggy! Simon nigdy nie wybaczy jej Pioruna.

Eleanor czekała na Dojeżdżacza pod drzewami, ale strzemię w strzemię z nią stał Roger Clint, który także znalazł sobie konia do tego biegu. Opowiadał coś rozwlekłe, a Eleanor kiwała współczująco głową; Brat wyminął ich szerokim łukiem i poszedł do stajni. Zastał tam Bee i Gregga. Gregg patrzył, jak Brat się waży i siodła Chevron, która była zdenerwowana i niezadowolona.

- Hałaśliwy tłum ją denerwuje - tłumaczył. - Słyszysz coś, czego nie rozumie. Na pana miejscu, panie Patryku, wyprowadziłbym ją i przejechał ją stępą. Niech jej pan pokaże tłum, niech się z nim oswoi, to zapomni o nerwach.

Brat wziął do parku rozdygotaną kasztanę, która się tam stopniowo uspokoiła, jak przepowiedział Gregg. Simon odnalazł go i przypomniał, że już czas ruszać na start.

- Podpisałeś się w książce? - spytał.

- W książce? - zdziwił się Brat. - Co miałem podpisać?

- Zgodę na to, że twój koń będzie biegał.

- Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś coś podpisywał. Koń został zgłoszony do biegu, prawda?

- Tak, ale w ubiegłych latach były kłopoty z gośćmi, którzy wchodzili bez biletów. Kilku spryciarzy wzięło sobie konie, których właściciele nie zamierzali wypuszczać na tor. Przejechali się na nich za darmo, a jednego już zmęczonego konia zmarnowali.

- Dobrze. Gdzie jest ta książka?

- Przy wagach. Popilnuję ci Chevron. Nie ma potrzeby prowadzić jej w ten bałagan.

W małym kantorku siedział za biurkiem pułkownik Smollett.

- No, młodzieńcze, pańska rodzina bardzo dobrze się dzisiaj spisala. Trzy pierwsze miejsca. Ma pan zamiar zająć czwarte? Książka? Jaka książka? A, ten papier. Tak, tak, proszę.

Brat podpisując kartkę papieru, którą mu podano, powiedział, że nie słyszał nigdy o takiej procedurze.

- Możliwe. Ja też nie słyszałem. Ale to zabezpiecza do pewnego stopnia kierownictwo imprezy przed stratami. Ktoś,

komu bez jego zgody wzięto na wyścig konia w ubiegłym roku, zaskarżył kierownictwo o straty. I o mały włos nie wygrał. Więc pański brat zaproponował taką metodę asekuracji.

- Mój brat? Simon to zaproponował?

- Tak. On ma głowę na karku. Nikt nie może teraz powiedzieć, że wypuszczono mu konia na tor bez jego zgody.

- Rozumiem.

Wrócił i odebrał Chevron od Artura.

- Pan Simon powiedział, że nie może czekać, ale życzy panu szczęścia. Poszedł na trybuny, żeby oglądać finisz.

- Dobrze, Artur, dziękuję.

- Czy mam iść z panem na start?

- Nie, nie potrzeba.

- W takim razie pójdę poszukać sobie miejsca, skąd będę mógł oglądać bieg. Powodzenia, sir. Stawiamy na pana.

I przepchnął się szybko przez tłum.

Brat zarzucił cugle przez łeb Chevron i już chciał na nią wsiąść, kiedy przyszło mu na myśl, żeby sprawdzić popręg. Dociągnął go już wprawdzie, ale może za mocno."

Lecz ktoś popręg rozluźnił.

Brat dotknął go ręką i stał ze wzrokiem utkwionym przed siebie. Ktoś, w czasie gdy zostawił klacz z Simonem, rozluźnił popręg. Wsunął pod niego rękę i sprawdził stopień rozluźnienia. Obliczył, że zdołałby wyjechać z parku na otwartą przestrzeń i wziąć może dwie przeszkody. Potem siodło zaczęłoby się ślizgać na grzbiecie bardzo nerwowej Chevron, która by poniosła.

Artur? Nie, nie Artur. Prawie na pewno Simon.

Dociągnął popręg i ruszył na start. Dogonił go tam na Pończosze Roger Clint w stroju biało-czerwonym.

- Pan jest Patrykiem Ashby, prawda? - zagadnął. - Nazywam się Roger Clint. - Przechylił się i uścisnęli sobie dłonie. - Bardzo miło, że jest pan znowu w Bures.

- Kto wygrał ostatni wyścig? - spytał Brat.

- Ja. O łeb przed Neli.

- Neli, naprawdę!

- W zeszłym roku ona wygrała na Dojeżdźczacu, więc to

słuszne, że teraz ktoś inny. A ja chciałem mieć srebrny puchar.

Brat nie miał czasu pytać, dlaczego Roger marzył o srebrnym pucharze. Ustawiali się już; on miał numer piąty, a Roger stał daleko, po stronie zewnętrznej. Start rozpoczynało machnięcie chorągiewką.

Brat nie spieszył się, gdy ruszyli. Pozwolił, żeby go inni wyprzedzili, chcąc ocenić przeciwników. Stwierdził, że co najmniej pięć koni zostało już dziś tak sforsowanych, że się w ogóle nie liczą i tylko robią zamieszanie, psując bieg lepszym od siebie. Trzy inne oglądał w zawodach juniorów i nie wierzył, by dały sobie radę. Pozostawało pięć, z tego trzy były niebezpieczne: gniadosz, na którym jechał jakiś oficer, rosły młody kasztan pod młodym farmerem i wierzchowiec Clint.

Brali przeszkody w szalonym tempie; dwa z przemęczonych koni, walcząc o miejsce, zderzyły się i wpadły na trzeciego. Jeden ze skoczków z konkurencji juniorów zawadził mocno o pierwszą przeszkodę na otwartej przestrzeni i zwałił z nóg dwa inne sforsowane konie. Tor został w ten sposób szczęśliwie oczyszczony.

Chevron lubiła widzieć przed sobą konie i wyraźnie się z tego cieszyła. Uwielbiała skakać i brała przeszkody śmiało i szybko. Słyszało się niemal, jak nuci z zadowolenia. Przyglądał się, jak dwa inne skoczki z klasy juniorów nie zdołały przeskoczyć przez ślepy mur, i dała im prztyka w nos kopytami.

Plac boju przerzedzał się ładnie.

Brat zaczął swój bieg.

Minął bez wysiłku piątego z koni, które się liczyły. Czwarty wydawał dźwięki jak orkiestra dęta, ale jeszcze się trzymał. Przed nim samym skrajem toru jechali: wojskowy na gniadoszu, farmer na swoim dużym kasztanie i Roger Clint na kasztanie z białymi pończochami. Poza Chevron koń Rogera Clinta był prawdopodobnie najlepszy, ale wojskowy jechał jak stary, doświadczony weteran, a farmer - na złamanie karku.

Trzymali się prawej strony toru, a młody koń farmera

odskakiwał stale w prawo trzymając się blisko bandy, tak że nikt nie mógł bezpiecznie zbliżyć się do środka. A ponieważ nikt nie chciał brać zakrętów szerszym lukiem, niż było to potrzebne, zwalniali trochę za dużym kasztanem, póki nie wyszli na prostą, gdzie mogli minąć go bezpiecznie. Wyścig miał się rozstrzygnąć na przestrzeni ostatniej pół mili na terenie parku.

Stopniowo dźwięki orkiestry, które dochodziły z lewej strony ucichły w dali, a kiedy wrócili do parku, było ich już tylko czterech: wojskowy, farmer, Clint i on. Pierwsi dwaj go nie obchodzili, ale bardzo pragnął pokonać Rogera Clintą.

Clint obejrzał się w momencie gdy zjeżdżali z pola, i rzucił mu przyjazny uśmiech. Potem nie było już czasu na uprzejmości. Tempo gwałtownie wzrosło i wszyscy czterej pędzili z tętentem zieloną aleją między powiewającymi czerwonymi chorągiewkami, jakby czekały ich na mecie najwyższe honory. Koń farmera zaczął się potykać, a koń wojskowego, choć mocny i najwyraźniej niestrudzony, nie mógł, jak się wydawało, rozwinąć dostatecznej szybkości, żeby wygrać bieg. Brat postanowił utrzymać Chevron tuż za kasztanem i zaczekać, co się będzie działo. Razem wysunęli się przed gniadosza i konia farmera. Farmer wyciągnął już szpicrutę, ale jego koń potykał się coraz bardziej po każdym uderzeniu. Wojskowy siedział spokojnie na swoim gniadoszu, widocznie pełen nadziei, że wytrzymałość zwycięży.

Brat widział dobrze Pończochę i stwierdził, że się szybko męczy i że Clint o tym wie i dlatego jedzie ostrożnie. Mieli jeszcze dwie przeszkody do pokonania. Brat nie wiedział, na jaką szybkość może zdobyć się Chevron i ile zostało jej sił, zdecydował więc, że najbezpieczniej będzie spróbować zwieść Clintą. Podpędził Chevron i zrównał ją z Pończochą, jakby robił ostatni wysiłek. Clint zwiększył szybkość i obaj wzięli ostatnie dwie przeszkody - Brat umyślnie trochę w tyle, poza zasięgiem wzroku Clintą. A potem zwolnił na chwilę, Clint zaś uważając, że pozostanie w tyle tak blisko celu świadczy o braku sił, przyjął z zadowoleniem, że nie będzie zmuszony żądać od swego konia najwyższego wysiłku, i zwolnił także.

Brat z całej siły spał wtedy Chevron i jak rakieta wypadł z za niego. Clint spojrział przerażony i popędził Pończochę, ale było już za późno. Znajdowali się zbyt blisko mety. Brat wygrał wyścig.

- Żeby dać się nabrać na taki stary kawał! - śmiał się Clint, kiedy prowadzili razem konie do wagi. - Gdzie ja miałem głowę!

A Brat pomyślał, że bez względu na to, czy Eleanor ma zamiar wyjść za Clinta, czy nie, on go naprawdę bardzo lubi.

## Rozdział XXVII

Brat spodziewał się, że sukces Simona wzmocni jego osłabiony system nerwowy, że znikną szczeliny rysujące się w jego psychicznej strukturze. Lecz stało się coś zupełnie odwrotnego. Popołudniowe napięcie, a następnie triumf z powodu pokonania tak świetnego konia jak Piorun zachwiały jeszcze silniej jego duchową równowagę.

- Nigdy nie widziałam Simona tak poruszonego - powiedziała Eleanor patrząc na niego ponad ramieniem Brata, kiedy tańczyli razem tego wieczoru. - Zwykle obojętnie przyjmuje swoje triumfy.

Brat odpowiedział, że to prawdopodobnie skutki wypitego szampana, i pokierował nią tak, że straciła Simona z oczu. Cieszył się cały dzień na to, że będzie tańczył z Eleanor, ale najpierw zatańczył z Bee. Tak jak wtedy zrezygnował z pierwszej przejażdżki konnej z Eleanor, aby pójść na Tanbitches z duchem Pata Ashby, tak samo teraz, kiedy miał przed sobą pierwszy taniec z Eleanor, stwierdził, że pragnie bardziej czego innego. Przeszedł przez salę i stanął przed Bee.

- Zatańczysz ze mną? - spytał.

Tańczyli szczęśliwi i spokojni. Bee rzuciła tylko:

- Kto cię nauczył stosowania takich wybiegów w wyścigach?

- Nikt nie potrzebował mnie uczyć. Z tym się na świat

przychodzi.

Roześmiała się i poklepała go ręką, którą opierała na jego ramieniu. Bee Ashby była miłą kobietą, lubił Bee.

- Prawie cię nie widziałam po południu od chwili tego koszmarnego popisu Tony'ego - powiedziała Eleanor.

Brat odrzekł, że chciał porozmawiać z nią przed wyścigiem, ale była pogrążona w rozmowie z Rogerem Clintem.

- Ach, tak. Pamiętam. Jego wuj życzy sobie, żeby rzucił gospodarstwo i zamieszkał w Ulsterze. Ten wuj to Tim Conell, wiesz, ma stadninę w Kilbarty. Zamierza już przestać pracować i ustąpiłby miejsca Rogerowi, ale on nie chce wyjeżdżać z Anglii.

Całkiem zrozumiałe, pomyślał. Anglia i Eleanor to raj.

- Nie widzę go tutaj.

- Nie, nie został na tańcach.

- Dlaczego? - zdziwił się Brat.

- Przyjechał tylko po to, żeby zdobyć srebrny puchar i zawieźć go żonie.

- Żonie?

- Tak. W zeszłym tygodniu urodziła pierwsze dziecko i wysłała go na ten pokaz, żeby zdobył puchar na chrzciny. Co się stało?

- Przypomnij mi, żebym kiedyś natarł uszu Ruth - odpowiedział i zaczął znów tańczyć.

Ubawiona spytała:

- Aha, Ruth pewnie puściła wodze fantazji?

- Powiedziała, że on chce się z tobą ożenić.

- Kiedyś chodziło mu to po głowie. No i ożenił się bardzo niedawno, więc może ona nie wie o tym. Nie bądź staroświecki i nie kontroluj moich matrymonialnych planów.

- A masz takie plany?

- Nie.

Gdy zabawa się przeciągała, a on wciąż z nią tańczył, powiedziała:

- Musisz naprawdę zatańczyć z kimś innym, Brat.

- Już tańczyłem.

- Tylko z Peggy Gates.

- Śledziłaś mnie? Czy przeszkadzam ci tańczyć z kimś, z kim byś chciała?

- Nie. Lubię tańczyć z tobą.

- No to wszystko w porządku.

Był to pierwszy i może ostatni wieczór, gdy mógł tańczyć z Eleanor. Przed samą północą poszli razem do bufetu, nałożyli sobie jedzenie na talerze i usiedli przy jednym ze stolików na tarasie. Bufet znajdował się w budynku hotelowym, a taras, żelazna konstrukcja z początków dziewiętnastego wieku, wychodził na niewielki ogród z boku. W ogrodzie i nad stolikami na tarasie rozwieszono chińskie lampiony.

- Jestem zbyt szczęśliwa, żeby jeść – powiedziała Eleanor i piła szampana, rozmarzona i milcząca. - Bardzo ci ładnie w wieczorowym ubraniu, Brat.

- Dziękuję.

- Podoba ci się moja suknia?

- Nie widziałem w życiu piękniejszej.

- Przypuszczałam, że będzie ci się podobała.

- Jadłaś już kolację?

- Nie, tylko wypiałam parę drinków i zjadłam kanapkę.

- To zjedz coś.

Jadła obojętnie, co było nie w jej stylu.

- To jednak wydarzenie w życiu Ashbych ta siedemdziesiąta czwarta doroczna wystawa rolnicza w Bures... Siedź przez chwilę spokojnie, komar spaceruje ci po kołnierzu.

Pochyliła się i strąciła mu lekko z szyi komara.

- Och, spadł!

Swobodnie, po siostrzanemu przechyliła mu głowę jedną ręką, a drugą schwyciła komara.

- Masz go? - spytał.

A gdy nie odpowiedziała, podniósł na nią wzrok.

- Nie jesteś moim bratem - powiedziała. - Nie czułabym tego... - Urwała przerażona własnymi słowami.

W ciszy dobiegł z daleka odgłos werbli z sali zebrania.

- Och, Brat, przepraszam! Nie myślałam tak! Chyba za wiele wypiałam! - Zaczęła płakać. - Przepraszam, Brat! -



Schwyciła torebkę ze stolika i potykając się wybiegła z ciemnego tarasu do pokoju, w którym był bufet. - Pójdę się położyć, to wytrzeźwieję.

Brat pozwolił jej odejść i poszedł pocieszyć się w bufecie. W sali o północy panował spokój; w odległym kącie siedział tylko Simon z butelką szampana.

- A, mój wielki brat - rzekł. - Nie interesujesz się totalizatorem? Napij się.

- Dziękuję. Sam sobie kupię.

Zapłacił za drinka przy barze i przyniósł go do stolika Simona.

- Przypuszczam, że totalizator to dla ciebie za długa sprawa - powiedział Simon. - Chciałbyś znać wynik, zanim postawisz.

Brat zignorował te słowa.

- Nie miałem jeszcze okazji pogratulować ci zwycięstwa na Kłocu.

- Nie potrzebuję twoich gratulacji.

Simon był z pewnością pijany.

- Bardzo byłem niegrzeczny, co? - powiedział tonem zadowolonego z siebie dziecka. - Ale lubię być niegrzeczny. Bardzo źle się dzisiaj zachowuję, prawda? Chyba głupstwa gadam. Napij się.

- Już wypilem.

- Nie lubisz mnie, co? - Zdawało się, że niechęć Brata sprawia mu przyjemność.

- Nie bardzo.

- Dlaczego?

- Chyba dlatego, że ty jedyny nie wierzysz, że jestem Patrykiem.

- Chcesz powiedzieć, że ja jedyny wiem, że nim nie jesteś.

Zaległo długie milczenie. Brat poszukał wzrokiem błyszczących oczu z dziwnymi ciemnymi obwódkami wokół tęczówki.

- Zabiłeś go - powiedział, nagle pewny tego.

- Oczywiście, że go zabiłem. - Simon pochylił się do przodu i z uciechą patrzył na Brata. - Ale ty nie będziesz mógł nigdy

nikomu tego powiedzieć. Bo przecież Patryk żyje. Rozmawiam z nim.

- Jak to zrobiłeś?

- Chciałbyś wiedzieć, co? Więc ci powiem. To bardzo proste. - Pochylił się jeszcze bardziej i powiedział szyderczo poufnym szeptem: - Widzisz, jestem czarownikiem. Potrafię być w dwóch miejscach równocześnie.

Wyprostował się i patrzył z satysfakcją na zbitego z tropu Brata.

- Pewnie myślisz, że jestem bardziej pijany niż w rzeczywistości, przyjacielu. Powiedziałem ci o Patryku, bo jesteś moim pośmiertnym współnikiem. Wspaniałe określenie. A udało mi się to w sposób doskonały. Jeśli myślisz, że nie usłyszysz szczegółów, to się mylisz.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- On był bardzo głupim chłopaczkiem - odrzekł swoim niedbałym tonem Simon. — I nie zasługiwał na Latchettsa potem dodał szczerze: - Nienawidziłem go, jeśli chcesz znać prawdę.

Nalał sobie następną szklanekę szampana i wypił ją duszkiem. Roześmiał się cicho i powiedział:

- Cudowna bliźniacza duchowa więź, co? Ja nie mogę donieść na ciebie, a ty nie możesz donieść na mnie.

- Posiadasz jednak przewagę nade mną.

- Tak? Jaka?

- Nie masz skrupułów.

- Tak. To chyba przewaga.

- Ja muszę ciebie znosić, ale ty nie masz zamiaru znosić mnie, co? Zrobiłeś wszystko, co mogłeś, żeby mnie zabić dziś po południu.

- Nie wszystko.

- Więc poprawisz się, jak sądzę.

- Poprawię.

- Tak przypuszczam. Ktoś, kto może być równocześnie w dwóch miejscach, potrafi coś więcej niż rozluźnić popręg.

- O, na pewno. Ale trzeba korzystać ze środków, jakie się ma pod ręką.

- Rozumiem.

- A może ty w zamian za moje zaufanie też mi coś powiesz?

- Co na przykład?

- Kim jesteś?

Brat siedział wpatrując się w niego dłuższą chwilę.

- Nie poznajesz mnie? - spytał.

- Nie. Kim jesteś?

- Zemstą - odrzekł Brat i dopił swego drinka.

Wyszedł z baru i przez chwilę stał oparty o balustradę, póki żołądek mu się nie uspokoił, i oddech nie stał się lżejszy. Próbował wynaleźć miejsce, gdzie mógłby samotnie przemyśleć tę sprawę. Nie w hotelu, tam do ich pokoju Simon może przyjść lada chwila; musi stąd wyjść.

Poszedł po płaszcz do siedemnastki i wracając spotkał Bee.

- Czy wszyscy zwariowali? - spytała z gniewem. - Eleanor na górze płacze, Simon pije na umór w barze, a teraz ty wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha. Co wam się stało? Pokłóciliście się?

- Czyśmy się pokłócili? Nie. Mam wrażenie, że Eleanor i Simon mieli trudny dzień.

- A dlaczego ty jesteś taki blady?

- Z powodu braku powietrza w tej sali balowej. Jestem człowiekiem otwartych przestrzeni, nie pamiętasz?

- Sądziłam zawsze, że w salach balowych jest dużo powietrza.

- Czy mogę wziąć samochód, Bee?

- Dokąd pojedziesz?

- Chcę obejrzeć wschód słońca nad doliną Kenley.

- Sam?

- Zupełnie sam.

- Włóż płaszcz - poradziła. - Jest zimno na dworze.

Na szczycie wzgórza wznoszącego się nad doliną

Kenley zatrzymał samochód i zgasił silnik. Było jeszcze ciemno i nieprędko miał wstać dzień. Wysiadł i stanął na skraju porośniętą pagórką, oparty o maskę samochodu, wsłuchany w ciszę. Po minionym słonecznym dniu ziemia i trawa pachniały mocno w chłodnej wilgoci. W nieruchomym

powietrzu rozległ się gwizd przejeżdżającego w dali pociągu.

Zapalił papierosa. Żołądek przestał mu dokuczać, lecz niepokój przesunął się wyżej. Panował teraz w jego głowie.

Miał więc rację co do Simona. Słusznie widział w nim podobieństwo do Kłoca: rasowy, o pięknych manierach, ale łajdak. Simon w barze powiedział prawdę. Był zadowolony, że to zrobił. Podobno wszyscy mordercy lubią się przechwalać swoimi czynami; Simon pewnie często pragnął opowiedzieć komuś, jaki się okazał sprytny. Nie mógł tego jednak dotąd uczynić; dopiero teraz znalazł „bezpiecznego” słuchacza.

On, Brat Farrar, był „bezpiecznym” słuchaczem.

On, Brat Farrar, był właścicielem Latchetts i Simon uznał za rzecz niewątpliwą, że zatrzyma, co wziął, zatrzyma jako wspólnik Simona.

Lecz to było oczywiście niemożliwe. Piekielny sojusz z Lodgingiem to co innego; ale spółka z Simonem, tak szydlerczo uznana za oczywistą, nie wchodziła w grę. To coś potwornego. Nie do pomyślenia.

Co więc robić?

Iść na policję i powiedzieć: „Słuchajcie, nie jestem Patrykiem Ashby. Patryka zabił jego brat przed ośmiu laty. Wiem o tym, bo sam mi to po pijanemu wyznał”.

A oni wtedy zwrócą uwagę, że w toku śledztwa w sprawie śmierci Patryka Ashby udowodnione zostało, że Simon Ashby spędził krytyczne godziny w towarzystwie kowala w Clare.

Brat może im powiedzieć prawdę o sobie, ale zmieni to tylko jego własne życie. Patryk Ashby pozostanie samobójcą.

Jak Simon to zrobił?

„Trzeba korzystać ze środków, jakie ma się pod ręką”, powiedział, gdy rozmawiali o rozluźnieniu przez niego popręgu.

Jakie „środki” miał pod ręką tamtego dnia przed ośmiu laty?

Rozluźnienie popręgu było połączeniem akcji zaplanowanej z improwizowaną. Pomysł podpisu w książce był dość bezpieczną próbą rozwiązania sprawy. Gdyby Simonowi się udało usunąć go całkiem z drogi, miałby swobodę wykonania reszty swego

planu. Gdyby się nie udało, nie stałoby się nic złego. Sprawa dla postronnego obserwatora wyglądała niewinnie.

Tak rozumował Simon w związku z popręgiem i niewątpliwie tak samo rozumował przed ośmiu laty. Inscenizacja nieszkodliwa i prosta. Wykorzystanie środków znajdujących się pod ręką.

W jaki sposób przed ośmiu laty Simon wykorzystał niewinny zbieg okoliczności, żeby stworzyć sobie potrzebną okazję?

Brat dręczył się wciąż jeszcze tym problemem, kiedy pierwszy podszept wiatru dał znać o zbliżaniu się świtu. Po chwili wiatr powiał znowu, zakołysał liśćmi i trawą niebo na wschodzie poszarzało. Brat patrzył, jak wstaje słońce. Pierwsze ptasie głosy zmąciły ciszę.

Stał tu już parę godzin i nie był ani trochę bliższy rozwiązania problemu.

Nadszedł wolno policjant prowadząc rower i zatrzymał się, by zapytać Brata, czy ma jakiś kłopot. Brat wyjaśnił, że wyjechał odetchnąć świeżym powietrzem po balu.

Policjant spojrzał na jego sztywną koszulę i przyjął to tłumaczenie bez komentarza. Zajrzał do wnętrza samochodu i powiedział:

- Pierwszy raz widzę młodego człowieka, który po balu wychodzi sam odetchnąć świeżym powietrzem. Nie zgłodził jej pan przypadkiem ze świata?

Brat zadał sobie pytanie, co by powiedział policjant, gdyby rzekł: „Nie, ale jestem związany z innym morderstwem”.

- Porzuciła mnie - powiedział.

- A, rozumiem. Leczy pan zranione serce. Niech mi pan wierzy, że za tydzień będzie pan miał ochotę skakać do góry błogosławiąc los.

I odszedł pchając swój rower skrajem wzgórza.

Brat zaczął dygotać z zimna.

Wszedł do samochodu i ruszył za policjantem. Zapytał go, gdzie można wypić coś gorącego.

Policjant odpowiedział, że dwie mile dalej, przy głównym skrzyżowaniu dróg, jest kawiarnia otwarta całą noc.

W kawiarni, ciepłej, jasnej i przytulnej, wypił bardzo gorącą kawę. Ładna, hoża kobieta smażyła kiełbaski dla dwóch kierowców ciężarówek, a trzeci próbował szczęścia w automacie stojącym w rogu sali. Popatrzyli obojętnie na strój wieczorowy Brata, ale poza słowami powitania zostawili go w spokoju.

Wrócił do Bures w porze śniadania i wstawił wóz do garażu. Sień gospody „Pod Szachownicą” wyglądała, jakby jej nie sprzątano; było dopiero w pół do ósmej, goście, którzy przyjechali na wystawę, jeszcze spali. Wszedł na górę do pokoju numer siedemnaście i zastał tam śpiącego mocno Simona; stos jego garderoby leżał na podłodze, tak jak ją z siebie zrzucił. Brat zaczął się przebierać w zwykłe ubranie najpierw cicho, a potem mniej uważnie, gdy zdał sobie sprawę, że tylko długie tarmoszenie obudziłoby Simona w jego obecnym stanie. Przyjrzał mu się ze zdumieniem. Simon spał spokojnie jak dziecko. Czy po ośmiu latach tak się przyzwyczał, że popełniony czyn już go nie niepokoił, czy też w jego pojęciu nie był on nigdy czymś potwornym?

Była to twarz pełna uroku, z wyjątkiem może lekkiego grymasu w ustach. Śliczna twarz, delikatna i proporcjonalna. Nie było na niej śladu przestępstwa, tak jak nie było śladu zła w piękności Kloca.

Brat zszedł na dół i umył się, żałując, że nie pomyślał w porę o kąpieli. Tak bardzo pragnął przebrać się bez konieczności rozmowy z Simonem.

Kiedy wszedł do jadalni, zastał tam Bee i bliźniaczki przy śniadaniu, przyłączył się więc do nich.

- Neli i Simon śpią jeszcze - powiedziała Bee. - Wracaj ze mną i z dziewczynkami samochodem, a Eleanor zabierze Simona, kiedy się obudzą.

- A co z Tonym?

- Pojechał wczoraj z panią Stack.

Z ulgą przyjął wiadomość, że wróci spokojnie z Bee do Latchetts.

Bliźniaczki zaczęły rozmawiać o wyczynie Tony’ego, który miał najwyraźniej wejść do historii Latchetts, więc Brat nie

musiał brać udziału w rozmowie. Bee spytała, czy wschód słońca spełnił jego oczekiwania, i zauważyła, że wygląda teraz lepiej.

Wczesnym rankiem wśród zielonego krajobrazu jechali do Clare i Brat spostrzegł, że patrzy na wszystko z uczuciem człowieka, który już niedługo będzie żył. Patrzył, jak ktoś, kto mówi sobie: to zostanie, gdy mnie już nie będzie.

Nie pojedzie już nigdy do Bures. Może nawet nie pojedzie samochodem z Bee.

Jakiegokolwiek miały być konsekwencje wyznania Simona, oznaczało ono na pewno koniec jego życia w Latchetts.

## Rozdział XXVIII

Był czwartek rano, a w niedzielę Charles Ashby miał przyplłynąć do Southampton Water i nic już nie mogło wstrzymać uroczystości. Brat z uczuciem rozpaczony wszedł za Bee do hallu w Latchetts.

- Czy miałabyś mi za złe, gdybym was opuścił i pojechał do Westover? - spytał.

- Nie. Uważam, że należy ci się trochę odpoczynku od rodziny. Simon wciąż ucieka.

Pojechał więc autobusem do Westover i zaczekał, aż pan Macallan zasiadł do południowej kawy. Poszedł potem do redakcji „Westover Times” i poprosił o udostępnienie mu archiwum. Goniec, który nie zdradził niczym, że widział kiedykolwiek Brata, zaprowadził go do podziemi i pokazał, gdzie mieszczą się archiwa. Brat przeczytał znów od nowa sprawozdanie ze śledztwa, ale w niczym mu to nie pomogło.

Może w pełnym raporcie da się coś znaleźć?

Wyszedł i poszukał w książce telefonicznej numeru pułkownika Smolletta.

Zapytał go, gdzie znajduje się raport ze śledztwa w jego sprawie. Czy w policji? A jeśli tak, to czy mógłby mu go udostępnić.

Pułkownik zgodził się, lecz uznał to życzenie za rzecz

nienormalną i dziwną i prosił młodego Ashby'ego, żeby się jeszcze zastanowił.

Poprzedzony telefoniczną rekomendacją pułkownika, udał się do bardzo ubawionego jego prośbą dygnitarza policji, który posadził go w skórzanym fotelu, poczęstował papierosami i położył przed nim raport koro- nera sprzed ośmiu lat z pośpiechem kuglarza wyciągającego królika z kapelusza.

Brat przeczytał raport parę razy. Było to po prostu szczegółowe powtórzenie tego, co wydrukował „Westover Times”.

Podziękował policjantom, poczęstował ich z kolei papierosami i wyszedł bez żadnej koncepcji, tak jak przyszedł. Skierował się do portu i oparty o mur wpatrywał się w skały na zachodzie.

Ustalił w każdym razie jedno. Rzecz pewną, której nie można było obalić. Simon Ashby był tego dnia w Clare. Tak twierdził człowiek, który nie miał powodu kłamać i nie podejrzewał, że ten fakt ma jakiegokolwiek znaczenie. Simon nigdy nie oddalał się na tyle od pana Pilbeama, by jego nieobecność dała się odczuć.

Pat Ashby musiał zostać zabity między chwilą, gdy spotkał go wczesnym popołudniem stary Abel, a chwilą gdy pan Pilbeam wysłał Simona do domu na kolację o szóstej.

Zabiła mu klina wiatrówka na skale. To Simon napisał kartkę, ale Simon nie oddalił się ani na chwilę z Clare.

O godzinie drugiej oprzytomniał i poszedł zjeść lunch w małym portowym barze. Niewiele już tam do jedzenia zostało, nie miało to jednak znaczenia, bo siedział wpatrując się w talerz, póki nie położono przed nim rachunku.

Wrócił do Latchetts i nie wchodząc do domu poszedł do stajni wyprowadzić jednego z koni, które nie były w Bures. W stajni znajdował się tylko Artur; zameldował, że wszystkie konie wróciły szczęśliwie i mają się dobrze, tylko Kloc się ściga.

- Pojedzie pan tak na nim, sir? - spytał Artur wskazując ruchem głowy tweedowe ubranie Brata.

Brat odparł, że pojedzie.

Skręcił na pastwisko, tak jak pierwszego ranka, kiedy wziął



Kloca, i powtórzył wszystko, co robił wtedy, siedząc na jego grzbiecie. Lecz nie czuł już tej samej szalonej radości. Cały świat wydawał się smutny, życie miało gorzki smak.

Zeskoczył z konia i usiadł w tym samym miejscu, gdzie siedział przed miesiącem, wpatrując się w niewielką zieloną dolinę. Wtedy wydawała mu się rajem. Nawet ta głupia dziewczyna, która z nim wówczas rozmawiała, nie mogła mu zepsuć tego wrażenia. Przypomniawszy sobie, jak wytrzeszczyła oczy, kiedy przekonała się, że on nie jest Simonem. Przyszła pewna, że zastanie tu Simona, bo było to jego ulubione miejsce do trenowania koni. Bo on...

Brat poruszył się tak gwałtownie, że koń szarpnięty za wędzidło podniósł łeb.

Bo on...?

Słyszał w myśli głos dziewczyny. Podniósł się wolno i stał długo wpatrując się w drugą stronę doliny.

Wiedział już, w jaki sposób Simon dokonał morderstwa. I znał też odpowiedź na pytanie, które go intrygowało. Wiedział, czemu Simon bał się, czy jakimś cudem nie wrócił prawdziwy Patryk.

Wsiadł na konia i pojechał z powrotem do stajni. Wiatr gnał duże chmury z południowego zachodu, zaczynał padać deszcz. W siodłami wyjął z biurka kartkę papieru i napisał na niej: „Nie będę na kolacji. Nie zamykaj drzwi frontowych na klucz i nie martw się, jeśli wrócę późno.” Włożył kartkę do koperty, zaadresował ją do Bee i polecił Arturowi, aby ją doręczył, kiedy będzie przechodził koło domu. Wziął płaszcz nieprzemakalny wiszący na drzwiach siodłami i wyszedł w deszcz. Teraz już wiedział. Tylko co z tym zrobić?

Szedł bez wyraźnego celu, nieświadomy niczego poza strasznym pytaniem, na które musiał znaleźć odpowiedź. Doszedł do kuźni, gdzie Pilbeam pracował jeszcze, przywitał się z nim, porozmawiał chwilę o robocie i o pogodzie, jakiej można się spodziewać, przez cały czas bijąc się z myślami na ten sam temat.

Poszedł ścieżką prowadzącą na Tanbitches, po mokrej trawie wspinał się do kępy buków na szczycie wzgórza i spacerował

pośród grubych pni, przygnębiony i niezdecydowany.

Jak mógłby zawiadomić o tym Bee?

I Eleanor? I co z Latchetts?

Czy nie wyrządził już Latchetts dostatecznej krzywdy?

Czy miałyby to tak wielkie znaczenie, gdyby Simon pozostał właścicielem majątku, tak jak był nim przez osiem lat?

Komu przyniosłoby to szkodę? Tylko jednemu człowiekowi: Patrykowi.

Gdyby Simon został skazany za morderstwo popełnione na Patryku, byłoby to okropne dla Bee i dla reszty rodziny.

On wcale tego nie musi robić. Może odejść: upozorować samobójstwo. Ostatecznie Simon upozorował samobójstwo Patryka i nie wydało się to w śledztwie policyjnym. Jeśli mógł to zrobić chłopiec trzynastoletni może i on. Zniknie po prostu i wszystko pozostanie tak jak było przed miesiącem.

A Pat Ashby?

Pat, gdyby mógł wybierać, nie chciałby na pewno kary dla Simona kosztem katastrofy dla całej rodziny Pat, który był taki dobry i myślał przede wszystkim o innych.

A Simon?

Czy on, Brat, ma potwierdzić potworne przypuszczenie Simona, że nie robi nic? Czy Simon ma spędzić długie życie jako właściciel Latchetts? Czy jego dzieci mają odziedziczyć te dobra?

Ale przynajmniej byłiby jacyś Ashby. A gdyby Simon został skazany, nie byłoby już Ashbych w Latchetts.

Jaką korzyść przyniosłoby Latchetts zabezpieczenie tej schedy przez zatajenie morderstwa?

A może przybył w tak niezwykle sposób do Latchetts po to właśnie, żeby ujawnić tę zbrodnię?

Zjechał pół świata, żeby spotkać na ulicy Lodinga, więc powiedział sobie, że tak dziwny zbieg okoliczności to chyba przeznaczenie. Lecz nie wyobrażał sobie, że będzie to coś tak ważnego. Aż tak doniosłego.

Co powinien zrobić? Kto mógłby mu doradzić? Zdecydować za niego? To niesłuszne, żeby taki ciężar spadał na jego barki. Nie ma dostatecznej wiedzy, doświadczenia, żeby rozstrzygać

tak istotną sprawę.

„Jestem zemstą” - powiedział do Simona i tak myślał. Ale wtedy nie miał jeszcze w ręku narzędzia zemsty.

Co zrobić?

Pójść dziś wieczorem na policję? Czy jutro?

Nie robić nic i pozwolić, aby po przyjeździe Charlesa Ashby rozpoczęły się uroczystości?

Co robić?

Późno w nocy George Peck, siedzący w gabinecie i uświadamiający sobie od czasu do czasu z dogodnego punktu obserwacyjnego w dalekich Tebach, że deszcz bębni o szyby na probostwie w Clare, usłyszał pukanie do okna i powrócił z Teb, żeby otworzyć drzwi. Nie po raz pierwszy ktoś pukał do tego okna późną nocą.

W blasku światła padającego z hallu ujrzał jednego z braci Ashbych; nie wiedział na razie, który to, bo przemoczony kapelusz zakrywał oczy.

- Czy mogę wejść i porozmawiać z panem, pastarze?

- Oczywiście, Patryku. Wejdz, proszę.

Brat stał w progu, woda strugami spływała z jego płaszcza.

- Przepraszam, jestem cały mokry – powiedział z wahaniem.

Pastor spojrzał w dół i zobaczył, że popielate spodnie gościa są ciemne, a buty nasiąknięte wodą. Spojrzał bystro w twarz młodego człowieka. Brat zdjął przemoczony kapelusz, z mokrych włosów spływała mu po twarzy woda.

- Zdejmij płaszcz i zostaw go tutaj - powiedział pastor. - Dam ci inny, jak będziesz wychodził. - Podszedł do szafy w hallu i wrócił z ręcznikiem. - Wytrzyj sobie głowę.

Brat zrobił to z posłuszną miną, niezgrabnymi ruchami dziecka. Pastor wszedł do pustej kuchni i przyniósł imbryk z wodą.

- Chodź - powiedział. - Rzuć ręcznik tam, gdzie leży twój przemoczony płaszcz. - Poprowadził go do swego gabinetu i postawił imbryk na elektrycznej maszynie. - Zaraz się zagotuje. Często robię sobie herbatę, kiedy siedzę do późna. O czym chciałeś ze mną porozmawiać?

- O zasadzce w Dotan<sup>6</sup>.

- O czym?

- Przepraszam. Mój mózg przestał pracować. Ma pan coś do picia?

Pastor zamierzał dolać whisky do herbaty, by zrobić coś w rodzaju ponczu, ale nalał Bratowi nie rozcieńczonego alkoholu.

- Dziękuję. Przepraszam, że przychodzę i niepokoję pana, ale muszę z panem pomówić. Mam nadzieję, że się pan nie gniewa.

- Jestem tu po to, żeby rozmawiać z ludźmi. Może jeszcze whisky?

- Nie, dziękuję.

- No, to dam ci suche buty.

- O nie, dziękuję. Jestem przyzwyczajony do przemoczonych rzeczy. Pastorze, potrzebuję pana rady w bardzo ważnej sprawie, ale czy mogę mówić z panem tak, jak mówi się w konfesjonale? To znaczy, żeby pan nie uważał, że musi coś z tym zrobić?

- Cokolwiek mi powiesz, potraktuję to na pewno jako spowiedź.

- Najpierw muszę coś panu wyznać. Nie jestem Patrykiem Ashby.

- Nie - zgodził się pastor.

Brat popatrzył na niego ze zdziwieniem.

- To znaczy... to znaczy, że pan wiedział, że nie jestem Patrykiem?

- Tak mi się wydawało.

- Dlaczego?

- W każdym człowieku jest coś więcej poza jego fizyczną postacią, jakaś osobowość, indywidualność, która z niego emanuje. A ja byłem prawie pewny, kiedy cię pierwszy raz zobaczyłem, że nigdy cię przedtem nie znałem. Niczego w tobie nie rozpoznałem, choć miałeś wiele wspólnego z

---

<sup>6</sup> Aluzja do historii biblijnego Józefa, którego bracia postanowili podstępnie zgładzić, wrzucając go do studni w Dotan. (Dziś Dotan na północ od Jerozolimy.) Wzmianka o tym znajduje się w Księdze Rodzaju, 37, 14-17.

Patrykiem i byłeś do niego podobny.

- I nic pan nie zrobił?

- A co miałem zrobić? Wasz doradca prawny, rodzina, wszyscy znajomi przyjęli cię i radośnie powitali. Nie miałem możliwości wykazać, że nie jesteś Patrykiem. Nic poza własnym przekonaniem. Jaki sens miałyby wyrażanie moich wątpliwości? Wydawało mi się, że sytuacja rozwiąże się sama bez mojej ingerencji.

- To znaczy, że mnie zdemaskują?

- Nie. Mam na myśli to, że nie wydawałeś mi się kimś, kto mógłby być szczęśliwy w tym nowym życiu, jakie obrał. Sądząc po twojej dzisiejszej wizycie miałem rację.

- Ja nie przyszedłem tu tylko po to, żeby wyznać, że nie jestem Patrykiem.

- Nie?

- Nie, tylko... Musiałem to panu powiedzieć, bo to był jedyny sposób, żeby pan mógł zrozumieć, co... Tak mi się mąci w głowie. Spacerowałem próbując uporządkować myśli...

- Może przejaśniłoby mi się w głowie, gdybyś mi powiedział, w jaki sposób przywędrowałeś do Latchetts.

- Spo... spotkałem kogoś w Ameryce, kto kiedyś mieszkał w Clare. Oni... to znaczy ona uważała, że jestem podobny do Ashbych, i podsunęła mi myśl, żebym udawał Patryka.

- A ty miałeś płacić jej jakiś udział w zyskach z tego oszustwa.

- Tak.

- Mogę tylko powiedzieć, że zasłużyła na swój procent. Musi być znakomitą nauczycielką. Nigdy nie widziałem lepszego przygotowania do egzaminu. Jesteś więc Amerykaninem?

- Nie - odrzekł Brat, a pastor uśmiechnął się lekko zauważając nacisk, jaki położył na to słowo. - Wychowałem się w sierocińcu. Podrzuciono mnie na jego progu.

Opowiedział pastorowi w skrócie historię swego życia.

- Słyszałem o tym twoim sierocińcu - rzekł pastor, kiedy Brat skończył. - Wyjaśnia jedną rzecz, która mnie

intrygowała: twoje dobre wychowanie. - Nalał herbatę i dodał do niej whisky. - Chciałbyś może zjeść coś solidniejszego niż biskwity? Nie? No to weź te z płatków owsianych, są bardzo sycące.

- Musiałem powiedzieć panu to wszystko, bo dokonałem pewnego odkrycia. Patryk nie popełnił samobójstwa. Został zamordowany.

Pastor postawił filiżankę, którą trzymał w ręku. Po raz pierwszy wydawał się wstrząśnięty.

- Zamordowany? Przez kogo?

- Przez swego brata.

- Simona?

- Tak.

- Ależ, Patryku! To znaczy... A propos, jak ci na imię?

- Zapomina pan, że nie mam imienia. Zawsze nazywano mnie Brat. To przekreślony Bartłomiej.

- Ależ, mój kochany, to absurd. Jakie masz dowody na coś tak nieprawdopodobnego?

- Powiedział mi o tym sam Simon.

- Simon ci powiedział?

- Przechwalał się tym. Powiedział, że nigdy nie będę mógł zrobić użytku z jego wyznania, bo wydałbym w ten sposób siebie. Gdy tylko mnie zobaczył, wiedział, że nie jestem Patrykiem.

- Kiedy odbyła się ta niezwykła rozmowa?

- Wczoraj wieczorem, na balu w Bures. Nie było to tak niespodziewane, jak się wydaje. Już dawno zacząłem się zastanawiać nad Simonem i sprowokowałem go, gdy powiedział, że wie, iż nie jestem Patrykiem, śmiejąc się i chępiąc z tego powodu.

- Wydaje mi się, że tło tej sceny wyjaśnia wiele.

- Myśli pan, że byliśmy pijani?

- Niezupełnie. Powiedzmy, podchmieleni. Sprowokowałeś Simona do rozmowy na ten temat, a on, ze swoim wypaczonym poczuciem humoru, powiedział ci to, czego od niego oczekiwałeś.

- Czy pan naprawdę sądzi, że jestem tak mało inteligentny?

- spytał spokojnie Brat.

- Muszę przyznać, że mnie to dziwi, zawsze uważałem cię za wybitnie inteligentnego.

- Więc proszę uwierzyć, że nie przyszedłem tutaj z powodu jakichś wygłupów Simona. Patryk nie popełnił samobójstwa. Zabił go Simon. Z premedytacją. A co więcej, wiem, jak to zrobił.

I opowiedział wszystko pastorowi.

- Ależ Brat, nawet teraz nie masz dowodu. To wszystko jest teoria. Pomysłowa i prawdopodobna teoria, przyznaję. Wartość jej polega na prostocie. Nie masz jednak na jej poparcie żadnych dowodów.

- Możemy zdobyć dowody z chwilą, gdy policja dowie się prawdy. Ale nie o to mi chodzi. Proszę o radę, czy mam w ogóle ruszać tę sprawę.

I wyjaśnił swój problem.

Pastor, który milczał mając wątpliwości co do tożsamości Brata, w tej sprawie, o dziwo, nie miał żadnych. Jeśli zostało dokonane morderstwo, musi wkroczyć prawo. Wszystko inne to anarchia.

Uważał jednak, że Brat nie ma dowodu przeciwko Simonowi. Brat podejrzewał go o morderstwo, zarzucił je Simonowi, który w jednym ze swoich dobrze znanych szelmowskich nastrojów przyznał się, Brat zaś po długim namyśle wziął to za wyznanie.

- I pan sądzi, że od czwartej spacerowałem po deszczu z powodu głupiego żartu Simona? Że przyszedłem do pana i przyznałem się, że nie jestem Patrykiem, z powodu kawału Simona? - Pastor milczał. - Niech mi pan powie, pastorze, czy był pan zdziwiony, kiedy Patryk popełnił samobójstwo?

- Niezwykle.

- Czy zna pan kogoś, kogo to nie zdziwiło?

- Nie. Ale każde samobójstwo jest rzeczą zadziwiającą.

- Poddaję się - rzekł Brat.

Po pełnej namyśle ciszy, która zaległa po tych słowach, pastor powiedział:

- Rozumiem teraz, co miałeś na myśli mówiąc o zasadzce w Dotan. Doskonale wykształcenie odebrałeś w tym sierocińcu.

- Chce pan powiedzieć, że poznałem doskonale Biblię. I Simon zna tę historię.

- Spodziewam się, ale skąd o tym wiesz?

- Kiedy dowiedział się, że Patryk wrócił, nie potrafił mimo wszystko ukryć obawy, że może to prawda. Tak się już kiedyś zdarzyło, jak pan wie. Wtedy ofiara ocalała cudem. Obawiał się, że jakimś cudem ocalał i Patryk. Wiem, że się obawiał, bo tego pierwszego dnia, gdy przyjechałem, wszedł do pokoju w ogromnym napięciu; przygotowany na najgorsze. Jego ulga, kiedy mnie zobaczył, była nieomal zabawna.

Dopił herbatę i popatrzył trochę kpiąco na pastora. Mimo wszystko zaczynał czuć się lepiej.

- Inny kawał Simona to wysłanie mnie od razu pierwszego dnia na Klocu bez uprzedzenia, że to hultaj.

Ale przypuszczam, że było to tylko jego „wypaczone poczucie humoru”. A jeszcze inny kawał to rozluźnienie mi popregu wczoraj, zanim zacząłem wyścig na Chevron. Przypuszczam jednak, że był to po prostu wynik jednego z jego „dobrze znanych szelmowskich nastrojów”.

Pastor wpatrywał się w Brata przenikliwym wzrokiem.,

- Nie bronię Simona, nigdy nie miał pięknego charakteru, ale figle urządzone intruzowi, oszustowi, nawet niebezpieczne figle, to jedno, a zamordowanie ukochanego brata to zupełnie co innego. A propos, dlaczego Simon nie zdemaskował cię od razu, jeśli nie uderzył, że jesteś jego bratem?

- Dla tego samego powodu, dla którego pan tego nie zrobił.

- Rozumiem. Uznano by jedynie, że... że jest niedowiarkiem.

- I oczywiście, kiedy pozbył się bezkarnie jednego Patryka, mógł się śmiało spodziewać, że pozbędzie się także drugiego.

- Brat, chciałbym cię przekonać, że to wytwór twojej imaginacji.

- Ma pan wysokie mniemanie o mojej imaginacji.

- Jeśli uczciwie i krytycznie spojrzysz w siebie, zobaczysz, z jak maleńkich ziarenek ta sprawa w twoich myślach urosła. To budowla wzniesiona przez ciebie samego.



Kiedy Brat o drugiej nad ranem wyszedł, pastor był nadal tego samego zdania.

Zaproponował gościowi nocleg, lecz Brat ograniczył się do pożyczania płaszcza i latarki i rozmokłą po deszczu ścieżką polną dotarł do Latchetts wśród beznadziejnej ulewy.

- Przyjdź do mnie jeszcze, zanim coś zdecydujesz - powiedział mu na pożegnanie pastor. Pomógł mu jednak przynajmniej w jednym. Odpowiedział na główne pytanie Brata. Jeśli trzeba wybierać między miłością a sprawiedliwością, wybór musi paść na sprawiedliwość.

Drzwi frontowe w Latchetts nie były zamknięte, na stole w hallu leżała kartka od Bee: „Zupa na maszynie w spiżarni”, a przy srebrnym pucharze na podstawce z kości słoniowej przyczepiona była kartka napisana przez Eleanor: „Zapomniałeś tego, ty zblazowany kowboju!”

Zgasił światła, przeszedł cicho przez uśpiony dom do dawnego dzieciennego pokoju i wsunął się do łóżka. Ktoś włożył mu butelkę z gorącą wodą. Zasnął, ledwie dotknął głową poduszki.

## Rozdział XXIX

W piątek rano Simon zszedł na śniadanie w pogodnym i wesołym nastroju i miło przywitał się z Bratem.

Wygłosił parę uwag na temat postępującego śledztwa w sprawie zwłok odkrytych w kufrze, charakteru Tattie Thacker, ocenionego przez sąd bardzo nisko, i niesłuszności zażywania trucizny w celu pozbycia się powłoki cielesnej. Poza jednym krótkim błyskiem oka nie okazał, że coś się w ich wzajemnym stosunku zmieniło. Przyjmował za rzecz oczywistą ich „bliźniaczą duchową więź”.

Eleanor starała się także okazać, że jest z Bratem w dobrej komitywie, choć wydawała się onieśmielona jak ktoś, kto popełnił nietakt towarzyski. Zaproponowała, żeby zawieźć po południu cztery srebrne puchary do Westover i kazać wyryć na nich odpowiednie napisy.

- Miło będzie odczytać znów na pucharze „Patrik Ashby” - powiedziała.

- O tak! - potwierdził Simon.

Simon widocznie cieszył się na lata, które wypełni dręczeniem swego duchowego brata. Lecz kiedy Brat, odpowiadając Bee, powiedział, że rozmawiał do późna w noc z pastorem, Simon podniósł głowę, jakby usłyszał ostrzeżenie. A później Brat spostrzegł, że zerka na niego od czasu do czasu.

Gdy Eleanor i Brat wybierali się po południu do Westover, Simon chciał koniecznie jechać z nimi jako trzeci ciasną niewygodną „pluskwą”. Jeden z pucharów zdobył sam, bez niczyjej pomocy, jak twierdził, ma więc prawo zadecydować, co będzie na nim wyryte i jakimi literami: rzymskimi, arabskimi, żydowskimi, greckimi, cyrylicą czy po prostu wystenografowane.

Tak wielki był urok osobisty Simona, że nawet Brat zaczął się zastanawiać, czy pastor nie miał racji i czy on nie wymyślił całej tej historii. Lecz przypomniał sobie konia, którego farmer Gates kupił dla córki Peggy, i zdecydował, że to jest bardziej charakterystyczne dla Simona niż wszystko, co mógłby on zademonstrować.

Kiedy uzgodnili, jakimi literami mają być wyryte napisy na pucharach, Simon i Eleanor poszli na herbatę, a Brat oznajmił, że ma do załatwienia parę sprawunków. Zdecydował już, co dalej robić. Nie mógł pójść z tą historią na obecnym etapie na policję. Nie było żadnej nadziei, że mu uwierzą, tak jak nie uwierzył pastor. Jeśli on, który znał wady Simona, nie chciał dać mu wiary bez konkretnego dowodu, o ileż bardziej nieufnie zachowałyby się policja, dla której Simon nie był postrzelonym młokosem, lecz panem Ashby z Latchetts.

Brat zamierzał więc dostarczyć im dowodu.

Zszedł do portu, odszukał odpowiedni sklep i tam po naradach i długim wybieraniu kupił dwieście stóp linki. Była ona cienka, mniej więcej taka jak gruby sznurek, ale mocna jak stal. Poprosił o zapakowanie sprawunku w kartonowe pudło i dostarczenie do garażu w gospodzie „Pod Aniołem”, gdzie stała

„pluskwa”.

Otrzymał tam paczkę i włożył ją do bagażnika.

Kiedy tamtych dwoje nadeszło, czekał już niewinnie przy samochodzie z gazetą w ręku.

Wsiedli do „pluskwy” i mieli już ruszać, kiedy Simon powiedział:

- Stop! Zapomnieliśmy zostawić tu tę starą oponę. - Wysiadł i otworzył bagażnik, żeby ją wyjąć.

- Co jest w tym pudle, Neli?

- Nie kładłam tam żadnego pudła - odrzekła nie ruszając się Eleanor. - To nie nasze.

- To moje - odezwał się Brat.

- Co to jest?

- Tajemnica.

- „James Fryer i Syn. Zaopatrzenie okrętów” - przeczytał Simon.

O Boże! Na pudle znajdowała się nalepka, której nie zauważył.

Simon zatrzasnął bagażnik i usiadł znów w samochodzie.

- Co kupiłeś, Brat? Okręt w butelce? Nie, to trochę za duża paczka. Może okręt nie w butelce? Jeden z tych galeonów w pełnym ożaglowaniu, które zdobią serwantki w przedmiejskich domach ciesząc oko naszego wyspiarskiego ludu i na otarcie łez po morskiej chorobie w czasie podróży do Margate.

- Nie błażnij, Simon. Co to jest, Brat? Czy to naprawdę tajemnica?

Jeśli Simon zechce dowiedzieć się, co zawiera pudło, napewno tak czy inaczej się dowie. A robienie z tej sprawy tajemnicy zwraca na nią uwagę. O wiele lepiej wszystko szczerze wyjaśnić.

- Jeśli musisz wiedzieć, to straciłem wprawę w spinningu, kupiłem więc sobie kawałek linki, żeby poćwiczyć.

Eleanor była zachwycona. Brat musi im dziś jeszcze pokazać, jak łowi na spinning.

- Nie. Dopiero jak sam to na osobności wypróbuję.

- Nauczysz mnie, dobrze?

Tak, nauczy ją zarzucać linkę. Znienawidzi go niebawem, jeśli ta linka spełni cel, w jakim została kupiona.

Kiedy wrócili do Latchetts, wyjął linkę i zostawił ją na wierzchu w hallu. Bee zapytała, co to jest, i przyjęła wyjaśnienie. Nikt już nie zwracał na linkę uwagi. Brat pragnął, żeby jego ostatnie krótkie chwile w Latchetts nie upłynęły na kłamstwach. Dziwne było, że łącząc dotychczas bez skrupułów, tak przejmował się teraz tym błahszym oszustwem.

Był jeszcze czas, żeby się wycofać. Pozostawić linkę tam, gdzie leży, i nie być zmuszonym odpowiadać na żadne pytania. Nie była to dobra linka do spinningu, ale mógł zamienić ją na właściwą.

Lecz gdy zapadła noc i pozostał w swoim pokoju sam, wiedział, że nie ma wyboru. Przewędrował pół świata, żeby to zrobić i zrobi.

Wszyscy położyli się spać wcześniej, zmęczeni jeszcze emocjami w Bures. Zaczekał do wpół do pierwszej, a potem wyruszył zbadać teren. Nie świeciło się nigdzie. Panowała zupełna cisza. Zszedł na dół i wziął linkę. Otworzył okno w jadalni, zsunął się po parapecie w ciemną noc i ostrożnie ściągnął za sobą sznur. Zaczekał, czy nie będzie żadnej reakcji, panowała jednak dalej cisza.

Przeszedł bezszelestnie przez podjazd na trawnik, usiadł w cieniu drzew przy pierwszym padoku, z dala od okien, i po ciemku zawiązał zręcznie węzły dla oparcia nóg w pewnych odstępach na całej długości linki. Doznawał miłego, kojącego uczucia dotykając jej znów po tak długim czasie. Była to pierwszorzędna linka, poddająca się miękko jego palcom. Poczul wdzięczność dla firmy „James Fryer i Syn”.

Zwinął linkę i przerzucił zwój przez ramię. Za pół godziny wszędzie księżyc. Księżyc w nowiu, który niewiele oświetli, ale Brat miał w kieszeni dwie latarki i nie pragnął tej nocy pełnego księżycowego blasku.

Przystawał co pięć minut i oglądał się, czy ktoś nie idzie za nim. Lecz nic się nie poruszało wśród ciszy nocnej, nawet kot.

Nikły blask wschodzącego księżyca przywitał go u stóp wzgórza Tanbitches. Bez pomocy latarki odnalazł ścieżkę

prowadzącą do Westover. Szedł nią chwilę, aż zobaczył kępę buków na tle nieba, wtedy skręcił ze ścieżki i ruszył ku zaroślom na wyższej ścianie dawnego kamieniołomu. Tam usiadł i czekał. Lecz nadał w uśpionej okolicy panowała cisza; zabezczała tylko nagle owca na wzgórzu.

Owiązał linkę wokół pnia największego z młodych buków, które się tu wysiały, i pozwolił jej się rozwijać, dopóki nie opadła nad krawędzią kamieniołomu w zielone chaszczę w dole. Była to wysoka stroma ściana. Od niższej strony było wąskie wejście, lecz dawno się już zapadło i zarosło zwartym gąszczem głogów. Stary Abel mówił mu o tym tamtego dnia, kiedy siedzieli tu i rozmawiali o Patryku. Wiedział wszystko o kamieniołomie, bo kiedyś wyciągał z niego owcę. O wiele łatwiej było zsunąć się w dół po stronie stromej, jak mówił Abel, niż wejść po tej niższej. Właściwie wejście z jakiegokolwiek strony było zupełnie niemożliwe. Nie ma tam wody, nie było jej przynajmniej przed dwudziestu laty, to znaczy wtedy, kiedy ostatni raz zszedł po owcę; cała woda spłynęła pod wzgórzem do morza.

Brat sprawdził kilkakrotnie linkę i zbadał, czy się nie przeciera. Lecz pień drzewa był gładki, a na krawędzi kamieniołomu podłożył pod nią podkładkę; następnie zsunął się, szukając stopą pierwszego punktu oparcia. Teraz, gdy był na równym poziomie z ziemią, dostrzegł wyraźniej jasność nieba. Na jego tle widział ciemny zarys niskich zarośli i jeszcze ciemniejszy zarys drzewa nad sobą.

Stał na pierwszym węźle, ale rękami przytrzymał jeszcze napiętą linkę na trawie.

- Nie zniósłbym, gdybyś odszedł bez należytego pożegnania – odezwał się głos Simona, cedzący słowa w sposób tak dla niego typowy. - Mógłbym po prostu przeciąć linkę, a ty byś pomyślał, gdybyś miał w ogóle czas pomyśleć, że pękła. Ale to nie byłoby wcale zabawne, prawda?

Brat widział jego sylwetkę na tle nieba. Simon przyklęknął na krawędzi skały, tuż przy lince. Brat mógł go dotknąć wyciągnąwszy rękę.

Był idiotą nie doceniając sprytu Simona. On nigdy nie

ryzykował. Nie zaryzykował nawet tego, żeby pójść za nim. Przyszedł pierwszy i zaczął.

- Odcięcie linki nie na wiele by się przydało - powiedział. - Wylądowałbym na gałęziach jednego z drzew w dole i wrzeszczałbym tak długo, aż ktoś by przyszedł.

- Nie jestem taki głupi. Zawarłem z tym kamieniołomem bliską znajomość. To prawie pokrewieństwo, można powiedzieć. - Zaśmiał się cicho. - Spadłbyś z połowy stoku wprost na ziemię.

Brat zastanawiał się, czy zdążyłby zsunąć się po linie jednym szybkim ruchem, zanimby ją Simon przeciął. Stopnie miały służyć do wejścia z powrotem w górę. Mógłby nie zważając na nie zjechać po linie w dół. Czy znalazłby się dostatecznie blisko dna, zanim Simon zorientowałby się, co on zrobił?

A może lepiej...? Tak. Zacisnął rękę na linie, odbił się od węzła i podciągnął się w górę tak, że kolanem dotknął znów prawie trawy. Lecz Simon musiał trzymać w jakimś miejscu ręką linkę. Poczul jej ruch.

- O nie! Nie zrobisz tego! - powiedział i kolanem przycisnął dłoń Brata. Brat złapał go drugą ręką za nogę i uwiesił się na niej zaczepiwszy się palcami o but. Simon wyciągnął nóż i uderzył nim w nadgarstek Brata, który krzyknął, ale nie puścił. Wyciągnął prawą rękę spod buta Simona i schwycił go za kostkę od tyłu. Zakrywał swoim ciałem linkę przed Simonem i póki ją przytrzymał, Simon nie mógł się odwrócić i odciąć jej za nim. Było to bardzo denerwujące stać tak na skraju przepaści, z nogą uwięzioną w czyjejs ręce.

- Puść - wyszeptał Simon kłując go zapamiętale nożem.

- Jeśli nie przestaniesz - dyszał Brat - pociągnę cię w dół za sobą.

- Puść! puść! - powtarzał Simon nie słuchając go i tnąc nożem jak szablą w panicznym strachu.

Brat puścił jego but i schwycił rękę z nożem, gdy opadała w dół. Trzymał teraz Simona prawą ręką za lewą kostkę u nogi, a lewa ręka ścisnęła jego prawy nadgarstek.

Simon wrzasnął i odsunął się jak mógł najdalej, lecz Brat z całej siły ścisnął go za nadgarstek. Sam wpierał mocno nogę w

węzeł zrobiony na lince, lecz Simon nie miał żadnego oparcia. Szarpnął rękę z nożem, a Brat, przechyliwszy się mocno, puścił stopę Simona, którą trzymał prawą dłonią, i schwycił nią lewą rękę. Trzymał go teraz obiema rękami, wygiętego nad sobą w łuk.

- Rzuć ten nóż - powiedział.

Gdy to mówił, poczuł, że darń przy krawędzi kamieniołomu obsuwa się. Dla niego było to obojętne, odsunął się tylko trochę od skalnej ściany. Lecz dla Simona, przechylnego już i tak pod ciężarem Brata, okazało się to zgubne.

Brat spostrzegł z przerażeniem, że wali się na niego ciemny kształt. Straciwszy oparcie pod nogami spadł razem z Simonem w ciemność.

Jasna błyskawica zapłonęła na moment w jego głowie i przestał czuć cokolwiek.

## **Rozdział XXX**

Bee siedziała w zadymionej kawiarni nad filiżanką kawy rozlanej na spodku i po raz setny w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin czytała napis umieszczony po drugiej stronie ulicy: „Kierowcy proszeni są o nieużywanie klaksonów. Szpital.” Była dopiero siódma rano, ale kawiarnię otwierano o szóstej i zawsze towarzyszył jej przynajmniej jeden gość. Ale i tak nie zauważała nikogo. Siedziała z filiżanką kawy przed sobą i wpatrywała się w ścianę szpitala naprzeciwko. Była teraz stałą bywalczynią tej kawiarni. „Może pani pójdzie coś zjeść” - radzono jej uprzejmie w szpitalu, przechodziła więc na drugą stronę ulicy, siedziała chwilę nad kawą, którą przed nią stawiano, i wracała.

Życie jej ograniczało się teraz do tego wahadłowego ruchu pomiędzy szpitalem a kawiarnią. Z trudem przypominała sobie przeszłość, a zupełnie nie umiała wyobrazić sobie przyszłości. Istniało tylko „teraz”, straszny półświat ponurego nieszczęścia. Ubiegłej nocy pozwolono jej przespać się w jednej z dyżurek, a poprzednią noc spędziła w

poczekalni szpitalnej. Słyszała tylko dwa zdania, koszmarnie już teraz swojskie jak napis na murze: „Nie, nie ma zmiany” i „Może pani pójdzie coś zjeść”.

Niechlujna kelnerka podeszła i postawiła przed nią filiżankę świeżej kawy, zabierając poprzednią.

- Ta już wystygła - powiedziała - a pani nawet jej nie tknęła.

Świeża kawa też została rozlana na spodek. Była wdzięczna brudnej kelnerce, ale czuła się urażona jej współczuciem. Kobieta rozkoszowała się cudzym dramatem, obecnością Bee w kawiarni i ukrytym znaczeniem tego faktu.

„Kierowcy proszeni są o nieużywanie...” Musi przestać to czytać. Popatrzeć na coś innego. Może na niebieski wzorzysty plastikowy obrus na stole. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć... Nie. Nie liczyć.

Drzwi się otworzyły i wszedł doktor Spence. Rude włosy miał zmierzwiłone, a brodę nie ogoloną.

- Poproszę kawę - powiedział do kelnerki i opadł na krzesło obok Bee.

- No i co? - spytała.

- Jeszcze żyje.

- Przytomny?

- Nie. Ale są symptomy poprawy. To znaczy możliwość, że odzyska przytomność, co nie znaczy, że będzie żył.

- Rozumiem.

- Wiadomo, że czaszka jest pęknięta, ale nie można stwierdzić, jakie są jeszcze inne obrażenia.

- Aha.

- Nie może pani żyć samą kawą, nic pani nie jadła, prawda?

- Nawet kawy nie wypila - odezwała się kelnerka stawiając przed doktorem pełną filiżankę. - Siedzi tylko i wpatruje się w filiżanki.

Wezbrała w niej fala znużenia i gniewu na tę dziewczynę za wtrącanie się w cudze sprawy.

- Pozwoli pani, że zaproszę panią na jakiś posiłek w mieście.

- Nie, nie. Dziękuję.



- Gospoda „Pod Aniołem” jest o pół mili stąd. Mogłaby tam pani dobrze odpocząć i...

- Nie, nie. Nie mogę się tak oddalać. Wypiję tę kawę. Jest gorąca i smaczna.

Spence wypił duszkiem swoją i zapłacił. Wahał się chwilę, jakby ociągał się z pozostawieniem Bee samej.

- Muszę wracać do Clare. Wie pani przecież, że nie odjechałbym, gdyby on się nie znajdował w dobrych rękach, prawda? Zrobią więcej dla niego, niż ja bym mógł zrobić.

- Był pan nadzwyczajny dla nas wszystkich - odrzekła. - Nigdy tego nie zapomnę.

Zaczęła pić kawę nie podnosząc wzroku, gdy drzwi otworzyły się znowu. Nie mogła to być już następna wiadomość ze szpitala, a nic innego nie miało dla niej znaczenia. Zdziwiła się, gdy usiadł obok niej George Peck.

- Spence powiedział mi, że cię tu zastanę.

- George, co ty robisz w Westover o tak wczesnej porze?

- Przyjechałem przywieźć ci pocieszającą wiadomość, że Simon nie żyje.

- Pocieszającą?

- Tak.

Wyjął jakiś przedmiot z koperty i położył przed Bee na stole. Było to zniszczone przez działania atmosferyczne, ale możliwe do rozpoznania, zwykłe czarne wieczne pióro, ozdobione cienką, żółtą spiralką.

Patrzyła na nie przez długą chwilę nie dotykając go, a potem podniosła wzrok na pastora.

- A więc znaleźli... to...?

- Tak. Leżało tam. Chcesz mówić o tym tutaj? Może wolałabyś wrócić do szpitala?

- A cóż to za różnica? I tu, i tam się czeka.

- Kawę? - spytała kelnerka stając obok George'a.

- Nie, dziękuję.

- Dooobra.

- Co... co tam było? To znaczy co zostało? Co znaleźli?

- Tylko kości. Szkielet. Pod grubą trzystopową warstwą przegniłych liści. I strzępki ubrania.

- A jego pióro?
- Leżało osobno - odpowiedział wyraźnie.
- Myślisz, że zostało... zostało rzucone potem...?
- Niekoniecznie, ale... prawdopodobnie.
- Rozumiem.
- Nie wiem, czy będzie to dla ciebie pociecha, czy nie... sędzę, że tak... Lekarz policyjny uważa, że on nie żył, lub ściślej nie miał już świadomości, kiedy...
- Kiedy został strącony - dokończyła za niego Bee.
- Tak. Świadczy o tym rodzaj uszkodzenia czaszki, o ile zrozumiałem.
- Tak. Oczywiście, że to dla mnie pociecha. Prawdopodobnie nie zdawał sobie z niczego sprawy. Po prostu pewnego letniego popołudnia zakończył życie czując się bardzo szczęśliwy.
- Przy strzępkach ubrania leżało kilka małych przedmiotów. Rzeczy, które miał pewnie w kieszeniach spodni. Ale zatrzymała je policja. Pułkownik Smollett dał mi to - wziął pióro i włożył je z powrotem do koperty - z prośbą, żebym ci pokazał w celu rozpoznania. Jakie są wiadomości ze szpitala? Spence właśnie odjeżdżał, kiedy szedłem.
- Żadne. Jest nieprzytomny.
- Wiesz, bardzo sam siebie za to winię - powiedział pastor.
- Gdybym go wysłuchał ze zrozumieniem, nie posunąłby się do takich tajemniczych poczynań, do tego szalonego nocnego poszukiwania.
- George, musimy jakoś dowiedzieć się, kim on jest.
- Sędzę, że sierociniec...
- Tak, wiem. Przeprowadzali normalne badania. Ale nie sędzę, żeby były one staranne. My na pewno mogliśmy zrobić to lepiej.
- Zakładając, że płynie w nim krew Ashbych?
- Tak. Nie wierzę, żeby takie podobieństwo mogło istnieć w innym wypadku. Byłby to nieprawdopodobny zbieg okoliczności.
- Dobrze, moja droga. Chcesz, żeby zabrać się do tego teraz?

- Tak. Właśnie teraz. Czas może być cenny.

- Porozmawiam z pułkownikiem Smollettem. On będzie wiedział, jak to zrobić. Mówiłem z nim na temat śledztwa. Sądzi, że uda się to załatwić bez twojej obecności. Nancy prosiła mnie, żebym zapytał, czy chciałabyś, żeby przyjechała do Westover i była z tobą, czy też może ludzie cię drażnią.

- Kochana Nan. Powiedz jej, że lżej być samej. Ale jej podziękuj. Niech raczej będzie przy Eleanor. To musi być straszne dla Neli zajmować się teraz tymi banalnymi sprawami związanymi ze stajnią.

- A ja uważam, że to może wpływać uspokajająco.

- Czy powiedziałaś jej o tym, tak jak obiecałeś?

O tym, że Brat nie jest Patrykiem.

- Tak. Przyznam szczerze, że obawiałem się tego. Powierzyłaś mi jedno z najtrudniejszych zadań w moim życiu. Eleanor była jeszcze pod silnym wrażeniem wiadomości o śmierci Simona. Bałem się więc okropnie. Ale stało się coś zdumiewającego.

- Co ona zrobiła?

- Pocałowała mnie.

Drzwi się otworzyły i w mroku, w drzwiach, stanęła praktykantka szpitalna. Młoda, ładna, zarumieniona wyglądała w liliowej perkalowej sukience i szerokim białym fartuchu jak gość z innego świata. Dostrzegła Bee i podeszła do niej.

- Czy panna Ashby?

- Tak - odrzekła Bee unosząc się lekko z krzesła.

- Panna Beatrice Ashby? Bardzo mi miło. Pani bratanek odzyskał przytomność, ale nie poznaje nikogo i nie zdaje sobie sprawy, gdzie się znajduje. Mówi tylko bez przerwy o kimś, kto ma na imię Bee, więc pomyśleliśmy, że to może pani. Siostra przysłała mnie, żebym pani poszukała. Przepraszam, że przeszkadzam, nie dokończyła pani kawy, ale rozumie pani...

- Tak, rozumiem - odpowiedziała Bee już w drzwiach.

- Może on będzie spokojniejszy, gdy pani będzie przy nim - mówiła dziewczyna wychodząc za nią. - Często tak się dzieje, że pacjenci uspokajają się w obecności kogoś bliskiego, choć

go nawet nie poznają. To zabawne. Jakby wyczuwali tę osobę. Często to obserwowałam. Mówią „Eileen?”... czy jak tam ten ktoś ma na imię, a Eileen odpowiada: „Tak”. I wtedy na krótko się uspokajają. Ale jeżeli ktoś inny odpowie „tak”, prawie nigdy nie dają się zwiść, robią się niecierpliwi i krnąbrni. To bardzo dziwne.

Ale tak naprawdę dziwny był strumień słów, który płynął z ust milczącego zazwyczaj Brata. Przez cały dzień, noc i dzień następny siedziała przy jego łóżku i słuchała tego niespokojnego potoku wymowy.

- Bee? - pytał, właśnie tak, jak opowiadała młoda praktykantka.

A Bee odpowiadała:

- Tak, jestem przy tobie. -I Brat powracał uspokojony do świata, w którym przebywał.

Przekonany był ciągle, że jest w tym samym szpitalu, w którym leżał kiedyś ze złamaną nogą, i bardzo go to niepokoiło.

- Czy będę mógł znowu jeździć konno? To nic poważnego z tą nogą? Nie utną mi jej? - pytał.

- Nie - odpowiadała - wszystko w porządku.

A raz, kiedy był spokojniejszy, spytał:

- Bardzo się gniewasz na mnie, Bee?

- Nie gniewam się na ciebie. Śpij.

Poza szpitalem życie toczyło się dalej. Do portu Southampton Water przybijały statki, przeprowadzano dochodzenia, składano nieboszczyków do grobów, lecz dla Bee świat ograniczał się do pokoju, gdzie leżał Brat, i do łóżka w dyżurce siostry oddziałowej, na którym sypiała.

W środę rano zjawił się w szpitalu Charles Ashby. Sunął bezszelestnie i lekko po lśniących korytarzach na swoich dużych stopach. Bee zeszła na dół, żeby go przywitać, i zaprowadziła go do pokoju Brata Charles uściskał ją, jak wtedy, kiedy była małą dziewczynką, co ją podniosło na duchu.

- Kochany stryj Charles. Tak się cieszę, że jesteś o piętnaście lat młodszy od mego ojca, inaczej nie byłoby cię tutaj na pociechę nam wszystkim.

- Największa korzyść z faktu, że jest się młodszym o

piętnaście lat od brata, to to, że nie trzeba nosić po nim ubrań - odrzekł Charles.

- Brat teraz śpi - powiedziała Bee zatrzymując się przed drzwiami - więc bądź, proszę, cicho.

Charles popatrzył na młodą twarz z obwisłą szczęką, na podkrążone zamknięte oczy i ciemną nie goloną od paru dni brodę i powiedział:

- Walter.

- On ma na imię Brat.

- Wiem. Ja nie mówię do niego, chodzi mi tylko o podobieństwo do Waltera. Tak właśnie wyglądał w jego wieku, kiedy miał kaca.

Bee podeszła bliżej i przyjrzała się Bratowi.

- Czy to syn Waltera?

- Z całą pewnością.

- Ja jakoś nie widzę żadnego podobieństwa. Jest podobny do samego siebie.

- Nigdy nie widziałas Waltera, kiedy odsypiał kaca. Przyjrzyj się lepiej chłopakowi. To jednak lepsza twarz, niż miał Walter. Naprawdę przystojna. - Wyszedł za Bee na korytarz. - Zdaje się, żeście go wszyscy polubili.

- Pokochaliśmy go - odpowiedziała.

- To wszystko jest bardzo, bardzo smutne. Kto był jego współnikiem, nie wiesz?

- Ktoś z Ameryki.

- Tak mówił mi George Peck. Ale któż to mógł być? Kto z Clare wyjechał do Ameryki?

- Rodzina Willettów wyjechała do Kanady. I oni mieli córki. A to była podobno kobieta. Może dotarli do Stanów.

- Dałbym sobie uciąć rękę, że to nie była kobieta

- Ja też mam takie wrażenie.

- Naprawdę? Jesteś niezwykle inteligentną kobietą, Bee. I do tego ładną. Co zrobimy z tym chłopcem? Myślę o jego przyszłości.

- Nie wiemy jeszcze, czy on ma jakąś przyszłość przed sobą - odrzekła.

## Rozdział XXXI

Tylko Pastor, Bee, Charles, Eleanor i biuro prawne „Cosset, Thring i Noble” wiedzieli, jak dotąd, że Brat nie jest Patrykiem Ashby.

No i policja.

Policja na tak zwanym „najwyższym szczeblu”.

Policja została powiadomiona o wszystkim i wyglądała teraz, jak umiała najlepiej, całą sprawę bez naruszania prawa, którego musiała strzec. Simon Ashby nie żył. Nikt by na tym nie skorzystał, gdyby jego zbrodnia została ujawniona. Nie mówiąc za wiele, można było dopełnić prawnej procedury, pozostawiając nadal pogrzebaną niepożądaną prawdę.

Koroner badał bez końca nieszczęsne szczątki znalezione w kamieniołomie i odkładał śledztwo w nieskończoność. Nigdy nie donoszono o żadnym zaginięciu w okolicy.

Tanbitches było zresztą ulubionym miejscem obozowania Cyganów, którzy nie mieli zwyczaju zgłaszania policji wypadków. Z ubrania pozostały tylko strzępki nie do rozpoznania. Przedmiotów znalezionych w pobliżu kości nie dało się zidentyfikować: przerdzewiały kawałek metalu, który mógł być kiedyś gwizdkiem, drugi, podobny, przypominający scyzoryk, i parę drobnych monet.

- George - spytała Bee - a co się stało z wiecznym piórem?

- Wieczne pióro? Zgubiłem je.

- George!

- Ktoś je musiał zgubić, moja droga. Nie mógł tego zrobić pułkownik Smollett, jest wojskowym i ma wdrożoną skrupulatność. Nie mogła też zrobić tego policja; ma poczucie godności i zna swe obowiązki wobec społeczeństwa. A ja odpowiadam tylko przed sobą i Bogiem. Sądzę, że choć nic nie mówią, są mi głęboko wdzięczni.

Odroczone śledztwo w sprawie śmierci Simona Ashby zostało wznowione, gdy z Bratem można już było w szpitalu rozmawiać. Policjant, który go przesłuchiwał, napisał w protokole, że pan Ashby nie pamięta nic, co się tyczy wypadku,

ani po co poszedł z bratem do kamieniołomu. Wydaje mu się, że był to jakiś zakład. Chodziło chyba o to, czy w starym kamieniołomie jest woda, czy nie ma; ale nie przysięgnie, że tak, bo dobrze nie pamięta. Doznał poważnych obrażeń głowy i jest jeszcze bardzo chory. Pamięta jednak, że Abel Tusk powiedział mu, że nie ma tam wody; Simon zapewne uznał, że to całkiem nieprawdopodobne, i mógł wyniknąć spór z tego powodu.

Abel Tusk potwierdził fakt, że Patryk Ashby pytał go o wodę w kamieniołomie i że brak wody w takich miejscach jest czymś niecodziennym. To Abel Tusk dał znać pierwszy o wypadku. Znajdował się z owcami na pastwisku, gdy usłyszał jakby krzyk o pomoc w stronie kamieniołomu; pobiegł tam, jak mógł najprędzej, i znalazł linkę. Z kuźni zatelefonował po policję.

Bee, odpowiadając na pytania koronera, zgodziła się z nim, że na pewno podjęłyby kroki, by zapobiec takiej eskapadzie, gdyby coś o niej wiedziała. A koroner wyraził przypuszczenie, że właśnie z tego powodu trzymano ją w tajemnicy.

Werdykt brzmiał, że śmierć nastąpiła na skutek nieszczęśliwego wypadku. Koroner złożył rodzinie kondolencje z powodu straty dzielnego młodego człowieka.

W ten sposób załatwiony został problem Simona. Simona, który w wieku niespełna czternastu lat zabił brata, spokojnie napisał w jego imieniu kartkę, rzucił pióro w przepaść, w ślad za ciałem, i wrócił niefrasobliwie do domu na kolację, gdy wyproszono go o szóstej z kuźni. Simona, który potem na swoim kucu wziął udział w poszukiwaniach brata i w jakimś momencie w czasie tej długiej nocy podrzucił na skale wiatrówkę Patryka z kartką w kieszeni. Ten Simon miał być oplakiwany przez całą okolicę jako dzielny młodzieniec o niezapomnianym uroku.

Pozostawał problem Brata.

Nie problem, kim on jest, lecz problem jego przyszłości. Lekarze zdecydowali, że skoro wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu wyżył do tej pory, z pewnością da się go uratować. Wymaga jednak długiej pielęgnacji i spokojnego trybu życia, jeśli ma porządnie wyzdrowieć.

- Kiedy byłeś chory, odwiedził cię stryj Charles - powiedziała Bee, gdy już czuł się na tyle dobrze, że mógł skupić uwagę na tym, co się do niego mówiło. - Zdziwiło go twoje podobieństwo do Waltera Ashby, mego kuzyna.

- Tak? - odparł Brat. Nie zainteresowało go to wcale. Jakie to ma teraz znaczenie?

- Zaczęliśmy dochodzenie na twój temat.

- Policja już to robiła przed laty - odparł ze znużeniem.

- Tak, ale niewiele się dowiedziała. Tyle tylko, że jakaś młoda dziewczyna przyjechała pociągiem z dzieckiem, a odjechała też pociągiem, ale bez dziecka. Pociąg przybył z gęsto zaludnionego rejonu Birmingham. My zaczęliśmy od drugiego końca. Od Waltera. Powróciliśmy do miejsca, gdzie przebywał jakieś dwadzieścia dwa lata temu. Walter nie zagrzewał nigdzie długo miejsca, więc poszukiwania nie były łatwe, ale dowiedzieliśmy się, że wśród innych zajęć przez parę miesięcy opiekował się pewną stajnią w hrabstwie Gloucester w czasie nieobecności właściciela majątku, który przechodził jakąś operację. W domu była gospodyni i młoda dziewczyna, która gotowała. Robiła to bardzo dobrze, ale jej ambicją było zostać pielęgniarką. Gospodyni polubiła ją, tak samo jak i właściciel majątku, kiedy się więc dowiedzieli, że spodziewa się dziecka, pozwolili jej zostać na służbie i urodziła dziecko w miejscowym szpitalu. Gospodyni była zawsze przeświadczona, że to dziecko Waltera, choć dziewczyna nie chciała nic powiedzieć. Nie zamierzała wychodzić za mąż, pragnęła zostać pielęgniarką. Powiedziała, że zabiera dziecko do domu, aby je ochrzcić - pochodziła z okolic Evesham - i więcej nie wróciła. W długi czas potem gospodyni dostała od niej list, w którym dziewczyna dziękowała jej za dobre serce i donosiła, że zrealizowała swoje marzenie i jest pielęgniarką. „Nikt nie wie o moim dziecku, ale postarałam się o to, żeby było pod dobrą opieką”, pisała.

Bee spojrzała na Brata. Leżał ze wzrokiem utkwionym w sufit, lecz wydawało się, że słucha.

Nazywała się Mary Woodward. Była jeszcze lepszą



pielęgniarką niż kucharką. Zginęła w czasie wojny, wynosząc chorych z sali szpitalnej do schronu.

Zaległo długie milczenie.

- Talenty kulinarne odziedziczyłem więc chyba po matce - powiedział. Nie potrafiłaby orzec, czy w słowach tych zabrzmiała ironia, czy nie.

- Bardzo lubiłam Waltera. Kochany był z niego chłopak, bardzo miły. Posiadał tylko jedną wadę: lubił wypić, a głowę miał słabą. Nie wierzę ani przez chwilę, że wiedział o ciąży tej dziewczyny. To był tego rodzaju człowiek, że by się z nią na pewno ożenił. Sądzę, że ona nie chciała, żeby o tym wiedział.

Znów spojrzała na Brata. Może powiedziała mu wszystko za wcześniej, może nie jest jeszcze dostatecznie silny, by to przyjąć do wiadomości. Lecz miała nadzieję, że obudzi w nim w ten sposób zainteresowanie życiem.

- To wszystko, co wiemy, Brat. Ale nikt z nas w to nie wątpi. Charles spojrzał tylko na ciebie i powiedział: „Walter”. A mnie się wydaje, że przypominasz trochę swoją matkę. To znaczy Mary Woodward. To jest zdjęcie zrobione w drugim roku jej pracy w szpitalu Świętego Łukasza.

Podawała mu fotografię, której mu już nie odebrała.

Z tydzień czy dwa później powiedziała do Eleanor:

- Neli, mam zamiar was opuścić. Zajmę się stadniną Tima Connella w Kalibarty.

- O, Bee!

- Nie zaraz, ale kiedy Brat będzie mógł wyjechać.

- Zabierasz tam Brata? No tak, oczywiście, powinnaś jechać. To doskonały pomysł, Bee. Rozwiązuje wiele problemów. Tylko czy stać cię na to? Może pożyczę ci pieniądze na tę dzierżawę?

- Nie, zrobił to stryj Charles. Ciekawe, że Charles pomaga w hodowli koni. Wszystko, co macie, będzie wam potrzebne, aby zapłacić podatek spadkowy. Pan Sandał powiadomił bank, że majątek należał cały czas do Simona.

- A jak zawiadomimy ludzi w okolicy o Bracie? To znaczy o tym, że on nie jest Patrykiem?

- Myślę, że nie musimy nic robić. Ta wiadomość

przecieknie sama nieuchronnie. Zawsze się tak dzieje. Po prostu nie trzeba przeciwdziałać temu przeciekaniu. Fakt, że przyjmujemy go do rodziny, zamiast wystąpić na drogę sądową, i tak dalej, pozbawi żeru plotkarzy. Przeżyjemy to, Nell. I on także.

- Naturalnie, że przeżyjemy. Kiedy ktoś zapyta wprost, odpowiem: „Mój kuzyn? Tak, udawał mojego brata. Jest bardzo podobny do Patryka, prawda?” Jakbyśmy rozmawiali o pogodzie. - Zamilkła na chwilę, a potem dodała: - Ale chciałabym, żeby ta wiadomość się rozeszła, zanim będę za stara, żeby wyjść za niego za mąż.

- Myślisz o tym? - spytała zaskoczona Bee.

- Jestem na to zdecydowana.

Bee zawahała się, a potem uznała, że lepiej pozostawić sprawę ich własnemu biegowi.

- Nie martw się. Wiadomość się rozejdzie - pocieszyła ją Eleanor.

- Teraz, kiedy stryj Charles jest tutaj i zamierza zamieszkać w Latchetts - powiedziała Bee później do Brata - mogę urządzić sobie życie gdzieś indziej.

Oderwał oczy od sufitu i skierował na nią wzrok.

- Upatrzyłam sobie pewne miejsce w Ulsterze. Posiadłość Tima Connella w Kilbarty.

Spostrzegła, że Brat nerwowo szarpie palcami prześcieradło.

- Wyjeżdżasz więc do Ulsteru? - spytał.

- Pod warunkiem, że ty pojedziesz ze mną i zajmiesz się stadniną.

Oczy jego szybko wypełniły się łzami, jak to bywa u rekonwalescentów, i spłynęły po policzkach.

- O Bee! - szepnął.

- To chyba oznacza, że moja propozycja została przyjęta - powiedziała.



Jest to trzecia już w „Iskrach” książka Josephine Tey, autorki specjalizującej się w powieściach z pogranicza kryminalnych i psychologiczno-obyczajowych.

Jakie predyspozycje psychiczne, jakie okoliczności, jakie przeżycia mogły doprowadzić dwóch młodych bohaterów „Bartłomieja Farrara” do takiej oto rozmowy:

- „Zabijeś go – powiedział nagle pewny tego.
- Oczywiście, że go zabijem. – Simon pochylił

się do przodu i z uciechą patrzył na Brata. – Ale ty nie będziesz mógł nigdy nikomu tego powiedzieć. Bo przecież Patryk żyje. Rozmawiam z nim.

- Jak to zrobiłeś?

- Chciałbyś wiedzieć, co? Więc ci powiem. To bardzo proste. – Pochylił się jeszcze bardziej i powiedział szyderczo poufnym szeptem: – Widzisz, jestem czarownikiem. Potrafię być w dwóch miejscach równocześnie.”?

Cena zł 46.-

